SYGNAŁY HISTORJI

Druk M. S. Wojsk., Warszawa, Przejazd 10

WINCENTY RZYMOWSKI

SYGNAŁY HISTORJI

WARSZAWA — 1929
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

ZA PŁUGIEM HISTORJI.

SALON DWÓCH ŚWIATÓW.

Salon dwóch światów: tak możnaby go nazwać, gdyż, istotnie, nie należąc ani do Europy, ani do Ameryki, kojarzy oba te światy i stanowi jakgdyby ich fantastyczną, na tło oceanu rzuconą syntezę.

Posadzką bowiem tego szczególnego salonu są pokłady parowców, które przebiegają Atlantyk: bujające dziwa komfortu, chyże ogniwa ruchu, któremi przepływa nieustannie krew i złoto dwóch lądów, kaprys i potęga dwóch epok, rzeczywistość i fantazja dwóch cywilizacyj.

Ci, którzy tego wędrownego salonu stanowią załogę wybraną, są to ludzie, należący do rozmaitych ras i narodowości, nie bez pewnej wszakże przewagi jeśli nie rasy, to etykiety i mowy anglosaskiej. Napróżno przecież pytalibyśmy ich o kraj rodzinny i o gniazdo ojczyste. Ich ojczyzną jest glob ziemski; ich prawdziwą stolicą — Atlantyk. Idea międzynarodowości, a raczej uniwersalizmu, która w nizinach proletarjatu jest doktryną, postulatem i narzędziem walki, tu — na tych wierzchołkach wyrafinowania — jest naturalnym wyrazem samopoczucia, spokojnym oddechem płuc, pogodnym widnokręgiem oczu.

Słońce, które wschodzi z nad morza i zachodzi za morze, zakreśla codzień triumfalny łuk nad niedbałą beztroską tych ludzi. Atlantyk, będący ich salonem, żywiołem ich wdzięku i elegancji, jest zarazem zwierciadłem ich niewysłowionych bogactw. Bogactwa te, w materjalnem tego słowa znaczeniu, nie mają granic. Są potwornie, niedorzecznie wielkie. Aby się przejrzeć, aby roztoczyć swe czarodziejstwo, potrzebują zwierciadła i obszaru mórz: bogactwa, o jakich nie śniło się mocarzom bajecznego Wschodu. Dla nich, mocarzy nowoczesnych, pracują całe gałęzie przemysłu, armje robotników, kolosy maszyn, pędzone w ruch motorami o sile większej, niż ongi siła ramion całego pokolenia. Wodospady rzek obracają koła ich fortuny. Siły wiekuistej przyrody wprzężone są w rydwan tych królów bez korony.

Oni sami — władcy nieogarniętych skarbów — pozwalają róść i kwitnąć swym królestwom, ale nie przykładają ręki do ich rozrostu. Zachowali dla się jedyną władzę — rozrzutności. Są zazwyczaj dziećmi, lub wnukami tych, którzy zdobywali, pracując i walcząc. Oni stoją ponad warsztatem i ponad pobojowiskiem.

Dla ich nabywczej siły świat cały stał się rynkiem otwartym, na którym za każdą rzecz zapłacić mogą wszelką cenę. Wiedzą o tem i zrzadka sięgają po towar. Ponieważ świat wszystko wystawia na sprzedaż— opinję kraju, urodę kobiety, talent artysty, stanowisko stronnictw, nawet wolność i krew narodów — i ponieważ wszystko w ich oczach bywa tylko kwestją ceny

więc w końcu żadna dla nich rzecz nie ma wartości, ani ceny. Ta myśl staje się zasadniczą myślą ich życia. Możność sięgania po wszystko wydziedzicza ich ze wszystkiego.

Daje im jakąś złudną świadomość wyniesienia się ponad szczyty szczytów, osiągnięcia jakiejś ostatecznej formy bytowania, leżącej poza dobrem i złem; daje im miraż jakiejś pełni, która, w istocie, okazuje się rzeczywistością próżni i czczości moralnej.

W tej rasie, użyźnionej pieniądzem, brak użyźnienia kultury i brak twórczego z kulturą związku. Jest w niej coś z rasy pijanych swą wszechmocą cezarów dawnej Romy; lecz próżno szukalibyśmy w niej tej dojrzałej treści duchowej, która powstaje niekiedy na szczycie epok, wypiastowanych przez potęgę i dostatek, i która była wykwitem ery Peryklesa w Grecji, ery Medyceuszów we Włoszech, ery Ludwików we Francji. Salon Atlantyku błyszczy potężniej, niż tamte, ale nie promieniuje. Jako dokument czasu, mimo swe wyszukane przepychy, pozostanie raczej złotym okruchem kultury, niż jej wskaźnikiem.

Nie reprezentując rzeczywistego poziomu kultury, salon ten reprezentuje wszakże to, co jest refleksem jej niemocy w płaszczyźnie pieniądza: najwyższy stopień wyrafinowania. I ponieważ probierzem jego żywotności jest komfort, elegancja, rozrzutność i kaprys, przeto jest rzeczą zrozumiałą, że w królestwie tak zarysowanych ideałów mężczyzna został zdystansowany przez swą towarzyszkę i musiał berła ustąpić kobiecie. Tak

chce zresztą etykieta i obyczaj każdego świata, który staje się światem salonu.

Kobieta, salonu tego królowa, jest to niezwykła, zuchwała postać podróżnicy, rozkochanej w morzach, lecz nadewszystko we własnej wolności, dla której żadnych nie uznaje zastrzeżeń. Jej czarująca uroda, zarówno jak jej psychologja, nie znalazła odbicia w żadnem z dotychczasowych dzieł sztuki. Dusza jej pełna jest władczych instynktów, odziedziczonych po rasie zdobywców i drapieżców. Nie rozumie sławy i wielkości, opartej na genealogji wspomnień. Nie ma nic wspólnego z arystokratką europejską, przesuwającą w ręku różaniec herbów i tradycji. Cała pochłonięta jest pędem ku przyszłości. Czuje się ptakiem morskim, i najwspanialsza siedziba na parafjalnym zagonie wydałaby się jej kojcem. Zwiedza morza i lądy tak, jak jej prababka zwiedzała dzielnice rodzinnego miasta. Obeznana z najświeższemi zdobyczami nauki i filozofji, wykształcona na ideałach ostatniej godziny, wie, co stworzyła sztuka, co zdziałał rozum, co może genjusz ludzi. Zna obyczaje rozmaitych ludów; doświadczała najrzadszych wrażeń; grała dramat uczuć szczerych lub zmyślonych w teatrze najprzedziwniejszej panoramy świata; wreszcie lądy, morza, miasta, ludzie i obłoki stały się dla niej jednym pościgiem świateł i cieni, filmem majaków i widm. W tej grze zawrotnej, w tej nieskończonej gonitwie oczy jej nabierają zadumy coraz głębszej, coraz cichszej, coraz bardziej kuszącej; zadumy, w której jest oszołomienie, i gorycz, i zachwyt, i nieuśmierzony niepokój nostalgji: poezja fali morskiej.

Ta poezja fali splata się nieraz z poezją rewelacji, znamionującej najistotniejsze bodaj z przeżyć tego salonu, który nazwałem salonem dwóch światów. Okręt, odbiwszy od brzegów Europy i przecinając Atlantyk, po dwóch-trzech dniach żeglugi, dosięga punktu, w którym ocean — jestże to suggestja, czy wrażenie bezpośrednie? — zda się jakgdyby odmieniać pozór, inną przybierać barwę, innym mienić się odblaskiem: jest to punkt, w którym wspomnienia i echa Europy umilkają, występują natomiast na widnokręgu jakby przeczucia i brzaski Ameryki, zapowiadające burzliwe, huraganowe tętno jej życia.

W takim punkcie, gdy nastanie noc, gdy niebiosa i wody roztopią się w mroku, i gdy dzięki przyjaznym warunkom atmosferycznym fale Hertza ogarną całą półkulę siecią niewidzialnych drgnień elektrycznych, owo wrażenie kołysania się na rubieży dwóch światów występuje ze szczególną wyrazistością. Wystarcza wtenczas przywdziać czepek radjotelegrafisty, aby ulec zdumieniu i oczarowaniu. Głosy stacyj europejskich z ich linjami i z ich dźwięczną wibracją stają się coraz mętniejsze, coraz głuchsze, z wyjątkiem jakiegoś jednego, gasną wszystkie. W końcu zgasł i ten ostatni. Europa zamiera... Nastaje okres głębokiego milczenia i samotności, nadzwyczajnie przypominający tę chwilę uciszenia, jaka poprzedza świt przedranny... Aż po paru dniach, którejś nocy, przywdziawszy znowu ten sam aparat, podróżny zaczyna chwytać inne głosy, zrazu bardzo ciche i dalekie. Są to pierwsze posterunki amerykańskie, potrącające podróżnych wibracją swych promieni.

Śród nocy następnych, głosy te rosną, niby sygnały zwycięskie, wzmagają się, poczynają zaludniać olbrzymią przestrzeń Atlantyku, napełniać ją czarnoksięstwem nowego cudownego życia. Ameryka gra swą fanfarę zwycięstwa!...

Bujający po morzu salon dwóch światów staje się w tej jedynej chwili czemś uczestniczącem naprawdę w wielkim dramacie świata. Dzięki głosom, chwytanym w muszli mikrofonu, ogniskuje on w sobie, na jedno mgnienie oka, świadomość dwóch kontynentów, odległych i przeciwnych sobie, dwóch następujących po sobie okresów, dwóch etapów kolosalnych, przez które zmierza dziejowy pochód ludzkości. Przez tę chwilę i dzięki niej, przygodny pokład parostatku, niosący pianę pychy i próżności, zmienia się w misterjum owej prostoty, w jaką znaki swe obleka — Historja; a goście tego pokładu — fanatyczni adepci zbytku w pogoni za kaprysem — dorastają nagle miary i powagi tych, którym dano było spojrzeć w oblicze Tajemnicy.

CO TO JEST EUROPA?

Europa, cywilizacja europejska, duch europejski: — oto pojęcia, do których odwołujemy się na każdym kroku, które stały się jakby herbem naszej dojrzałości dziejowej, najszacowniejszą puścizną wieków, klejnotem szczególnego wybrańства i przodownictwa w świecie.

Ale co to jest Europa? Ale na czem polega europejskość?

Ciekawą i ważką odpowiedź na to pytanie dał znakomity pisarz francuski poeta i myśliciel, Paweł Valéry, w krótkiej, lecz żyznej rozprawie, omawiającej współczesny kryzys duchowy Europy, a zawartej w jednej z niedawno wydanych jego książek, p. n. „Varieté" („Rozmaitości").

Kryzys duchowy, którym niepokoi się nasz autor, jest tragedją, pod którą ugina się całe nasze pokolenie: to pokolenie, którego moment wstępowania w życie zbiegł się z nawałnicą wielkich i straszliwych zdarzeń, i które blizny od gromów tej nawałnicy zachowa na swem czole aż do grobu...

Gdzież znajdziemy zacisze, gdzie zakątek, na którychby nie odbiło się niszczące działanie wojny? Spu-

stoszeniu uległo coś więcej, niźli to, co może być z dnia na dzień odnowione. Któż ogarnie przewrót, jaki wojna wniosła w życie gospodarcze, w ustroje państw, w codzienny byt jednostek? Wszędzie szukanie nowych dróg, wszędzie błądzenie po-omacku, wszędzie niepewność...

Wstrząśnieniu uległ nietylko nasz byt materjalny: wstrząśnięty jest do głębi nasz duch... Nasz duch europejski!

Lecz, aby ująć i określić duchową istotę społeczności europejskiej, Paweł Valéry bierze wogóle — człowieka. Człowiek w jego ujęciu, jest to szczególny, wyjątkowy osobnik, który posiada zdolność przeciwstawiania się swemu środowisku. Gdy wszystko, cokolwiek żyje na ziemi, przeistacza się jedynie pod działaniem czynników zewnętrznych, człowiek sam w sobie niesie źródło nieustannnych przemian, sam z siebie odradza się bez przerwy.

Gdy wszystkie istoty żywe dążą do osiągnięcia równowagi z warunkami otoczenia, człowiek wciąż równowagę tę kruszy, wyrastając ponad to, co zdołał osiągnąć.

Przeszłość przeciwstawia teraźniejszości; przyszłość czasom minionym; sny własne i marzenia — rzeczywistości.

Ów dar tworzenia snów i marzeń jest koronnym darem człowieka. Jest tem, co go wyróżnia i wywyższa ponad wszystko, co żyje na ziemi.

Ale człowiek — ów nieśmiertelny marzyciel! — nie jest marzycielem bezpłodnym! Jest to zarazem kowal

niestrudzony, który sny swoje przekuwa w kształty widzialne.

Jakie sny śnią się oczom człowieka? I które z pośród tych snów niezliczonych oblekły się w ciało?

Zatońmy na chwilę w sobie; spójrzmy wokół siebie. Rzućmy okiem na książkę; przedewszystkiem na tę naczelną Księgę Ksiąg, która mówi o początkach człowieka. Otwórzmy Księgę Rodzaju: otóż już pierwszym wersetom jej objawienia, pierwszym krokom człowieka na ziemi, towarzyszy sen o zdobyciu „wiadomości złego i dobrego" — sen o wiedzy i nieśmiertelności: te cudowne owoce z drzewa żywota i z drzewa poznania, czyliż nie nęcą nas dzisiaj tak samo, jak w pierwszym dniu stworzenia?

Posuńmy się o kilka stronic dalej, a znajdziemy w tej samej Biblji sen o zgodzie i przymierzu ludzkości, powołanej do pracy wspólnej nad budową wieży braterstwa: „Byli — mówi Pismo — jako jeden naród i mówili między sobą jednym językiem..." Dziś żyjemy w dobie Ligi Narodów, ale idea, która jej przewodniczy, czyż nie jest tym samym snem, który śnił się budowniczym Wieży Babel?

Działać na odległość; wyrabiać złoto; przetwarzać metale; pokonać śmierć; odsłaniać przyszłość; mówić, widzieć i słyszeć z jednego krańca świata na drugi; szybować w powietrzu; pływać pod wodą: — któż zliczy wszystkie sny i tęsknoty człowieka?

Lista ich, gdybyśmy zapragnęli je spisać, byłaby nieskończenie długa. A przecież zespół tych snów, marzeń i tęsknot stanowi osobliwy program: program, który

związany jest z pochodem człowieka przez dzieje, i który dziejom tym przewodniczy.

Wystawmy sobie na chwilę, żeśmy taką listę programową sporządzili — taką listę marzeń. Natychmiast zdejmie nas ochota, aby listę uzupełnić listą ziszczeń: obok każdego marzenia umieścillbyśmy to, co zrobiono, aby je urzeczywistnić.

Jeśli, dajmy na to, w jednej kolumnie zaznaczymy marzenie o locie wraz z imieniem Ikara, to w kolumnie zdobyczy należałoby wypisać łańcuch wynalazków od Leonarda da Vinci do Wright'a i Bleriota.

Przykłady takie możnaby snuć bez końca. Obok kolumny wynalazków, odkryć i zdobyczy zarysowałaby się, oczywiście, kolumna zawodów, t. j. marzeń niespełnionych. Niektóre z tych marzeń są już ostatecznie przekreślone — jak kwadratura koła, lub „perpetuum mobile"; — inne, acz zuchwałe, nie przekraczają granic możliwości.

Ale ogarnijmy raz jeszcze i zestawmy ze sobą te dwie listy: listę marzeń z listą zdobyczy! Wniosek, jaki się stąd wyłoni, uderzy nas swoją oczywistością, a zarazem pozwoli nam rękę niemal położyć na bijącem tętnie Europy; na pulsie tego, co stanowi istotę ducha i cywilizacji europejskiej.

Że wszystkich zdobyczy najliczniejsze, najbardziej olśniewające i najowocniejsze są dziełem dość szczupłego odłamu ludzkości i ziściły się na obszarze bardzo niewielkim w stosunku do całości ziem zamieszkałych.

Tem miejscem uprzywilejowanem jest Europa. Tym mocarnym kowalem, który odwieczne sny ludzkości przekuwa w rzeczywistość, jest Homo Europeus: Człowiek Europejski.

Europa zatem, to — coś więcej, niż pojęcie geograficzne i coś więcej, niż twór historyczny. Europa i europejskość nie polega ani na rasie, ani na języku, ani na obyczaju.

Europejskość jest to twórczość i owocność marzenia, idącego w parze z potęgą woli, która to marzenie wciela w budowę powszechnego życia.

Spójrzmy na mapę Europy. Pod względem geograficznym, jest to tylko przylądek, jakby krużganek wielkiego lądu Azji.

Ale na tym drobnym skrawku ziemi, wre i kipi praca nieprzerwanym ciągiem od lat trzech tysięcy; wre i kipi praca tak ogromna, że plony jej urosły w potęgę równą niemal potęgom przyrody.

Gdy ludy, zamieszkujące lądy pozostałe, trwają jakgdyby nieruchome na odwiecznych pozycjach swego obyczaju, swej wiedzy i swych uzdolnień praktycznych, społeczność europejska płonie nieuśmierzoną gorączką poszukiwania.

Różnica w poziomie wiedzy i potęgi między Europą a resztą świata już przed wiekami staje się tak wydatna, że stanowczo szalę przewagi przechyla na korzyść naszego drobnego lądu.

Europejczyk, zbrojny wyższością kultury, rusza na podbój świata. Pęd cywilizacji wznawia pierwotne fale najazdu, ale odwraca ich kierunek. Duch europej-

ski wciela w krąg swego posiadania dziewicze ziemie Ameryki i Australji, na obszarze zaś Azji i Afryki zatyka swój sztandar hegemonji.

Jednocześnie Europa rozbudowywa się sama w jedno — rzekłby Żeromski — pracowisko postępu, w jedno otchłanne miasto, połączone szlakami dróg żelaznych, wodnych i powietrznych.

Jest tak szczupła, że można ją zwiedzić w ciągu dni kilku, a zarazem tak rozległa, że zawiera w sobie wszystkie odmiany klimatu, wszystkie odmiany kultury i terenu.

Posiada swe miasta-muzea i swe ogrody-miasta; swe pracownie, swe kuźnie i swe salony. Ma Wenecję, ma Paryż, ma Oxford, ma Monachjum, ma Warszawę.

Gdy inne lądy poprzestają na sobie, grążą się we własnej przeszłości i z własnych tylko korzystają doświadczeń, myśl europejska ogniskuje w sobie pamięć wszystkich wieków i krajów.

Wyrasta poza siebie, bada, ryzykuje, doświadcza w skali wszechświatowej!

Człowiekiem wielkim w Europie bywa ten, który kocha, zdobywa lub cierpi katusze za miljony współbraci. Duchem, wyrażającym istotę Europy, jest duch - wieczny rewolucjonista. Wielcy poeci Polski — Mickiewicz i Słowacki — gdy wypowiadali najgłębszą tajń swej osobowości, nie przypuszczali zapewne, że ta ich wypowiedź tak bardzo zgadzać się będzie z tem, co Paweł Valéry, pisarz francuski, w sto lat później poczyta za treść duszy europejskiej.

Ta dusza Europy dzisiaj jest skłócona, rozdarta i zawichrzona namiętnościami, w których nienawiść zmaga się z popędami wspólnej wiary i wspólnych umiłowań.

Kontrasty rasowe, różnice języka i narodowości, wreszcie egoizmy gospodarcze pokrajały — zda się, nieodwołalnie — społeczność europejską w szachownicę przeciwieństw, biegnących wzdłuż granic, najeżonych bagnetami...

A przecież ani przeciwieństwa, ani sycona niemi nienawiść, nie zabija w nas poczucia wspólnej macierzy, której imieniem, jak tarczą, osłaniamy się zawsze, ilekroć stanąć nam wypadnie oko w oko z Arabem, Murzynem, Chińczykiem, lub Mongołem.

Ż niepożytą mocą dobywa się wtenczas na usta nasze imię tej macierzy, obejmujące kraje zachodniej i środkowej Europy. Ż niepokonaną dumą uświadamiamy sobie, że, ze stanowiska czysto ludzkiego, obszarem wiedzy i potęgi Europa dziś jeszcze — po krwawym potopie wojny — waży więcej, niż reszta powierzchni ziemskiej. A raczej nie Europa, ale duch jej, ów duch europejski, który przekroczył Atlantyk i — porwał w swój zawrotny pochód Amerykę!

Trzy pierwiastki, trzy wpływy przemożne — powiada Paweł Valery — kształtowały ducha Europy w jego pracy wiekowej: wpływ Rzymu, wpływ chrześcijaństwa i wpływ Grecji antycznej, ten ostatni ze wszystkich trzech — najważniejszy.

Dodać można, że i jedynie rozstrzygający, zważywszy, że dwa inne wpływy, acz miały udział dzie-

jowy niewątpliwie doniosły, to jednak pierwszy z nich, Rzym starożytny, był tylko — w sferze umysłowej — odbiciem starożytnych Aten, tylko przewodnikiem genjuszu greckiego; chrześcijaństwo zaś, zrodzone zresztą w Azji, oddziaływało silniej na masy, niż na indywidualną myśl naukową, która od czasów Odrodzenia skierowała się na tory samoistne.

Jeśli ponowimy teraz swe zasadnicze pytanie, co to jest Europa? — odpowiedź, w przybliżeniu, będzie brzmiała tak:

— Gdziekolwiek imiona Jezusa i Pawła apostoła, imiona Juljusza Cezara i Wirgiljusza, imiona Platona i Euklidesa znajdują oddźwięk i zrozumienie, tam wszędzie jest Europa!

Każdy kraj, który uległ romanizacji, który przeorany był etyką chrześcijańską i wychowany na wzorach myśli greckiej, każdy kraj taki jest cząstką Europy. Kto w osnowie swych dziejów nie posiada ani jednnego z owych trzech wątków tradycji, ten nie jest europejczykiem! Ten jest nagim lub zamaskowanym barbarzyńcą!

WIELKI NARÓD W MAŁEM PAŃSTWIE.

Jeżeli o jakimś narodzie można dziś powiedzieć, że wskrzesił w sobie wielkość i dumę starożytnych Rzymian, to zapewne o Anglikach. W ich polityce, w ich mowie, w ich literaturze czuje się obszar potęgi, opartej o połowę kuli ziemskiej. Jeżeli żywotność kultury mierzyć zakresem ekspansji i podboju, to kultura angielska prześcignęła wszystkie inne. Jeśli, słowem, w połączeniu wielkiego narodu z wielkością mocarstwową państwa widzieć należy pewien ideał polityczno-cywilizacyjny, to ideał ten najlepiej osiągnięty został przez Anglję i słusznie stanowić może prawowitą chlubę każdego jej obywatela.

A jednak jest coś ponad tym ideałem — lub może obok niego — przed czem sam Anglik ze czcią uchyla czoła, jako przed wartością, nie ustępującą w tej samej dziedzinie jego własnej wartości.

Obok kategorji: „Wielki naród w wielkiem państwie" — istnieje kategorja niemniej zaszczytna: „W małem państwie — naród wielki".

*

James Bryce, słynny pisarz angielski, podróżując po świecie, przybył razu pewnego do Szwajcarji i zatrzy-

mał się w jej stolicy, Bernie, gdzie śród miejscowego towarzystwa miał wielu znajomych i przyjaciół. Bryce widział Szwajcarję nie po raz pierwszy. Znał ustrój i charakter jej urządzeń państwowych i wiedział, że niepodobna byłoby wyobrazić sobie bardziej demokratycznego toku życia.

I znał owoce tego ustroju.

Administracja sprężysta, jak stal, rzetelna i wcale nie kosztowna. Przedajność urzędnicza prawie nieznana, gdyż najmniejszy jej objaw wywołuje bicie dzwonów na trwogę. Szkolnictwo wyposażone tak hojnie, jak nigdzie indziej. Roboty publiczne w pełni rozwoju. Ład niezakłócony. Wymiar sprawiedliwości wzniesiony ponad wszelkie rozterki stronnicze. Obrona granic polegająca na orężnem pogotowiu narodu Skarbowość kwitnąca: komuż nie imponuje frank szwajcarski? Równość obywateli nietylko zawarowana prawem, ale żywa w poczuciu ludności. Klasy społeczne walczą ze sobą, i walczą nieraz wytrwale, ale bez nienawiści i bez uczuć zemsty lub odwetu...

Anglik znał wszystkie te jasne strony kantonów alpejskich i nie tail dla nich swego podziwu. Wszelako tym razem — z niewiadomych przyczyn — zbudził się w nim jakgdyby demon przekory:

— Demokracja, oświata, dobrobyt: tak, tak, wszystko to jest bardzo ładne; ale czy ten jasny obrazek w minjaturze, malowany błękitem jezior i śniegiem gór, nie zawiera, przypadkiem, także stron ciemnych i plam?

*

Gdy więc znalazł się w gronie przyjaciół szwajcarskich, skorzystał z nastroju szczerości, jakim go otoczono, i postanowiwszy wygarnąć z duszy swą wątpliwość, rzekł bez ogródek:

— Niema doskonałości na świecie, więc nie zna jej zapewne i wasza rzeczpospolita. Ilekroć patrzę w oblicze waszego kraju, zawsze widzę przed sobą twarz dostojną i uśmiechniętą. Ale jednocześnie coraz silniej nagabuje mnie pytanie, czy to oblicze pogodne nie tai pod uśmiechem jakiejś tajemnej troski, jakiegoś cichego bólu, jakiejś tłumionej zgryzoty? Skoro są plamy nawet na słońcu, nie bez tego, aby ich nie miała wasza konstytucja, wasza polityka lub administracja; nie bez tego, aby nie było jakichś niedomagań, jakichś bolączek publicznych, jakichś wreszcie nadużyć... Czy możecie dać odpowiedź szczerą?

Szwajcarzy zamyślili się przez chwilę, poczem jeden z nich odrzekł, ze smutkiem podnosząc głowę:

— O, nie wszystko i u nas jest w porządku. Daleko do tego!

Upłynęła dłuższa chwila, nim podjął nanowo:

— Istnieje u nas zwyczaj, że wszelkie wnioski, nim wejdą pod obrady izby prawodawczej, rotrząsane bywają przez osobne komisje, które obowiązane są następnie przedstawiać swoją opinję. Komisje te lubią pracować latem. Obierają sobie siedzibę w górach, kędy żyją na koszt państwowy, i tam przeciągają swój pobyt ponad miarę konieczną. Nie mówię, aby wszystkie komisje postępowały w ten sposób, ale niejedna

dała się na tem przychwycić. I wtenczas wybucha zgorszenie w całym kraju!

Ostatnie słowa Szwajcara zabrzmiały surowo, jakgdyby pokonać chciały ból i wstyd owego zgorszenia.

Ale Bryce, wzruszony, nie zważając na twarde akcenty przyjaciela, zerwał się z miejsca, i podbiegłszy doń, chwycił go w otwarte ramiona:

— Jeśli innych grzechów nie macie na sumieniu — zawołał — rozgrzeszam was i witam w was wielki naród świata, a jednocześnie powiadam: dzięki czyńcie Bogu, że uczynił was obywatelami tak błogosławionej krainy!

*

W tej chwili znakomity pisarz angielski pomyślał zapewne o własnej ojczyźnie i oczyma duszy zatoczył koło nad jej niezmiernemi włościami. Jak w błyskawicy, stanęły mu w oczach lądy, zmienione w dominja, i oceany, zmienione w jeziora angielskie. Ale gdy owe lądy, owe oceany, cały ów ogrom potęgi zestawił z bezmiarem niedoli, krwi i jęku, jaki wlecze za sobą tryumfalny wóz przemocy i panowania narodu nad narodem; gdy ogarnął niezliczone ofiary, na których zwycięski imperjalizm opiera się w swej własnej metropolji i w swojej własnej stolicy; gdy pomyślał, że we wszystkich kantonach helweckich nie znajdzie się ani jeden okaz takiej nędzy i poniewierki ludzkiej, jaką w Londynie zaludnione są całe dzielnice, gdy objął to wszystko razem i postawił w myśli obok siebie:

— Tak, drodzy przyjaciele, — rzekł, kończąc myśl swoją na głos: — dzięki czyńcie Panu, że uczynił was obywatelami małego państwa, ale synami wielkiego narodu.

Ciężki, obarczony łupami całego świata imperjalizm skłonił się w owej chwili politycznemu typowi rąk nieskazitelnych i czujnego sumienia.

SŁUGA Z BOŻEJ ŁASKI.

Baron Hugo von Reischach, były marszałek dworu trzech ostatnich na tronie Hohenzollernów, Wilhelma I, Fryderyka i Wilhelma II, ogłosił księgę pamiętników*), ogarniającą półwiecze zdarzeń, których sam był świadkiem; zdarzeń nieraz drobnych, jak jego dusza, nieraz uroczystych, jak jego kostjum, nieraz doniosłych, jak depesza, niosąca żagiew wojny, a prawie zawsze charakterystycznych i tem właśnie ciekawych, że podane są w oprawie, pochodzącej ze świata, który już odszedł w przeszłość.

Hugo von Reischach, istotnie, patrzy na wszystko oczami dworaka, ale dworaka, który w pojęciu swem służy nie osobie monarchy, tylko dynastji, t. j. wcielonej w krew pokoleń idei monarchicznej. Owa to właśnie idea i związana z nią służba nadaje znamię głębszej powagi książce, która sama prze się nie zaleca się szczególniejszą wartością literacką i nie zawiera żadnych sensacyjnych dla historji odkryć.

Sensacją w tej książce, noszącej datę 1925, jest sama postać autora! Człowieka, a raczej typu ludzkiego, który z dziada-pradziada nosząc mundur dwor-

---

*) „Unter drei Kaisern", 1925. Verlag fuer Kulturpolitik.

ski, jest żywą opowieścią o tem, jak pod cieniem panujących w górze dynastyj wyrastały u ich stopni, ale na glebie tej samej tradycji, ciche, wierne i przysięgłe dynastje sług.

Instytutowi absolutnego lub półabsolutnego władcy odpowiadał i towarzyszył instytut dziedzicznego sługi, w którego oczach i w którego duszy odbija się majestat korony, jak słońce odbija się w stawie. Baron Hugo von Reischach, marszałek, a potem i koniuszy dworu, urodził się dla liberji monarszej tak samo, jak jego władcy rodzili się dla korony. I gdy Hohenzollerni nosili tytuł królów i cesarzy z bożej łaski, o ich starym słudze rzec możnaby z równą miarą etykiety, że był sługą z bożej łaski.

*

Okres, objęty pamiętnikami Reischacha, zamyka się w tem dziwnem kole fortuny, jakie zakreśliła potęga Niemiec, wzniósłszy się ku szczytom rozwoju, aby nagle runąć w odmęt katastrofy wojennej.

Z dramatem tej to epoki splótł się jego dramat osobisty.

Rzecz zrozumiała, że łuna klęski końcowej rzuca poprzez karty pamiętników światło wsteczne na cały przebieg zdarzeń minionych. I rzecz niemniej zrozumiała, że wszystkie promienie sympatji starego marszałka skupiają się w głębi obrazu, na postaci pierwszego cesarza, fundatora jedności niemieckiej, Wilhelma I. Gdy postaci tej dotyka, słowa i wspomnienia nabierają ciepła i barwy: czuje się, że kajzer ten miał

tron swój w samem sercu dworzanina. W stosunku do tego monarchy Hugo żywi coś więcej, niż entuzjazm, który spala się w hołdzie dla zasługi; ma dlań rozrzewnienie, które przesuwa w pamięci, niby drogocenne paciorki, najbłahsze przygody cesarza i kocha go nawet w jego wadach i słabościach.

Ż jakim serdecznym zapałem mówi Reischach, naprzykład, o sknerstwie swego imperatora! Ż jaką pieczołowitą, zaiste, drobiazgowością opisuje kłopoty administracji pałacowej, którą nie miała za co nabyć wanny kąpielowej, i która przeto dwa razy na miesiąc wypożyczać musiała wannę z pobliskiego hotelu, aby majestat pański się wykąpał!

A oto inny klejnocik rozczuleń Reischacha. Razu pewnego, wieczorem, chcąc wejść do komnaty monarszej, spotkał się na jej progu z niespodzianym zakazem:

— J. K. Mość w tej chwili zmienia ubranie — oświadczył stojący u drzwi kamerdyner.

— Zmienia ubranie? — zdziwił się marszałek, który wtenczas był zaledwie od dni kilku na służbie i nie znał zwyczajów swego pana: — jakto? przecie dopiero co skończył się obiad galowy!

— Właśnie dlatego — odparł kamerdyner: — czyż najjaśniejszy pan ma do teatru brać swe nowe spodnie?

Scenki rodzajowe, podobne powyższej, opisuje autor z lubością i namaszczeniem, dostrzegając snadź prostą drogę wiodącą od nich ku obrazom siły i tęgości pruskiej. Daleki od upatrywania w scenkach tych

żywiołu komicznego, podkreślał w nich poszlaki i świadectwa tych wielkich cnót, któremi urośli Hohenzollerni, i które zdawały się w ich rodzie nie wygasać. Niechlujne skąpstwo, lichwiarskie oszczędności, w oczach starego sługi, jaśniały zadatkiem i zapowiedzią tych wszystkich zasług, jakie rodziła rządność i gospodarność na tronie, i które w połączeniu z bezwzględnością wyniosły drapieżników brandenburskich z prowincjonalnego zaścianka ku berłu rozległej władzy. Obyczaj, który potężnemu monarsze nakazywał zmieniać strój natychmiast po obiedzie galowym, był nietylko aktem ekonomji, ale kanonem etyki pruskiej. Etyki, która mówiła, że szczodrość i rozrzutność może dać sławę królowi, ale oszczędnością dźwigają się w górę dynastje i mocarstwa. Owe zaś spodnie, tak wiernopoddańczo wyróżnione, w ręku marszałka zmieniały się na symbol godny wzniesienia na drzewcu sztandarowem: jak w sztandarze bowiem żył w nich i łopotał testament polityczny wielkiego Fryderyka, który grabił i przywłaszczał całe prowincje, ale jednocześnie kuchmistrzowi swemu pod rachunkiem wydzielał warzywa na stół królewski.

Sztandar starodawnej tradycji zachwiał się nad rezydencją królów pruskich po śmierci Wilhelma I. Krótkie studniowe panowanie Fryderyka III, nie mogło wnieść zmiany stanowczej, niemniej przecież zbudziło pierwsze obawy i zadumy Reischacha. Na dworze berlińskim powiał jakgdyby przelotny prąd liberalizmu angielskiego. Śród wzmagającej się świetności cesarstwa surowy marszałek poczynał czuć się obco;

był skrępowany, i widział, że osobą swą krępuje innych.

— Jak pan, panie baronie — spytała go kiedyś cesarzowa, żona Fryderyka — jak pan, będąc człowiekiem niestarym, może wyznawać tak zacofane poglądy?

Nie zrozumiał wyrzutu. Nie podjął aluzji do swych lat. W swej przysięgłej służbie u dworu nie był nigdy ani młodym, ani starym. Czuł się współwieczny z historją swoich panów.

Obawy i nieporozumienia wzmogły się, gdy wstąpił na tron kapryśny Wilhelm II. Nie ukoił twardego barona świeży tytuł koniuszego, jakim wtenczas właśnie go zaszczycono. Nowy koniuszy niechętnym patrzył okiem na nowości i nowinki majestatu. Z oszołomieniem stwierdza, że, gdy dziadek posiadał wszystkiego cztery karoce dworskie, cesarski wnuk ma ich dwieście; gdy pierwszy podróżował w jednym wagonie salonowym, drugi miał całe pociągi dworskie oraz kolumny samochodów, przeznaczonych do osobistego użytku.

Marszałek i wielki koniuszy dworu boleje, ale nie szemra. Wolałby on, aby majestat cesarski nie rozdrabniał się w zbytku i próżności, ale przeciw fantazjom pańskim nie powstaje. Wola monarchy jest wolą w swoim każdym atomie.

Innego i większego trzeba będzie taranu, aby rozkruszyć, po latach dwudziestu, tę skałę wiary, miłości i... ślepoty monarchicznej!...

*

Dymisja Bismarcka nie nastręczyła Reischachowi żadnych zastrzeżeń. Czyż J. C. Mość nie jest mocen zmieniać i dobierać sobie kanclerzy, jak zmienia kamerdynerów? Nie autokratyzm monarchy, ale próby krępowania tego autokratyzmu wydają mu się zamachem na ład i ustrój społeczności. Gdy Herbert, syn Żelaznego Kanclerza, mówiąc o dymisji ojca, nie mógł powstrzymać się od gorzkiej uwagi, że fakt ten oznacza ruinę cesarstwa, von Reischach odpowie mu z godnością:

— Świadczyłoby to, że dzieło ojca pańskiego było utopją!

Lojalny marszałek nie przeczuwał, ile w jego warunkowem zdaniu taiło się prawdy! Ale tradycja monarsza, gdyby mogła przemówić, czyż inną dałaby odpowiedź synowi urażonego dostojnika, który ośmielił się zakładać apel do historji ponad głową swego władcy?

Wedle historjozofji Reischacha, królowie pruscy nie zbłądzili nigdy, gdy szli drogą własną, choćby iść wypadało wbrew większości swego narodu. Wielkość Prus była dorobkiem królów, a zjednoczenie Niemiec było dorobkiem Prus. Idea demokracji, w ujęciu tej polityki dworskiej, bywała awanturniczą humoreską wtenczas, gdy uzbrajała lud przeciw uzurpatorstwu korony, monarcha bowiem miał dość siły, aby poskromić opornych; ale idea ta stawała się dla Reischacha herezją, gdy w koronie pomazańców bożych chciała widzieć tylko ukoronowaną wolę ludu. Monarcha, bę-

dący prawdziwym władcą, nie może roztapiać się w świadomości i woli swego narodu. Znaczyłoby to, że jest zbyteczny. Aby utrzymać się w swem powołaniu, musi on wielekroć narodowi swemu przeciwstawiać się i, wiodąc go, walczyć z nim, jak walczył ze swym ludem Mojżesz. Monarcha, godny własnego imienia, częściej bywa swego narodu kowalem i rzeźbiarzem, niż wykładnikiem lub wyobrazicielem. Takimi, przynajmniej, byli wielcy i najwięksi: Gustaw Adolf, Ludwik XIV, Fryderyk II, Piotr Wielki.

Taki ideał monarchy piastował Reischach, patrząc na pierwsze kroki młodego Wilhelma. Ten ideał tłumaczy nam dziwne pozornie zjawisko, że, nie przejmując się zbytnio frondą odsuniętego od rządów Bismarcka, marszałek nie na żarty zaniepokoił się wtenczas, gdy dojrzał wokół tronu skupiające się żywioły partji wszechniemieckiej. Bardziej, niż odosobnienia, zląkł się dla korony entuzjazmu, który jej groził porwaniem i ujarzmieniem przez namiętności szerokich mas. Zagorzały wstecznik wybaczał cesarzowi zbytkowne pociągi dworskie: nie mógł wybaczyć mu tego nowego zbytku, jakim stał się szał popularności. Upatrywał on w nim najcięższą zniewagę, jaką można wyrządzić majestatowi: kompromis z demokracją w jej najgorszej postaci. Sojusz z „wszechniemcami" był dla tego legitymisty samozaparciem się monarchji, początkiem jej samobójstwa.

Gdy wybuchła wojna, Reischach, towarzyszący stale osobie cesarza, miał możność śledzenia dzień po dniu, przebywając w kwaterze głównej, jak na wzbie-

rającej fali „wszechniemiectwa" nadciągało nieodparte widmo katastrofy. Zwycięstwa niemieckie grzmiały jeszcze na wszystkich frontach, gdy stary sługa królów ujrzał przepaść w sobie i przepaść poza sobą: poczynał sądzić swojego monarchę!...

— 9 stycznia 1917 — opowiada — znalazłem się na zamku w Pszczynie. Zapukałem do drzwi Valentiniego (szefa gab. cyw. Wilhelma). Odpowiedział mi głos nieznajomy. Wszedłem i zastałem kanclerza Bethmana, wyciągniętego na kanapie, w stanie ostatecznego przygnębienia. Spytałem:

— Przegraliśmy bitwę?

— Nie — odrzekł kanclerz. — Gorzej... — Finis Germaniae!

— ??

— Przed chwilą odbyła się rada koronna. Całą godzinę mówiłem przeciw użyciu łodzi podwodnych. Jestem pewny, że krok ten spowoduje wystąpienie Ameryki. Gdym skończył, zerwał się admirał Holtzendorff i zawołał: Ręczę słowem oficera marynarki, że ani jeden amerykanin nie postawi stopy w Europie!... Kajzer przyznał słuszność admirałowi.

Od tej chwili Reischach nie wierzył już w zwycięstwo Niemiec Wilhelma II. Im bliższa stawała się godzina pogromu, tem bardziej w duszy jego łamało się to wszystko, co było jej tradycją i dogmatem. Kruszyło się to, co było uniformem dworaka, a w dworaku budził się ktoś obcy, dziki i nieznany: człowiek!

I w miarę, jak ów gość obcy i obcesowy nabierał w nim praw obywatelstwa, wydziedziczony marszałek poczynał także i w innych dokoła siebie figurach szukać i rozpoznawać ludzi. I wpadł na szaloną myśl: zapragnął odnaleźć człowieka pod koroną cesarza. Reischach od dawna wątpił był o ratunku dla Niemiec; nie wierzył już nawet w ocalenie monarchji. Ale dlatego, być może, chciał wierzyć i resztką życia wmawiał w siebie, że Wilhelm ocali w sobie człowieka.

Wtenczas, w tej jednej chwili, wielki ów dygnitarz i mały człowieczek wyrósł i ponad swój mundur i ponad swe własne ramiona: linją skromnych, osobistych swoich uczuć przeciął się z wielkim duchowym szlakiem całych Niemiec. W wysiłku jego kruszącej się a nieustępliwej wiary załamywała się monarchiczna wiara starej Germanji.

Przyszły pamiętne dni listopadowe, a wraz z nimi rewolucja w Berlinie. Nadwątlone siły starca nie wytrzymały próby: popadł w gorączkę i rozchorował się obłożnie. Prześladowało go tylko jedno pytanie: co uczyni kajzer?

Pytając w ten sposób, sądził jednak, że jest to pytanie zbędne. W tej godzinie ostatecznej, która wszystkich ze sobą zrównała, wierzył, że cesarz uczynić może tylko to samo, coby uczynił jego stary sługa, gdyby tylko mógł podnieść się z łóżka. Ruszy na front, stanie w szeregach walczących; nie odkupi błędów, ale spełni obowiązek wobec monarchji...

Ale tu czekał go potworny zawód. Dworak, który całe życie swe zamknął w idei monarchicznej, i który

w ofierze jej złożył wszystko, włącznie aż do własnego człowieczeństwa, doczekał chwili, w której idea ta potknęła się i padła właśnie na wartości człowieka.

— Cesarz wolał jechać na wilegjaturę do Holandji — kończy swe pamiętniki baron Hugo von Reischach, kładąc w swe słowa wyrok potępienia, jaki ciska poza siebie rozbita wiara pokoleń.

Militarna i polityczna klęska monarchji niemieckiej zda się być, istotnie, tylko epizodem, wobec dekretu, jaki zapadł na nią w świadomości jej najwierniejszego sługi.

NIEMCY PRZED SĄDEM POETY.

Czy Kellermann, pisząc swój „Tunel", przeczuwał, że stawia tezę, po której przyjdzie mu wypowiedzieć straszliwą antytezę? Czy najtajniejszym lękiem podświadomym przewidywał, że śni sen, po którym nadejść ma okrutne i groźne przebudzenie?

To pewna, że między „Tunelem" a „9-ym Listopada" istnieje przepaść szersza i głębsza, niż ocean Atlantycki, którego brzegi przeciwległe w wizji Kellermanna, połączyć miał prometejski czyn zuchwałego Amerykanina. Nic dziwnego. Ta przepaść wypełniona jest krwią i łzami czterech lat wojny.

Teza i antyteza. Twierdzenie i przeczenie. Byt i niebyt. Wolność i niewola. Oto stosunek, w jakim stoją względem siebie te dwa — oba niebylejakie — utwory Kellermanna. „Tunel" i „9 Listopada".

Tam, w „Tunelu" rozlega się tryumfalna pieśń pracy i przedsiębiorczości: myśl i ramię człowieka, w zgodnym wysiłku, wykuwają nowe wartości świata. Genjusz twórczości ludzkiej wzbija się tam do wyżyn potęgi kosmicznej. Siegą zenitu ekstazy. Myśl człowieka wplata się jak promień w promienie słońca. Ramię człowieka wiąże się i brata z ramieniem wi-

chrów. Myśl i ramię człowieka popychają bryłę ziemską wzwyż. Przypominają matce-ziemi, poradlonej grobami, że jest córą gwiaździstego nieba; że ma prawo marzyć o nieśmiertelności; że przez człowieka, syna swojego, stanie się nieśmiertelna; że nowem zaświeci słońcem, słońcem przeistoczonej w moc i w jasnotę ludzkości.

Pomyślcie tylko: Mac Allan tunelem podmorskim łączy Amerykę z Europą! Z dziedziny żywych stosunków ludzkich usuwa przedział oceanu, to jest coś więcej, niż najdonioślejszy fakt, wzniecający zaciekawienie wszystkich mieszkańców ziemi. To wykracza poza ziemię. To jest coś, co czyni z planety naszej objekt twórczej, kształtującej woli. Coś, co na planetę naszą pozwala spojrzeć od strony potęg, które ją stworzyły. Coś, co mogłoby zaciekawić inteligentnego mieszkańca każdej innej planety, stanowiącej część naszego systemu słonecznego. Albowiem ten, kto przekształca ustrój ziemi, kto czyni z niej odskocznię dla swej woli, ten przestaje do ziemi należeć i wznosi się ponad nią. Nie jest już prochem ziemi ten, kto na ziemię spojrzał oczami stwórcy.

Wszelako „Tunel" Kellermannna to — nietylko pean, wyśpiewany na cześć wysiłku, który tworzy cuda potęgi; to był także hymn wyśpiewany u stóp serca, które tworzy cuda miłości, braterstwa, zaufania powszechnego i powszechnej komunji duchów.

Tunel, łączący drogą podziemną dwa obce sobie lądy, to symbol tych wszystkich dróg, które przebić należy skroś nienawistne przeszkody, dzielące pań-

stwo od państwa, naród od narodu, człowieka od człowieka. To — symbol i zwiastowanie tych wszystkich węzłów zgody i jedności, któremi wzmóc należy dzieło solidarności w łonie zwaśnionych dotąd krajów i kultur.

— Wierzę w genjusz umysłu ludzkiego i w płodność jego wysiłku! Wierzę w genjusz serca ludzkiego i w potęgę jego miłości: oto, jak brzmiało zawarte w „Tunelu" credo Kellermanna.

Taki był jego sen. A przebudzenie?

*

Wyznanie wiary, spoczywające na dnie „9 Listopada", jest niemniej dobitne i wymowne. Może jeszcze bardziej dobitne i wymowne. Nie trzeba go w drodze syntezy budować z rozproszonych wrażeń i obrazów: autor daje wyznaniu swemu plastyczny i niezmiernie wypukły wyraz w postaci sceny, skupiającej, jakby pod soczewką, wszystkie myśli jego o trudzie, o rzemiośle wojennem: o katastrofie człowieka.

Z szerokich, powszechnoludzkich widnokręgów pracy, wytykającej nowe drogi lądom i oceanom, przenosi nas Kellermann pod niebo wysiłku niemieckiego, pod ciasne, nizkie, duszne niebo swojej niemieckiej ojczyzny.

Młody rewolucjonista Ackermann, po dniu, przemęczonym w straszliwej bezsilnej zgryzocie, zasypia...

Lecz oto, ledwie zasnął, poeta dotyka powiek jego palcami, w których drży gniew i zgroza sądów bożych: w śpiącym budzi się wzrok duszy. Stalowy wzrok, sięgający w głąb skrwawionego wojną narodu...

...Ujrzał (we śnie) żołnierza, jednego z tych kroci tysięcy, które widywał od tylu lat. Żołnierz w szerokim, szarym płaszczu, z małą, zmiętą, polową czapką na głowie, zajęty był pracą pośród rozległego, dymiącego oparami pola. Było tak ciemno, że chwilami zaledwie rozpoznać można było sylwetę żołnierza. Był wysokiego wzrostu; jego kościstą twarz okalała krótka, kłaczasta broda. Nie oglądając się na strony, bez przerwy kopał on szpadlem ziemię. Olbrzymi, w ziemię zaryty kamień wyłaniał się z głębi, i stopniowo nabierało się przekonania o jego niezmiernej wielkości. Był prawie tak wielki, jak owe tarcze ruchome, na których obraca się parowozy. Chwilami zdawał się ów kamień cokolwiek mniejszy, chwilami zdawał się zaś rozrastać powielekroć. W każdym razie był to głaz niebywale duży, i niewiadomo było, ile go jeszcze w ziemi się ukrywa. Żołnierz wziął teraz dźwignię do ręki, drąg ciężki z żelaznem okuciem, podsadził jeden koniec i rzucił się całym pędem swego ciężaru na jego przeciwległy koniec. Kamień ani drgnął. Niezrażony tem żołnierz ujął znowu za szpadel i począł głębiej kopać jamę wokół głazu. Całą masę ziemi wyrzucił szpadlem do góry; i z podziwem patrzało się na to, z jakim spokojem, wytrwaniem i poświęceniem pracował ten człowiek. Po raz drugi podważył dźwignią kamień, i — patrzcie! cokolwiek ruszyła się potworna, twarda bryła. U krawędzi kamienia pokazała się cienka rozpadlina w ziemi. Nie było więc wątpliwości: olbrzymi głaz drgnął w legowisku. Znowu żołnierz zawisnął u krańca dźwigni. Po raz pierwszy zwrócił on

twarz w stronę Ackermanna. Wyraźnie było widać, że pot oblewał tę twarz strugami, ściekał ku oczom, tak, że zdawały się one białe, jak śnieg. Z niesłychanym wysiłkiem przycisnął żołnierz drąg ku dołowi, kamień poruszył się wyraźniej. Niepostrzeżenie pochylił się on na jedną stronę, drugim zaś bokiem wzniósł się ku górze. Żołnierz rękawem otarł pot z czoła i mężnie podjął swą napozór beznadziejną pracę w dalszym ciągu... Lecz cóż się stało? Oto przerywa kopanie ziemi i dotyka policzka. Pod palcami uczuł krwawą szramę, krew cienką nicią broczy wdół po szyi! Zdumiony żołnierz wstrząsa głową.

...To szczególne: cóż się to dzieje? Nagle z szarego płaszcza oderwano mu kawał sukna: ah, on stoi w ogniu, on pracuje w ogniu — pomyślał Ackermann — stoi pośród kul. Widzi wyraźnie, jak w chwilę później na czole żołnierza powstaje szeroka rana. Krew bucha, w mgnieniu oka pół twarzy jest zalane krwią. Lecz żołnierz pracuje dalej. Całą siłą nalega na dźwigni, i tylko chwilami ociera twarz rękawem, gdy krew przesłania mu oczy. Staje się rzecz nie do wiary: udało mu się olbrzymi głaz dźwignąć aż do pozycji pionowej. I ze wściekłą zapalczywością rzuca się teraz całem ciałem na dźwignię i próbuje kamienny zwał ruszyć ku górze. Kamień idzie w górę, wzniósł się cokolwiek, ale w tejże chwili znów zwalił się w dawne legowisko... Żołnierz obchodzi kamień ze wszystkich stron, potrząsa głową, ociera krew z twarzy i z zakrwawionego płaszcza, poczem znowu kopie w ziemi i znów ponawia rozpaczliwe wysiłki, ale tym razem kamień nie ru-

sza się z miejsca... Lecz teraz cóż się dzieje? Ktoś idzie, ktoś przy nim staje. Jakiś człowieczek mały, także w mundurze, z rączemi, władczemi ruchy. Widocznie, przełożony. Gestykuluje usilnie, nagli żołnierza do pracy... Znów całą siłą żołnierz zasadza się pod olbrzymi kamień, ale bezskutecznie. I po raz wtóry obraca twarz skrwawioną w stronę Ackermanna. Pierś jego również cała jest krwią zbroczona, oczy krwią zalane, i wskutek niesłychanych wysileń krew rzuca się ustami. Nagle, nagle, mały człowieczek z rozkazującemi ruchami przyskakuje w gniewie, zamierza się, krótkim biczem rzemiennym i — ah! — uderza żołnierza w twarz. Uderza znów i znów, i popada w istny szał. Żołnierz zaś podwaja, potraja wysiłki. Chwieje się, zatacza się o parę kroków i pada na ziemię. Leży bez ruchu, bez znaku życia. Czy omdlał, czy padł nieżywy? Mały człowieczek z władczemi ruchami przysuwa się do żołnierza. Końcem buta szturga leżącego bez ruchu, aby móc spojrzeć w jego twarz. Staje na jego piersi, wywija nahajem i wrzeszczy. Ale nieruchomy, krwią zbroczony nie odpowiada. Zęby jego błyszczą we mgle. Opodal leży szpadel, dźwignia, tam kamień, napoły wystający z ziemi... Milczenie żołnierza wywołuje w małym człowieczku z władczemi ruchami nowy przypływ gniewu i wściekłości. Staje wyżej na piersi olbrzyma, chwyta się rękoma mocniej za kołnierz jego płaszcza i podnosi but aby nim skopać nieruchomą, we krwi ubroczoną twarz z błyszczącemi na wierzchu zębami...

Tu Ackermann się zbudził...

Ów śniący Ackermann, który się budzi nagle, ów żołnierz skrwawiony, ów wreszcie mały człowiek z władczemi ruchami, to — trzy czynniki niedawnej rzeczywistości niemieckiej.

Kim jest ów żołnierz, zdruzgotany ciężarem nadludzkiego i niedorzecznego wysiłku, walący się w kałużę własnej krwi i potu? Kim — w wizji Kellermanna — jest ów żołnierz olbrzym i ów mały nad nim człowieczek z władczemi ruchami, który poległego olbrzyma kopie końcem buta? Każdy natychmiast odgadnie. Jestto lud niemiecki i jego przełożeni, ujęci w czteroletnim dramacie nieludzkiej wojny; ujęci we wzajemnym do siebie stosunku. A więc: nietylko — armja i jej generalicja. Tu, w tej scenie zaklęty, mamy wszystek 60-miljonowy lud niemiecki, przeciwstawiony swoim sferom kierowniczym; ów wytrwały, posłuszny, karny lud niemiecki, ów szary, pracujący żywioł, który wojna pochwyciła w swoje żelazne kleszcze i nie wypuściła dotąd, póki krew do ostatniej kropli nie została wyciśnięta z obezwładnionego i sponiewieranego ciała.

Niewiele zapewne w literaturze świata znajdzie się tak strasznych oskarżeń, przez autora skierowanych przeciw własnemu państwu, jak oskarżenie Kellermanna. Bo on całe państwo oskarża; wszystkich obarcza odpowiedzialnością za zbrodnię czteroletniej wojny: i tych, którzy rządzili, i tych, którzy byli rządzeni. Wprawdzie, Kellermann, gdy oskarża generalicję, ma tylko zimną nienawiść i pogardę w słowach; gdy mówi zaś o bezwstydnej pokorze uległego ludu, zdobywa

się na współczucie, na litość, na łzy bezbrzeżnego żalu... Ale któż nie dostrzeże, iż ta litość, iż te łzy pieką i gryzą serce poety, być może, tysiąckroć boleśniej i zjadliwiej, niż gorycz najjadowitszej wzgardy?

Ta niesłychana, niewiarogodna pokora roboczego stworzenia, która obrała sobie siedzibę w łonie niemieckiego chłopa, niemieckiego rzemieślnika, niemieckiego mieszczanina, pokora, polegająca na bałwochwalczej czci dla każdego manekina, ubranego w rangę ekscelencji, ta pokora boli Kellermanna aż do krwi, aż do męczeństwa wstydu...

*

Co ból w sercu poety jątrzy i natęża do szczególniej nieznośnego stopnia, to przeświadczenie, że ów niewolnik, ów zakuty w jarzmo lud niemiecki, który krwawił się aż do ostatka w znoju i w walce nad wykonaniem beznadziejnych zadań, że ten nędzarz, skopany i shańbiony na końcu przez swoich panów, sam jest panem nieogarniętych zasobów mocy i bohaterstwa. Tak iść w bój, tak umierać całemi kolumnami, jak szedł w bój i umierał szary żołnierz niemiecki na nieprzejrzanych obszarach pobojowiska od Marny do Dniepru, potrafią tylko bohaterowie! O, i tak spokojnie, tak wytrwale, tak z zębami zaciśniętemi znosić udrękę wyrzeczenia, smutek żałoby, odrywanie się z drzewa własnego życia najdroższych liści ukochania, nadziei, wiary, tkliwości i pamięci; znosić wszystkie udręki i ciernie wojny tak mężnie; płacić jej koszty trupami swoich najukochańszych, tak, jak pła-

cili Niemcy, w przeciągu lat czterech patrzący, jak ginęło w okopach całe jedno pokolenie narodu...

Jednym z twych patrzących, jednym z miljonów ludzi patrzących niemo i bezgłośnie na żniwo wojny, był on sam — poeta „Tunelu", „Ingeborgi" i „Morza" — Bernard Kellermann.

A w osobie jego, w ciągu długich lat czterech, patrzyła i milczała literatura i poezja Niemiec.

Jeżeli podnosiła głos, to jedynie po to, aby wplatać go w bębnowy ogień armatni i dzieło zniszczenia mnożyć przez dzieło nienawiści.

Słowo poezji ozwało się dopiero wtenczas, gdy usta jej rozwiązał piorun klęski.

Ackermann zbudził się dopiero w chwili, gdy zagrały trąby na Sąd Boży.

Dlatego też w bolesnym wyroku, jaki poeta ciska na sprawców wojny i na jej ofiary, skowyczy ból samobiczującej się i pokutniczej skruchy.

W piętnie zaś, które na czole winowajców wypala, jest coś z okrucieństwa i zapamiętałości samosądu.

PO TRZYSTU LATACH DRZEMKI.

Nasi historycy i pisarze polityczni zestawiali nieraz dziejowy dramat Polski z losami Hiszpanji.

Istotnie: w doli i niedoli obu narodów, mimo tysiąca różnic, dostrzec można wiele rysów uderzającego podobieństwa. Zarówno Polska, jak Hiszpanja, stanowiły w dniach swej dawnej świetności przedmurze chrześcijaństwa. Obie w wojnach długotrwałych z Islamem wyhodowały w duszach swych cnoty i fantazje rycerskie, idące w parze z zastraszającą pogardą dla rzeczywistości społeczno-gospodarczej. Obie nietylko wzrosły i dojrzały w atmosferze katolickiej, ale pozostały katolicyzmowi wierne po dzień dzisiejszy. Obie umiały zdobywać i obie nie potrafiły zachować.

Zakreśliwszy w rozwoju swej potęgi mocarstwowej łuk niezmiernej wyniosłości, Hiszpanja Filipów stoczyła się w niemoc upadku z tą samą niemal złowrogą szybkością, z jaką runęła w odmęt korona Kazimierzów.

Polska na lat sto wykreślona była z urzędowej mapy świata; Hiszpanja, od czasu swego ostatniego zwycięstwa pod Lepanto, wykreśliła, rzec można, sama siebie z widowni wielkich zdarzeń Europy. Od

schyłku wieku XVI, który kres położył jej potędze morskiej, aż po wiek XIX, który był świadkiem rozbioru jej kolonji, Hiszpanja coraz bardziej z żywego ośrodka polityki stawała się jej przedmiotem, ofiarą i łupem.

Gdy, nadomiar, równocześnie półwysep apeniński uginał się pod najazdem obcego zaborcy, a Francja, porażona pod Waterloo, miała ponownie ponieść klęskę pod Sedanem, zdawać się mogło, że moc żywotna kultur łacińskich wygasa, że Rzym starożytny kona po raz wtóry w narodach, które z ducha swego począł i mlekiem swego genjuszu wykarmił.

Przyszłość zdawała się należeć na Zachodzie Europy do ras anglo-germańskich, na Wschodzie — do tego odłamu słowiańszczyzny, który w imię bizantynizmu od wieków Rzymowi się przeciwstawiał.

Wtenczas to ze szczególną mocą uwydatniła się analogja między Hiszpanją a Polską, która także pochodnię swej cywilizacji, acz do innej należąc rasy, zapaliła u ogniska rzymskiego. Cóż, że pierwsza zachowała swój byt państwowy? Państwowość ta stanowiła tylko widmo przeszłości. W Berlinie i Wiedniu nazywano Pireneje Karpatami Południa: progiem, u którego kończyła się Europa.

Niezaprzeczone wartości rasowe, tkwiące w duszy obu narodów, zdawały się — wedle opinji pospolitej — szczątkami rozproszonej puścizny.

Nie brakło momentów i pozorów, usprawiedliwiających tę opinję: kto pada lub załamuje się w walce, ten traci głos i rację wobec trybunału historji. To samo

zimne oko bankiera Europy przedwojennej, które Polskę widziało w grobie, nie wróżącym zmartwychwstania, przywykło było widzieć Hiszpanję w śnie letargicznym, nie rokującym ocknienia. Nieraz letarg Hiszpanji wydawał się głębszy, niźli śmierć Polski. Narodowi naszemu niepodległość wydarto; naród hiszpański o swej potędze i wielkości zapomniał. Naród, który wydał z siebie największych swego czasu wojowników, odkrywców, żeglarzy i kolonizatorów, dał się zaskoczyć wiekowi dwudziestemu w pieleszach domowych, jako więzień parafjalnej ciasnoty, przykuty do najbardziej ograniczonego widnokręgu myśli, czucia i działania.

Senność, głuchota i niepamięć dla swej własnej wielkości sięgnęła w tym narodzie aż tak niewiarogodnych granic, że zapomniał on wreszcie tego, co żywem było owej minionej wielkości świadectwem: zapomniał swych kolonij! Słynny między Madrytem a Paryżem spór o posiadłości hiszpańskie w Zatoce Gwinejskiej oraz w Saharze zachodniej, rozstrzygnięty traktatem paryskim roku 1900, wyjawił miarę zaćmienia, jakiemu uległa świadomość kolonjalna w tym narodzie, który ongi zbudował jedno z największych imperjów świata.

Znany afrykanista, Franciszek Reynoso, pisał z tego powodu, że „niewielu dałoby się naliczyć Hiszpanów, którzyby wiedzieli, iż zagubione w puszczach zwrotnikowych drzemały kędyś pod flagą królów hiszpańskich obszary, równie pożądane przez obcych, jak zaniedbane przez własną metropolję".

Trawiona gorączką ustawicznego kryzysu; nurtowana fantasmagorycznym wirem gabinetów (118 w ciągu lat 90, od 1833 do 1923); szarpana walką dwóch stałych stronnictw: konserwatystów i liberałów; żyjąc bez myśli szerszej i bez głębszej namiętności, Hiszpanja, na progu dwudziestego stulecia, była raczej kustoszem swej chwały minionej, niż jej spadkobierczynią i dziedziczką. Piastowała nałogi przeszłości, ale nie umiała dźwignąć jej tradycji. W osobie Ferrera, zdawało się, rozstrzelała ostatnią swoją myśl, zdolną obudzić kraj do życia nowoczesnego.

Gdy cały niemal świat cywilizowany stanął w płomieniach wojny, Hiszpanja pozostała poza jej obozem. Naród jej nie znalazł w sobie ani miłości dość wielkiej, ani nienawiści dość mocnej na to, aby oręż swój rzucić na szalę walki. Potomkowie „conquistadorów" zstąpili do roli dostawców wojennych, każąc obu stronom walczącym do ceny towarów dopłacać dodatkową cenę swej neutralności. „Espada" hiszpańska błyskała ogniem zwycięstw już tylko w słońcu areny igrzyskowej; sława, która ongi szumiała wichrem dalekich mórz i lądów w pióropuszach rycerzy, osiadła niby ptak upokorzony, na głowach „torrerów".

Odwieczna „corrida", posoką byków i koni, a nieraz także krwią ludzką rumieniąca areny igrzyskowe Madrytu, Toleda lub Sewilji, ostatniem stała się ogniwem, jednoczącem we wspólnym entuzjazmie wszystkie stany, od króla do prostaka.

w blasku wspólnego zwycięstwa stanęła obok niej młoda, potrzykroć nieśmiertelna Italja: aby w gruzy runęły trony trzech cesarzy; aby z gruzów powstały do nowego życia Czechy, aby odrodziła się niepodległość Polski!

Tak. To samo koło historji, które wyniosło Polskę, obudziło również Hiszpanję! Naród, który wielkości swej zapomniał, jął wielkość swoją przypominać. Wzrokiem i myślą, tkniętą ogromem zdarzeń obcych, potoczył Hiszpan po swych dawnych granicach. Przejrzał się w zwierciadle własnej urody, odnajdując w jej rysach moc i piękno tak niedawno jeszcze skazywane na zagładę. Dzień odrodzenia Hiszpanji świta niewątpliwie. Świta po trzystu latach drzemki.

Powierzchownością jednak byłoby świt ten upatrywać w fenomenach politycznych. Zarówno monarchja Alfonsa XIII, jak dyktatura Primo de Rivery, są to ostatnie rozdziały z księgi przeszłości. Kultura polityczna Hiszpanji pozostaje daleko w tyle poza jej kulturą intelektualną. Nie na powierzchni życia politycznego, ale w głębi prądów, nurtujących umysłowość Hiszpanji, należy tymczasem jeszcze szukać objawów, zapowiadających nowy rozdział w historji półwyspu Iberyjskiego. Więcej od aktów urzędowych powiedzą nam o nim imiona nowych a zdobywających rozgłos pisarzy, jak Perez d'Ayala lub Baroja, Alvarez Quintero, Unamuno, Gomez de Baquero, Valle Incla, t. zw. pokolenie roku 1898 — roku nieszczęśliwej lecz otrzeźwiającej wojny z Ameryką.

Nowa myśl, zawarta w tem pokoleniu, toruje tam drogę nowym instytucjom życia.

A jednak rzecz napozór dziwna, zaś w istocie jakże znamienna! Ów entuzjazm powszechny, ... zjazm całej Hiszpanji, tak namiętnie rozkoch... w walce byków i w jej bohaterach, nie zdoła bo... rom tym zapewnić ani jednego dnia życia w życiu rodu. Zapaśnik „corridy" wbijający szpadę w ... potężnego tura, może zwycięstwem swojem zd... miljony oklasków i tysiące „pesetów", ale nawet śm... cią i hazardem najwyższej odwagi nie okupi jedn... wyrazu czci, tej czci, którą urasta cześć i duma naro...

Młody Hiszpan, idący krokiem tanecznym na ... jusznego byka, wyższego, być może, składał dow... męstwa, niż rówieśnik jego z poza Pirenejów, ja... Bleriot, jakiś Pegoud, próbujący lotu na pierwsz... szlakach awjacji: wszelako imiona poległych lotnik... z pól Francji podjęła i w rocznikach swych zapis... historja. A któż pamięta nazwiska poległych „tor... rów" Hiszpanji?

Oto dlaczego Pireneje stanowiły coś więcej ... mapie Europy, niż granicę polityczną: były gran... rytmu dziejowego dwu narodów.

Francja na grobie swoich bohaterów składa... cząstkę swojej duszy. Hiszpanję stać było tylko ... oklaski dla ulubieńców cyrku.

Trzeba było wojny światowej i połączonego z n... przewrotu na to, aby Hiszpanja, pogrążona w ni... pamięci snu, zadrżała i ocknęła się z wiekowego be... władu. Trzeba było, aby Francja, wracając na sw... czołowe w Europie stanowisko, zburzyła gnuśn... legendę o przekwicie cywilizacji romańskiej, ab...

DEMOKRACJA BEZ UŚMIECHU.

Zapewne: przed potężną demokracją Ameryki Północnej można się korzyć, można podziwiać ogromy jej zasobów i sił, ale kochać ją, ale rozmiłować się w niej — trudno!

Z tem zastrzeżeniem afektu zgadzałem się zawsze. Nawet wtenczas, gdy cała Europa pół swego serca składała w dłonie Wilsona.

Pod łopotem „gwiaździstego" sztandaru, który tylu marzycielom wydał się godłem idealizmu, nie przestawałem nigdy słyszeć kupieckiego gwaru kalkulacji.

Nie rozrzewniała mnie w pierwszych latach wojny nieskazitelna neutralność fabrykanta z Detroit, ani purytańskka bezstronność hodowcy bydła z Illinois, którzy w broń i w mięsne konserwy gorliwie zaopatrywali za gotówkę obie wojujące strony. I nie wzruszył mnie szlachetny gniew, jakim zacni ci obywatele zapłonęli, gdy jeden z klijentów spróbował ów zyskowny handel storpedować.

Ani „gwiazdy" na sztandarze, ani tradycja Waszyngtona, ani pomniki Kościuszki i Pułaskiego nie mogły przesłonić faktu, że sumienie współczesnej

Ameryki wzdrygnęło się wobec okrucieństw niemieckich dopiero wtenczas, gdy pierwszy z wędzidła spuszczony „Unterboot" ugodził w dywidendę amerykańskiego przedsiębiorcy.

Nie budziła zachwytu we mnie podczas wojny ta plutokratyczna demokracja i tem mniej budzi go dziś, gdy dłużników swych — wczorajszych towarzyszów broni — ściga z lichwiarską pasją na świeżych jeszcze pobojowiskach i niezarosłych cmentarzach wojny, a jednocześnie napełnia świat cały brzękiem swego dolara i sarabandą swych filmowych diw, zanim — przy pierwszej, być może, próbie oporu z czyjejkolwiek strony — napełni świat odgromem swoich armat, które już pokosztowały żeru, ale jeszcze nie zaspokoiły łaknienia.

Tak... Można demokrację amerykańską szanować, ale... znaleźć dla niej iskierkę sympatji!...

A jednak, mimo wszystkich zastrzeżeń, bywały momenty, w których iskierka owa zapalała się w sercu niejednego europejczyka: dla mnie moment ów wracał zawsze, ilekroć wymawiano imię Marka Twaina.

Jego humor, jego śmiech zdawał mi się złotą nicią porozumień, rzuconą ponad Atlantykiem różnic. Zdawał się świadectwem, że ów surowy purytanin z Detroit lub z Illinois miewał chwile zadumy, w których czuł swe granice i nicował sam siebie; że ów stalowy businessman, wyciągający ręce po władzę nad światem, ulegał niekiedy kaprysom, jak najkapryśniejszy europejczyk, płacąc, naprzekór wszelkim kal-

kulacjom, po 300 tysięcy dolarów za każdy rękopis Twaina, po to tylko, aby być przezeń wyśmianym.

Fakt, że autor „Przygód Hucka" był w ciągu lat 20 najpoczytniejszym, najbardziej cenionym, najhojniej opłacanym pisarzem Stanów Zjednoczonych, jest, ostatecznie, dokumentem równie niezbitym, jak rozgłos Forda lub fortuna Rockekfellera.

I gdy mówiono mi, że demokracja amerykańska jest bezprzykładną tyranją masy; że jest ustrojem okrutnym i despotycznym, który miażdży na każdym kroku wolność krytyki i badawczość wiedzy; który szablonizuje wszystko, poczynając od uśmiechu kobiety, a kończąc na komforcie domowym; który wyjaławia zdolności myślicielskie; który do skarbnicy ducha nie dorzucił i być może nie dorzuci nigdy ani jednego nowego zwątpienia, ani jednej nowej tęsknoty, a więc w dramacie myśli ludzkiej niemą pozostaje figurą, — zawsze tym ponurym głosom przeciwstawiałem, jak złotą tarczę, imię Marka Twaina. Nie znaczyło to, abym nie doceniał wielkich postulatów wolności w ekonomji życia duchowego; znaczyło tylko, że w państwie ducha nie lekceważyłem funkcji śmiechu.

Nie wierzyłem, aby wolność mogła ulecieć z kraju, w którym dzwoni swą pobudkę humor. Nie mogłem zgodzić się z tem, aby swoboda indywidualna była zagrożona tam, kędy tryumfuje śmiech, ów najcelniejszy oręż przeciw tyranjom szablonu. A wszak Ameryka, honorując Twaina, zdała się sama hołd składać mistrzowi tego oręża.

Dziś widzę, że się myliłem. Smutne przekonały mnie fakty, że się myliłem: Ameryka płaciła swemu humoryście nie za to, co pisał, ale raczej za to, co przemilczał, i co bywał zmuszony przemilczać. Pamiętniki i źródła biograficzne, pozwalające głębiej wejrzeć w życie Marka Twaina, wskazują, że stalowy businessman nie sprzeniewierzył się swej kalkulacji nawet wtenczas, gdy spotkał na drodze poetę. Jak każdy urodzony fanatyk autorytetu, amerykanin nie znosi śmiechu, więc, aby obezwładnić ten najlotniejszy z żywiołów, narzucił poecie „pacta conventa", przyzwalając na profesję humorysty, ale pod warunkiem, iż będzie to humorysta „umiejący się szanować" — respectable!

I biedny Mark Twain na całe życie został więźniem, a po prawdzie, męczennikiem amerykańskiej „respectability".

Z materjałów, jakie żwolna dobywają na światło zakulisową stronę życia tego pisarza, widać, że swe najszczersze pasje tłumił on i zamykał w sobie; że cały swój bunt przeciw strychulcom purytanizmu, całą nienawiść do cnót plutokracji zmuszony był pogrzebać na dnie duszy, zaledwie w najtajniejszej z przyjaciółmi rozmowie dając ujście temu, co go paliło i gryzło. To, co bywało najbardziej nienawistne, to właśnie uchodziło za nietykalne. To, czem gardził, było wyłączone z pod krytyki.

Ktoby poważył się targnąć na kodeks plutokracji, lub majestat konformizmu, ten mógłby sobie być jak największym artystą, ale nie byłby już „respectable",

t. zn. w wielkiem stumiljonowem społeczeństwie zostałby nagle wyosobniony, osaczony, zagłodzony. Marek Twain znał niezłomność swoich rodaków i — najognistsze strzały swego kołczanu gasił w kałamarzu.

Typowe dla jego życia zdarzenie (opisane przez Sinclaira) wiąże się z bankietem, jaki w r. 1905 Ameryka wydała w Porthsmouth dla delegatów Rosji i Japonji z okazji świeżo podówczas zawartego między temi państwami pokoju. Mark Twain, zaproszony na ów bankiet w szeregu najznakomitszych osobistości kraju, pod impetem pierwszego wrażenia nakreślił depeszę, ostremi wyrazy odtrącającą zaproszenie: on, skromny humorysta — brzmiała odpowiedź — nie może równać się z „owymi dostojnikami dyplomacji, którzy z tragedji wielkiej wojny potrafili wywinąć ufraczoną komedję bankietu". Depesza jednakże nie została wysłana. Wstrzymało ją widmo „respecabiilty". Mark Twain przeczytał protest swój w kółku przyjaciół, na ucztę zaś dyplomatów przesłał gratulację, pozdrawiającą pokojowe intencje cara. Poczem — śmiał się i nadal, śmiał się coraz głośniej, aby zgłuszyć wyjącą pustkę duszy. Był wesołkiem, którego śmiech nie obowiązuje do niczego.

Okrutna jest demokracja Ameryki.

I jeśli prawdą jest, że oblicze tej demokracji jest obliczem świata przyszłości, to okrutna będzie przyszłość świata.

Ernest Renan opowiada, że śród władców Rzymu najdoskonalszym wzorem cnót był cesarz Marek

Aureli. Jego celem było dobro pospolite. Jego charakterem była niezłomność. Jego prawodawcą — rozum, jego genjuszem — praca, jego sumieniem — sprawiedliwość. Jego ręka nigdy nie zadrżała od wewnętrznej słabości. Majestat jego twarzy nigdy w swawolny nie rozbłysnął uśmiech.

Otóż, ten to trzeźwy, rozumny i sprawiedliwy władca podpisał edykt, zarządzający najstraszniejsze, najkrwawsze, najdziksze w dziejach prześladowanie chrześcijan.

Śród swych wielu cnót nie miał ów czcigodny władca ani jednej słabości, którąby pozwoliła mu na chwilę zwątpić o sobie.

Śród potęgi autorytetu nie nawiedził go ani razu uśmiech, któryby pozwolił mu wznieść się ponad siebie.

ODWET JAPONJI. (1924).

Rozmach, upór i zapamiętałość, z jakiemi Japonja, zaledwie ochłonąwszy ze zgrozy kataklizmu, przystąpiła do dzieła odbudowy swej stolicy, przypomina najszczytniejsze momenty w dziejach prometeizmu ludzkiego.

Stanowczość woli i moc czynu, tryumfująca nad obszarami rumowiska, większego niż niejedno z pobojowisk wojny światowej, ma w sobie coś, budzącego wiarę w nadludzkie siły i w nadludzkie przeznaczenie człowieka.

Już w tydzień po trzęsieniu ziemi naród przez usta swego rządu i swych przedstawicieli postawił w całej pełni zagadnienie odbudowy olbrzymiego miasta, potwierdzając w uroczystem oświadczeniu koronną godność Tokia, jako niezachwianej kraju i państwa stolicy.

Zdumiewająca, istotnie, jest owa szybkość, owa władczość gestu, którym Japończyk z przed oczu swych odegnał gryzące dymy pogorzeli i stokroć bar-

dziej od dymu gryzące zwątpienia, jakie szły z ponad ruin i zgliszcz.

Jakoż, w pierwszej chwili, nie brakło wahań, zastrzeżeń i obaw. Zbyt nagły był cios i zbyt okrutny, aby nie zamroczyć oczu i nie nadwątlić myśli.

— Czy to straszliwe nieszczęście — pytały tłumy — nie jest jakąś straszliwą karą za grzechy pokolenia?

— Czy setki tysięcy ofiar, pogrzebanych pod gruzami, nie są okupem, jaki wzięła rozgniewana ziemia za opuszczenie jej spokojnych pól i zaludnienie miast, tych ognisk zbytku i marnotrawstwa?

— Czy ruina dobrobytu kilku miljonów obywateli nie jest przestrogą dla narodu, który zbyt łatwo poniechał obyczaju przodków i poddał się wzorom obcym!

— Czy poderwanie potęgi mocarstwowej kraju nie jest opłatą jakiegoś dziejowego błędu, popełnionego przez rząd i państwo?

Do tych głosów mistycznego lęku dołączały się podszepty pospolitego rozsądku.

— Czy nie jest głupstwem upieranie się rządu i garści zapaleńców przy tej kupie rumowiska? Pozostawanie nadal w atmosferze grozy i żałoby? O ileż praktyczniej byłoby powiedzieć sobie, nareszcie, że Tokio zginęło! Że Tokio jest już tylko popieliskiem, które wiatr rozmiecie po wydmach i skałach nadmorskich.

Ludzie pospolitego rozsądku radzili przenieść stolicę do miejscowości mniej narażonej na kataklizmy,

albo, poprostu, wrócić do Kioto, dawnej rezydencji Mikada, kędy w spokoju i w równowadze możnaby zastanowić się nad położeniem i środkami ratunku dla spustoszonych dzielnic.

Ale Kioto, jako ponowna stolica Japonji, znaczyłaby zawrócenie w biegu tej „rzeki bożej", jaką jest historja narodu. Byłoby cofnięciem się i kapitulacją wobec katastrofy! Kioto nazbyt pogrążone jest w echach starożytnej feudalnej Japonji, owej Japonji malowniczej i wielkopańskiej, ale zamkniętej w sobie, izolowanej, niezdolnej do postępu. Przeniesienie stolicy do Tokio znamionowało przejście od ery starej do nowej. Tokio wyobrażało rozkwit Japonji, jej rozwój, pomyślność i potęgę.

Nie! Opuszczenie ruin Tokia i Jokahamy, oddanie ich na wieczne cmentarzysko pustce i zapomnieniu, znaczyłoby, że coś z ruin tych, że coś z tego cmentarzyska spoczęło i skamieniało w duszy narodu, że człowiek dał się pokonać żywiołowi.

Rząd oraz rada koronna orzekły, wbrew trzęsieniom lądu i morza, że stolicą Japonji nie przestaje być Tokio.

Na dziesiąty dzień po stłumieniu pożaru, z inicjatywy prezydenta gabinetu i pod jego przewodnictwem, powstał do życia komitet odbudowy, złożony z ministrów i wybitnych osobistości kraju. Komitet ów niebawem stworzył wielką organizację techniczną, o charakterze doradczym i wykonawczym: rodzaj osobnego jak gdyby ministerstwa odbudowy, powołanego do przeprowadzania badań, sporządzania kosz-

torysów, a po uzyskaniu właściwej aprobaty również do wykonywania planów i zarządzeń, niezbędnych do wskrzeszenia z popiołów Tokia i Jokahamy.

Owa organizacja techniczna — której kierownikiem jest minister a zarazem ex-burmistrz Tokia, vice-hrabia Shimbi Goto, indywidualność górująca w gabinecie Jamamoto — zawiera w sobie sześć wydziałów, posiada dwóch vice-prezesów, jednego dyrektora technicznego, siedmiu sekretarzy, ponadto rozporządza pokaźną liczbą stu siedemdziesięciu urzędników administracyjnych, stu pięćdziesięciu inżynierów, tudzież trzystu pięćdziesięciu vice-inżynierów.

Ten imponujący aparat mózgów powołano do pracy nietyle w interesie pośpiechu — Japończyk nie jest rączy i gorączkowy w wykonaniu zadań — ile w tym celu, aby przy odbudowie stolicy osiągnąć jak najwyższy stopień zabezpieczenia od trzęsień ziemi i pożarów. Japonja postanowiła wznieść miasto, nieustępujące w niczem wielkim stolicom świata, odpowiadające wszelkim aspiracjom usprawiedliwionej dumy japońskiej. Dzienniki, których łamy otwarte są dla projektów i pomysłów wszelkiego rodzaju, nazywają to miasto przyszłe „Wielkiem Tokio" aby odróżnić je od tego, co legło w gruzach.

Tokio zniszczone zostało nietyle przez samo trzęsienie ziemi, ile przez wynikłe stąd pożary. Otóż, przeciwko pożarom niema środka skuteczniejszego ponad przestrzeń zadrzewioną, aleje, ogrody. Już przed katastrofą Tokio dopominało się o port wewnętrzny, któryby mógł gościć w sobie okręty, liczą-

ce do 6 tysięcy tonn. Obecnie mówi się o tem, aby do prac rekonstrukcji włączyć także urządzenia owego portu.

Słysząc tego rodzaju żądania, zapowiedzi, obietnice i postanowienia, doznaje się niemal wrażenia, że druzgocący piorun kataklizmu przeszył cały naród jakgdyby ostrogą podniety, mnożąc siły jego przez zamiary i otwierając, w zakresie jego środków, możliwości takich wysileń i nakładów, przed jakiemi uchylano się poprzednio.

Oto projekt odbudowy Tokio: koliste zadrzewione planty, szerokie na sto metrów, dzielą niby pierścień szmaragdowy całe miasto na dwie części: wewnętrzną i zewnętrzną. W części wewnętrznej mieści się osiem parków; dziewięć innych parków roztacza się poza pierścieniem plantów. Do istniejących dawniej linji kolejowych, projekt dorzuca sześć nowych linij podziemnych, przecinających miasto we wszelkich kierunkach. Ulice miejskie liczyć mają po 40, 60 a nawet 80 metrów szerokości. Obok ulic na planie snuje się cała sieć kanałów, szerokości od 30 do 80 metrów. Ponadto, wzdłuż brzegów Sumidy biegną bulwary o szerokości 20 metrów.

W starem mieście zburzonem ulice zajmowały 10% powierzchni. Plan miasta nowego wyznacza na ulice i place dwakroć tyle powierzchni miejskiej. Wedle obliczeń wstępnych, prace koło odbudowy dzielnicy gospodarczej miasta potrwają do lat pięciu. Całokształt stolicy, w przepychu wykończenia, stanąć ma w ciągu lat 10 — 15.

Równocześnie chce dźwigać się do życia Jokohama: i ona także opracowała i do zatwierdzenia komisji rządowej przedstawiła plan własnego zmartwychwstania, obejmujący budowę parków, zieleńców, alej, a przedewszystkiem odbudowę portu, tej bramy przypływów i odpływów życia międzynarodowego. Gdzież są granice między rzeczywistością, a snem między skalą pragnień, a skalą możliwości, w tym wielkim odwecie człowieka przeciwko ślepemu niszczycielstwu przyrody?

Tu, nawiasem wtrącić należy drobne przypomnienie. Dom japoński jest to dom drewniany. Osaczony od wieków przez ognie i wstrząsy wulkanów, wykształcił on w sobie wzór, w niczem niepodobny do ciężkich gmachów murowanych z cegły i kamienia. W budowie swej ma on raczej coś z lekkości dorywczego gniazdka. Jest jak odzienie, którego nie przekazuje się dzieciom. Ta tymczasowość siedzib, narzucona warunkami geologicznemi, wyhodowała swoistą estetykę mieszkania japońskiego, tworząc przedziwny typ domu, wolnego od mebli: ową wiotką łupinkę drewnianą, z oknami, które przeistaczają się w drzwi, całą otwartą i podaną ku otwartej przestrzeni, kruchą i pierwotną jak przed lat tysiącem. O domu takim czyż można powiedzieć, że jest nieruchomością, w tem sakramentalnem znaczeniu, jakie ma nieruchomość miejska w innych krajach? Dom japoński jest motylem domów.

W japońskich planach rekonstrukcji drzewo, rzecz jasna, pozostaje nadal głównym materjałem budowla-

m. Trwałość i ciągłość wysiłku w tym narodzie nie oże osiągnąć wyrazu w monumentalności dzieł archiktonicznych: dlatego to, być może, żywiołem, którym zakłada i rzeźbi swe dzieła monumentalność pońska, stał się ów kruszec szczególnego rodzaju, rany charakterem ludzkim.

Ciężkie ofiary, wielkie poświęcenia, dojmujące wile rozczarowań oczekują Japonję na drodze tak losalnie pojętych zadań odbudowy: charakter i wonarodu ma do przezwyciężenia nową, niebylejaką óbę.

Jeden z projektodawców, teoretyk prawa, profesor iwersytetu, doradza w swym projekcie odbudowy, y gmina miasta Tokio nabyła na własność wszystkie tereny miejskie i aby następnie umiastowiła domy, z, elektryczność. A skądże wziąć środki na wykup k rozległych obszarów? Profesor japoński nie waha z odpowiedzią: zaleca rekwizycję terenów na podawie uiszczenia 10 proc. wartości. Właściciele doów, zrujnowani przez ogień, zostaliby z kolei ograeni przez rząd: do klęski zniszczenia dorzuconoby na h barki ciężar odbudowy! Rząd nie podzielił wniou profesora, niemniej wszakże treść wniosku wskauje, jak bardzo doniosłych świadczeń na rzecz odbuowy oczekuje od klas posiadających opinja publiczna.

Koszty odbudowy, istotnie, sięgają liczb fantastycznych, wyrażając się w sumach, do których wymowy zyzwyczaiły nas dopiero budżety wielkiej wojny. ponja nie uniknie, rzecz prosta, konieczności daleko łących pożyczek zagranicznych. Około miljarda jenów

t. j. z górą 500 miljonów dolarów pochłoną już pierwsze podwaliny rekonstrukcji, a więc: urządzenie ulic, parków, instalacyj portowych, kanałów, mostów, wreszcie wykup terenów pod rozszerzone aleje i ogrody.

Na tych dopiero fundamentach wyrośnie i rozwinie się to, co ma stać się dumą Japonji: Wielkie Tokio.

Jeżeli zważymy, że straty, spowodowane kataklizmem, obliczono na 10 miljardów dolarów, trudno, w najskąpszym rachunku, oznaczyć koszty odbudowy poniżej tej samej sumy.

A przecież jest to suma przeraźliwa.

Dziesięć miljardów dolarów: to — suma roszczeń francuskich do odszkodowania za krew i pożogę inwazji! To — stawka pokoju Europy! Cena odwetu zwycięscy. Widmo i groźba jutrzejszego, być może, odwetu zwyciężonych.

Tragedja Japonji ujęta w liczby ofiar i spustoszeń nie ustępuje tragedji pobojowisk europejskich. Równa jest, może, wynikom przegranej wojny, a z pewnością dorównywa kosztom zwycięstwa, odniesionego w największej z wojen.

Dźwigając się atoli z pogorzeliska gruzów, Japonja nie ma, nie widzi przed sobą wroga, któremu mogłaby podyktować do spłacenia listę odszkodowań. Sama jest sobie dłużnicą.

Jej wróg jest cząstką żywiołów tej ziemi, która stanowi najwyższe jej ukochanie. I nie z pokładów zemsty lub nienawiści, ale z nieprzebranej miłości kraju wydobyć musi naród japoński pełnię swego odwetu.

Odwet Japonji może być tylko odwetem rozpętanej twórczości i posiewu życia. Stając na szańcu walki z żywiołem, naród jej walczy nietylko o mocarstwowe stanowisko państwa, ale i o potęgę i władzę człowieka nad chaosem przyrody.

Odwet, jaki wykuwa lub wykuwał w swych kuźniach antagonizm państw europejskich, jest zjawiskiem, które, zapewne, można zrozumieć i wytłomaczyć. Ale odwet Japonji, przeciwstawiającej pożarom wulkanów gwiazdę myśli ludzkiej, jest czynem, przed którym trzeba pochylić głowę.

1924 r.

UTOPJA PRZY KIEROWNICY.

Henryk Ford, wielki przemysłowiec amerykański, zwany Królem Samochodu, od pewnego czasu jął sprawiać kłopot swym rodakom, a właściwie — nie wszystkim rodakom, tylko członkom kongresu swego kraju, a mówiąc jeszcze ściślej, tym z pośród nich, którzy, w przewidywaniu nadciągającej elekcji prezydenta Unji, poszukują taniej a wydajnej „platformy" wyborczej.

Ford, wytwórca niezmierzonych bogactw, genjusz organizacji, dający, jak wiadomo, pracę i zarobek setkom tysięcy ludzi, spotkał się z zarzutem, że zuboża skarb i rujnuje państwo.

Skąd powstało to oskarżenie? I na czem się opiera? Czy stając wobec królewskiej fortuny Forda, mamy do czynienia, być może, z owocem krzywdy ludzkiej, nasiąkłym krwią i łzami rzesz wyzyskiwanych? Czy też przeciwnie, konflikt, jaki zarysował się między nim, a częścią opinji publicznej, jest aktem z odwiecznego dramatu wielkich budowniczych tego świata, skaza-

nych na walkę z przesądami i egoizmami środowiska?

Pytanie to, wyrosłe na gruncie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, przekracza doniosłością swoją ląd amerykański i staje się zagadnieniem tak powszechnem, jak powszechne są jego składowe czynniki: Praca, Kapitał, Bogactwo społeczne.

Posiadłości Henryka Forda, by w całej pełni ocenić, trzebaby przyrównać do rozległego księstwa, które w swych fantastycznych granicach zamyka osady, wsie i miasta; obejmuje różne gałęzie przemysłu, olbrzymie zespoły fabryk i zakładów, wreszcie ludność w sumie swej niewiele mniejszą od niejednej stolicy europejskiej.

Wszelako, władca tego księstwa nie jest monarchą autokratycznym. Posiadłości swoje zorganizował na zasadach decentralizacji władz, w postaci szeregu jednostek autonomicznych, dających w całokształcie obraz raczej republiki federacyjnej, niż monarchji.

Ford nie chce i, zresztą, nie byłby w możności kierować osobiście wszystkiemi swojemi zakładami. I dlatego przeistacza je w „korporacje" (jak mówi się w Ameryce), czyli w towarzystwa akcyjne (jak powiedzianoby u nas). Owe towarzystwa zazwyczaj nie liczą jednak więcej ponad jednego akcjonarjusza: tym jedynym, prawie wyłącznym akcjonarjuszem jest Henryk Ford. Niemniej system taki okazuje się niezmiernie korzystnym i bardzo celowym, jeśli chodzi o wzmożenie odpowiedzialności w zespole administracji, o rozwinięcie w każdym pracowniku poczucia zasługi,

wreszcie o słuszny wymiar należnych każdemu zysków. A na tych właśnie czynnikach opiera Ford zręby swej organizacji.

Nie jest on zazdrosny o władzę, jak nie był o władzę zazdrosny Carnegie, jak nie jest o nią zazdrosny żaden z wielkich wodzów przemysłu.

Wytrawny znawca psychologji ludzkiej, Ford wie doskonale, że aby dobyć z człowieka jak najwięcej, trzeba odwołać się do jego dumy, trzeba otworzyć przed nim drogę wzwyż, pozostawiając wolne pole jego inicjatywie i samodzielności.

Kto wykazuje zdolność, temu Ford ustępuje część swojej władzy; kto dorósł wolą i wiedzą do steru, tego stawia na czele korporacji. Korporacje te wszystkie należą do niego; niemniej przecież każda ma własne tętno ruchu; każda ma swoją indywidualność. I to właśnie stanowi nerw ich rozmachu.

Ale czy można zupełnie szczerze twierdzić, że owe „korporacje", czyli oddzielne przedsiębiorstwa, stanowiące dominium Forda, istotnie do niego należą? Czy z równą słusznością nie możnaby powiedzieć, że on należy do nich? Że jest pierwszym ich sługą?

Zakłady Forda zarabiają dziennie czterysta tysięcy dolarów. Ale Henryk Ford wydatkuje na siebie z tego nie więcej, niż ten lub ów z jego inżynierów; ma potrzeby skromne, nie lubi zbytku, pracuje po całych dniach, nie szuka kosztownych rozrywek. Radość i rozkosz życia czerpie z rozkwitu swego dzieła.

Na cóż więc idą wszystkie dochody jego bajecznej fortuny?

Idą na nowe inwestycje w przemyśle.

Ford jako akcjonarjusz, woli na nizkiej poprzestawać dywidendzie, wszystkie zaś zyski swoich przedsiębiorstw przelewa w nowe przedsiębiorstwa. Chce produkować coraz sprawniej i coraz taniej; chce ludzkość całą zaopatrzyć w siedmiomilowe buty samochodu; chce go rozpowszechnić, jak abecadło; zdemokratyzować, jak prawo wyborcze; chce aby zaklęty w nim czar przestrzeni i ruchu stał się udziałem każdego obywatela. Jak ongi imperatorzy z pod ziemi dobywali legjony na podbój świata, tak on chce z pod ziemi wywoływać legjony pracy, zaludniać pustkowia, ujarzmiać wodospady, skracać odległości, znosić przedziały między wsią a miastem, aby każdy robotnik mieszkał w domu schludnym, wśród drzew zielonych, pełnym powietrza i słońca; chce wyzwalać w człowieku żywioł swobody, lekkości, rozpędu, to wszystko, co niesie z sobą i co zapowiada prędki, niecierpliwy rytm samochodu.

I tutaj wybucha bunt Kongresu. Członkowie sejmu amerykańskiego powstają przeciw niesprawiedliwości, jaka, ich zdaniem, dzieje się sprawie powszechnej.

Ford — powiadają „kongressmeni" — wyliczając sobie drobną dywidendę i pozostawiając resztę zysku w samych przedsiębiorstwach na rzecz ich rozbudowy, redukuje tem samem wysokość należnego odeń podatku dochodowego, uchyla się przeto w znacznej mierze od świadczeń państwowych.

Aby uwydatnić ten niesprawiedliwy przywilej wielkiego Króla Samochodu, posłowie Kongresu przypomi-

nają, że przywilej ten służy mu nie od początku jego karjery. Oto, był czas, gdy Ford należał do przemysłowców zrazu małej, potem średniej miary. Zarabiał wtenczas nie więcej nad sto tysięcy dolarów rocznie; te sto tysięcy stanowiły dochód jego osobistej agendy i były w całości obarczone normą podatku dochodowego. Dziś w ciągu dnia zakłady Forda zarabiają więcej, mianowicie cztery razy więcej, niż dawniej w ciągu roku. Ale ponieważ dywidenda, stanowiąca jego dochód osobisty, nie przekracza, dajmy na to, dwunastu miljonów rocznie, przeto na tej tylko sumie ciąży postępowy podatek dochodowy. Reszta, natomiast, stanowiąca sumę dziesięciokrotnie wyższą, pozostaje wolna od podatku dochodowego i podlega jedynie zwykłym opodatkowaniom przemysłowym („flattax").

Jest-że to rzeczą sprawiedliwą — oburzają się mężowie Kongresu — aby wielki Ford mógł korzystać z przywilejów, których nie miał Ford początkujący?

Oburzenie kongresu amerykańskiego ma wszelkie cechy szlachetnego patosu. Ala patos ten, conajmniej, zaopatrzyć należy w parę znaków zapytania.

Człowiek, który zyski swe inwestuje w zakresie swego przemysłu, jest solą ziemi. Pozornie pracuje on dla siebie; pozornie jest skąpcem, który nie spuszcza złotego deszczu na bliźnich. W rzeczywistości pracuje tylko dla innych. Gromadzi bogactwa w tym jedynie celu, aby uczestniczyć w nich mogli inni. Czemże są te skromne dostatki, jakie zapewnia sobie Ford, wobec dobrobytu, płynącego z jego fabryk na całe środo-

wisko? I czem są te dolary, które z jego rzekomej winy pozostają poza skarbem, wobec tysiąckrotnie i miljonkrotnie wyższych sum, jakie do skarbu płyną, niosąc plon podatkowy z pól jego produkcji?

Przewodnia idea Forda polega na tem, aby wyrabiać na jak najszerszą skalę, serjami, samochody jednego typu, przy podziale pracy, posuniętym do najwyższego stopnia, i kosztach wyrobu, sprowadzonych do minimum. Stąd wynika, że każda redukcja kosztów wyrobu powoduje zniżkę ceny sprzedażnej, poszerzając koło nabywców i dając z kolei możność dalszego postępu w rozwinięciu wytwórczości masowej, a co za tem idzie, nowej redukcji kosztów. W okresie lat dziesięciu, między rokiem 1910 a 1920, „Towarzystwo Ford" sprowadziło stopniowo cenę automobilu z 950 do 335 dolarów, podnosząc jednocześnie produkcję z 18.000 do 1.250.000 samochodów rocznie.

Zakreślone przez Forda pole pracy przypomina arenę, na której taniość wyrobów współzawodniczy z ich doskonałością, a sprężyną tego współzawodnictwa jest masowość produkcji. Zrozumiała jest przeto z tego stanowiska konieczność coraz nowych nakładów, ciągły rozrost, nieustający pęd kapitału, wcielającego się w coraz nowe organizmy pracy. Ten pęd jest duszą przedsiębiorstw Forda. Idea jego, jak idea każdego twórcy, żywi się nie tem, co z dzieł swych osiąga, ale tem, co w nie kładzie. Idea ta jest nastawiona nie na zysk osobisty, ale na przyrost powszechnego w kraju bogactwa.

Czyż ta właśnie idea jest towarem tak niepożądanym, że ją obarczać należy, jak chcą członkowie Kongresu, cłem podwójnego podatku?

Ale Ford idzie dalej.

— Powołaniem wielkiego kapitalisty-przemysłowca powiada on w niedawno ogłoszonej przez się „Autobiografji", — jest wyzwalać ludzi z tego najdotkliwszego jarzma, którem jest jarzmo nędzy. Dążeniu temu stają w poprzek inne postaci kapitalizmu — spekulanci, bankierzy, giełdziarze — postaci żerujące na organizmach produkcji, poczytywanej przez nich jedynie za ogniwo pośrednie między kupnem a sprzedażą. Tym rodzajom pasożytniczym wytwórca wydać musi bitwę, musi je zgnieść i przerobić na swoje narzędzia. Powodowany własnym interesem, przemysłowiec, dzięki postępom techniki, sprowadzi cenę wyrobów na taki poziom i rozwinie produkcję do takich rozmiarów, że wszystko, co odpowiada potrzebom życia kulturalnego, stanie się dostępne dla wszystkich.

— Utopia! — odpowiedzą przeciwnicy Forda.

Zapewne. Ale utopiom takim zawdzięcza era kapitalistyczna te właśnie znamiona, które są w niej znamionami wielkości.

A może również i te, które są zadatkiem ery innej, nowej, doskonalszej.

Nadomiar utopja Forda ma jeden ważny przywilej: siadła przy kierownicy samochodu i może biec do mety z szybkością stu kilometrów na godzinę.

ZAPRZECZENIE SŁOŃCA.

Było to w prześlicznym miesiącu Maju, przed kilku laty, podczas słynnej wyprawy naszych wojsk na Kijów.

Wiosna 1920 roku, acz jeszcze nie uświetniona piórem swoich nadwornych piewców, świetniała przepychem własnej niesłychanej urody.

Armja Śmigłego, skoncentrowana pod Żytomierzem, miała lada dzień ruszyć dalej na wschód, aby gdzieś, między Irpeniem i Dnieprem, zadać czerwonej armji rosyjskiej cios „ostateczny" i zająć stolicę Ukrainy.

•

Przed opuszczeniem Żytomierza, postanowiłem zwiedzić siedzibę „Czrezwyczajki". Zaopatrzywszy się tedy w przepustkę, udałem się na ulicę Mikołajowską, gdzie w dawnym gmachu Banku Włościańskiego mieścił się, przed wkroczeniem wojska naszego, wszechwładny organ rządów sowieckich.

Było jasne złote popołudnie. Okwitające sady, wychylające się gałęźmi grusz i jabłoni nad parkany miejskie, sypały na głowę przechodnia białe i różowe płatki, od których pachniało powietrze, od których różowiły się i pachniały myśli w głowie.

I pod czarem tej wonnej, różowej godziny zapomniałem na chwilę, dokąd idę. Ogarnął mnie uroczy, upajający dech życia.

Szczebiot dzieci igrał tak swobodnie, jakby anielstwo ich serc nie miało nigdy ulec zdeptaniu przez gwałt i ohydę.

Żebrak wyciągał do ludzi rękę tak śmiało i ufnie, jakby ulicami miasta przechadzało się samo Miłosierdzie.

Nawet łoskot wozów wojennych i bagnety gęsto snujących się patroli nie mogły pokonać i rozerwać tego skupienia ciszy, w jakiem kwiaty drzew i serca ludzi nawzajem opowiadały sobie legendę o wspólnej, prastarej ojczyźnie, której obraz serce uniosło w tęsknocie, a kwiat w swojej woni.

I nagle — kilka schodów kamiennych w górę, kilka schodów kamiennych w dół, ku podziemiom piwnicy— i nagle czujesz, że słońce jest o sto mil za tobą, że wiosna — o sto mil za tobą, że życie — o sto mil za tobą!...

Jakiś bezlitosny, rzeźniczy zaduch chwyta żelaznemi kleszczami za gardło. Powietrze obejmuje cię zewsząd, jak oploty tysiąca zimnych ramion... Powietrze, nasycone agonją, męką przedśmiertnych wstrząsów, jękiem, wilgocią ludzkiej posoki. Z przerażeniem dostrzegasz

w półmroku, że po ścianach sączą się jakieś smugi rdzawe, że na podłodze kamiennej zastygły jakieś straszne kałuże, od których krzyk skamieniały bije w kamienny pułap i tłucze się o kamienne ściany. Coś lepkiego, coś jadowitego, coś tak nieodpartego, jak wzrok otwartej źrenicy trupa, wkrada się w każde włókno nerwu, osiada na mózgu, zabija myśl, zabija serce, zabija tętno krwi. Nogi chwieją się i stopy zamierają na oślizgłej podłodze. Nogi chwieją się i poślizgują na mokrej podłodze, a czujesz, że żadna moc nie podźwignie cię stąd, nie ocali żywego, gdy padniesz na to dno śmierci... Uciekać! Tchu! Powietrza! Ratunku!

*

Ogłuszony, zatruty, półprzytomny, zatoczywszy się kilkakroć na schodach, wybiegłem na ulicę.

Odetchnąłem. Spojrzałem w górę. Spojrzałem wokół siebie. To samo świeci słońce. Ta sama wiosna pachnie okwiatem grusz i jabłoni...

Ta sama? Nie. Nic z oczu moich nie mogło zedrzeć tej pleśni, jaka na nich osiadła. Wiosna, słońce i kwiaty były bezsilne. Nie były tem, czem się zdawały przed chwilą. Nie były potęgą wszechmocną. Nie mogły wypić z moich źrenic tej nocy przerażenia, nie mogły pokonać w mojej duszy tej zmory piekła, jaka na chwilę ogarnęła mnie w głębi kamiennego lochu.

I to, że najwspanialsze twory boże — wiosna, słońce, kwiaty — bezsilne były wobec tworów ręki człowieczej, taiło w sobie znak jakiejś zbrodni strasznej, taiło w sobie jakieś groźne wyzwanie, rzucone niebu i ziemi.

Bo czegóż nie uleczy słońce? Jakichże ran nie zagoi wiosna? Na czyimż grobie nie porosną kwiaty?

Widziałem był na pobojowisku, w rowach strzeleckich, szczątki ciał, poszarpanych w bitwie przez żelazo i ogień; odgadywałem z młodocianych lic, zbielałych na wieki, rozpaczliwy przeciwko śmierci bunt, zastygły w potwornie wykrzywionych rysach; złorzeczyłem przeklętemu żniwu wojny, która wytraca najśmielsych; ale jednocześnie nie mogłem się oprzeć nadziei, że i tem krwawem polem pobojowiska przejdzie tryumfujący orszak wiosny, że i na tych krwią napojonych niwach zazieleni się trawa lub zboże; że i na te w rozpaczy i w buncie zagasłe oczy poległych słońce z kwiatów i szumów rzuci zasłonę zapomnienia, jeśli nie ukoju, spoczynku, jeśli nie pojednania.

Ale dla tych lochów kaźni któż wyjedna łaskę zapomnienia? Jakiż nowy bóg zmartwychwstający zmyje krew z jej kamiennych progów?

DWIE DUSZE ITALJI.

KASKADA W TIVOLI.

Czy znacie lekkie i białe miasteczko, Tivoli?

Odległe o 30 kilometrów od Rzymu, zda się jego krużgankiem, tyle ma w sobie ciszy i powagi ruin, zasłuchanych w sobie.

Zawieszone nad wodospadem rzeki Anieny, zda się improwizacją, wykwitającą z tęcz i pyłów wodnych, tak przesycone jest ruchem, wibracją i pędem nieuskromionego żywiołu.

Trwa statecznie od 20 stuleci, a jakgdyby rodziło się nanowo w każdym momencie.

Prastary sen marmurów i wiecznie młoda rączość wód, z górskiego bijących zdroju. Nieruchoma, niebjęta przeszłość i — chwila, ścigana chwilą w rozhukanej burzy wodospadu: czyż to tylko lekkie, białe i wyniosłe na swem wzgórzu Tivoli?

Czyż to nie dusza Włoch, odbita w kontraście swoich dwu najistotniejszych akordów?

W tem to miasteczku Tivoli, na stopniach kolumnady, zdobiącej ongi świątynię Sybilli, siedziało kilku mężczyzn różnej narodowości, stanowiąc towarzystwo, któremu tylko Włochy, a ściślej — tylko Rzym i jego atmosfera dać mogły pewną spójnię duchową. nawiązując łączność myśli i czucia między Włochem a Polakiem, Polakiem a Niemcem. Gdyby nie kompletna tych ludzi obojętność dla polityki aktualnej, możnaby powiedzieć, że uosabiają w swem przelotnem gronie jakieś zbłąkane marzenie o przyszłych Stanach Zjednoczonych Europy. Szczególne wszakże znamię czasu podkreślała w tem gronie obecność Amerykanina, korespondenta jednego z wielkich czasopism New-Yorku tudzież osoba młodego Włocha, lotnika, który świeżo był powrócił z żeglugi powietrznej nad wyspami Australji, tym — jak mówił — „ogrodem Pacyfiku". On to był inicjatorem wycieczki. Pochodząc z Tivoli, postanowił — po łoskotach śmigła — nasycić nerwy swe spokojem rodzinnych gór, gdyż — jak powiadał — najskuteczniej odpoczywa się śród krajobrazu dzieciństwa. Opuszczając Rzym, namówił do wyjazdu z sobą kilku przyjaciół i znajomych, obiecując im ukazać „najpiękniejszą panoramę" Włoch.

Uczestnicy wycieczki byli w świetnym humorze. Wdzięczni byli towarzyszowi za pomysł tej maleńkiej wyprawy. Siadłszy na białym progu świątyni, wzniesionej na urwisku, przeciwległem kaskadzie, poili oczy obrazem, zawierającym jeden z najwykwintniejszych poematów przyrody. Nie próbowali opierać się czarodziejstwu miejsca i godziny. Świetlista przed zachodem

linja horyzontu, wyrzeźbiona czołami wzgórz, porosłych oliwkami, objęła przybyszów łaskawą zadumą włoskiego przedwiośnia. Nad głowami mieli spokój umarłej świątyni. Przed sobą kipiącą wstęgę wodospadu.

Ale słodką zadumę przerwał głos młodego lotnika:

— A cóż tak milczycie, panowie, jakby pozując do fotografji, przeznaczonej na tkliwą pocztówkę? Perbacco! A może wy sami chwytacie w aparacikach duszy — oh! jak to tam się nazywa? — „boskie piękno nieśmiertelnej Italji"?...

I zarżał tęgim, wyzywającym śmiechem króla sportów.

— Winszuję wam w takim razie szeregu, w którym stanęliście dobrowolnie, ale uprzedzam, że tam pozostać wam nie pozwolę. Od lat pięciuset ciągną tu z całego świata trutnie sentymentalni, aby podziwiać nadobną kaskadę, przy której ongi (jeśli się nie mylę) stroił swą lutnię dla pierwszego Mecenasa pierwszy dworak Horacy...

— Pocóż nas tu przywiodłeś? — obruszył się Niemiec, malarz z Düsseldorfu, bawiący na studjach w Rzymie, fanatyk sztuki i tradycji klasycznej.

— Po co? Z pewnością nie po to, aby wstępować w zakon boskiego próżniactwa! Dość długo przeciągał gościńcami Włoch karnawałowy orszak zbytku, kontemplacji, wczasów i lenistwa. Aż próżniactwo i pustota gości udzieliła się mieszkańcom tego kraju, który zapomniał o dniu powszednim i wyobraził sobie, że Włochy są ojczyzną wieczystego święta. Spójrzcie na

to miasteczko: od pięciuset lat żyje, nie orząc, ani siejąc: handluje patyną swoich rumowisk, żyje z wdzięków swej kaskady, sprzedaje białość jej piany, djamenty jej blasku. Zmieniło się w pasorzytów, zdradziło swoją przeszłość, stało się miastem hotelarzy, fiakrów, guidów, kamerdynerów, estetycznych i malowniczych żebraków!... Pomyślcie: najpracowitszy naród świata, naród największych ongi budowniczych świata, jął rękę wyciągać po jałmużnę obcego przechodnia. Na szczęście, ta ohyda jest już poza nami!

Odetchnął głęboko i wskazał palcem nawprost siebie.

— Widzicie ten złom skalny po lewej stronie głównego prądu kaskady?

— Ten olbrzymi głaz biały, nakryty pianą, jak obrusem? — spytał malarz, idąc wzrokiem za wyciągniętą dłonią Włocha.

— Tak, ten biały, olbrzymi głaz.

— Powiedz raczej ołtarz — sprostował artysta — ołtarz jakiejś przeczystej boginki źródeł, ołtarz, przy którym duchy dolin klękają, aby modlić się ku szczytom, kędy rodzą się rzeki i wichry.

Lotnik tolerancyjnie „przetrwał" tyradę malarza i nie bez uciechy doraźnego odwetu wyrąbał, jak wyrok:

— Otóż, w tem miejscu, a raczej na tym poziomie, lecz nieco opodal, stanie wspaniała elektrownia, poruszana siłą wodospadu, aby rozpromieniać bogactwo energji po całym okręgu. I to miałem na myśli, gdym zapowiedział wam, że ujrzycie najpiękniejszą panoramę Włoch. Jest to właśnie panorama zamierzonej pracy, panorama naszej przyszłości.

— Ależ to barbarzyństwo — zawołał Niemiec: — zakładami przemysłu kazić oblicze pejzażu, którego powołaniem jest wieścić jedyną dostępną człowiekowi boskość — piękna. Fabryka może sobie stanąć z równem powodzeniem...

—...w Düsseldorfie — przerwał jadowicie Włoch:— tak, wy, panowie Niemcy, dla siebie zastrzegacie klątwę pracy i brzemię wytwórczości; nam, rasom łacińskim, pozostawiając religję piękna i... napiwku. Grazie tante!

— A wy, panowie Włosi, — odciął malarz z Düsseldorfu — odkąd, wraz z innymi, ukaraliście barbarzyństwo Niemiec, zaczynacie wierzyć sami w jego odradzającą śród ludzkości misję.

— Zapewne, że nie przeraża nas barbarzyństwo tam, gdzie jawi się, jako rewolucja młodości, przeorująca stare, jałowe ugory. Gdy społeczeństwo zaśnie na zbyt wygodnem posłaniu i da się zbyt czule kołysać djamentowym kaskadom, błogosławiona niech będzie pięść barbarzyńcy, która je z gnuśnego bezwładu wytrąci. Nie jestem, jak wiecie, faszystą i nie podzielam w ustroju obecnym żadnej z jego tyrańskich tendencyj, ale widzę, co daje mu dotychczasową przewagę nad przeciwnikiem: zuchwałość decyzji. Tam, gdzie wahało się dziesięć rad municypalnych uprzedniego okresu, rozstrzyga dziś jednym rozkazem faszystowski komisarz. Ten oto wodospad od lat 20 nęcił oko przedsiębiorców, jak skarb zaczarowany. Ale któż z obywateli śmiałby wyzwać odwieczną opinję swego rodzinnego miasta? Zmienić klejnot ozdoby w źródło i na-

rzędzie pracy? Tysiąc protestów ukamienowałoby bezbożnego śmiałka. Kilkudziesięciu hotelarzy, kilkuset lokajów, mrowisko żebraków, wyczekujących w słońcu na datki gości zagranicznych, trzymało w arendzie wiekuistą wstęgę kaskady, w żebraczkę zmieniając samą bożą siłę przyrody. O! bądźcie pewni, przyjaciele, łatwiej ujarzmić huragan wód i ująć go w karby stawideł, niż odwrócić, przeciąć lub nagiąć pasmo jednego nałogu w tradycji publicznej, zwłaszcza, gdy tak, jak w danym wypadku, trzeba przezwyciężyć nietylko tradycję krajową,, ale i tę lawinę zagraniczną, która balsamowała nasze przesądy, nasze nędzarskie piękno i naszych malowniczych lazzaronów. Ale teraz dość! Tu, gdzie kwitło wiekami wyczekiwanie na cudzoziemców, dźwigną się domy robotnicze, staną warsztaty, szkoły, ochronki, kooperatywy. Z tej kaskady, która hodowała robaczywą idyllę pasorzytów, wyniknie surowe, stokroć górniejsze piękno wysiłku, który niesie zdrowie i który daje godność.

— Splendid... magnificent!... — od zapału włoskiego rozniecił się obywatel New-Yorku. — Widzę, że duch Ameryki zaczyna przemawiać przez usta europejczyków. Nareszcie! Nareszcie, zaczynają i tutaj czuć nietylko przymus, ale i entuzjazm pracy. Ręczę, że ów pierwszy, kto postanowił spożytkować wodospad Anieny, był to reemigrant, mający poza sobą szkołę amerykańską. Naturalnie, u was tu wszystko dzieje się na drobną skalę. Włoska Niagara zowie się kaskadą Anieny... Wasze narzędzia pracy z czasem przywozić będziemy dzieciom swoim, jako zabawki.

— A jednak przyznam się — rzekł ostatni z grona, który dotąd milczał, Polak — że żal mi będzie tej „zabawki", jaką jest Villa Gregoriana z tą oto przecudowną kaskadą. Zdaje mi się, że niema w świecie takiej ceny pożytku, która mogłaby okupić zagładę jednego objawu piękna. Gwałt, choćby najbardziej usprawiedliwiony, zwłaszcza gdy rodzi się na grobie piękna, przynosi z sobą grzech pierworodny, który się mści, i dla którego niema przebaczenia. Nie chcę uchybić prestige'owi amerykańskiej Niagary, która reprezentuje, jak mówi nasz towarzysz, wielką skalę. Ale w swej skali własnej piękna jest również Aniena, piękna swą niedościgłą pięknością klasycznego umiaru. Czyż to niedość, aby mieć prawo do życia? Czyż na to, aby dźwignąć duszę kraju, trzeba degradować przyrodę?

Włoch zerwał się z kamiennego stopnia. Czekał snadź na to pytanie, gdyż teraz dopiero wytoczył swe „bojowe rezerwy".

— Ależ kaskada — zawołał — nie zginie. Kaskada żyć będzie. Na tem polega nasze zwycięstwo. Nasz tryumf domowy. Tu zaczyna się właśnie genjusz naszego wieku i naszego pokolenia. Spadająca masa wody, przez sześć dni w tygodniu, ujęta w tamy, obracać będzie pracowite koła dynamomaszyny. Ale w każde rano dnia siódmego odzyskiwać będzie dziewictwo swobody. Stawać się będzie znowu wolnym ruczajem gór. Jak dzisiaj, jak od lat tysięcy, wolna i rozpętana rzucać się będzie z dzikiej wyżyny w swój ukochany wąwóz. Nie będzie to niewolnica, chodząca

w jarzmie, ale bogini, zstępująca wpośród śmiertelnych, aby nieść moc i światło!

— Evviva! — krzyknął ze swego miejsca Amerykanin, jakby podrzucony niewidzialną siłą, poczem chwycił dłoń lotnika i uścisnął ją mocno, jakby za coś dziękując.

— Evviva! — powtórzył po włosku, co było w nim poszlaką niezwykłego uniesienia. — Jakże wdzięczny jestem panu za to, com usłyszał. Od roku podróżuję po Europie, a tu po raz pierwszy spotykam wreszcie coś, co mi zaimponowało. Tak jest! Ta kaskada warta jest, aby ją nazwano „Waterfall of dollars" — Kaskadą dolarów! Miraculous! Sześć dni pracy i odpoczynek dnia siódmego. Zaiste, Bóg, świat stwarzając, nie czynił inaczej. Nie, my w Ameryce tego nie potrafimy. To jest hyper-modernizm! To jest super-amerykanizm! To jest arcy-futuryzm! Pomysł tak nowoczesny narodzić się mógł tylko w walce z okowami najcięższej, najuroczystszej przeszłości. To jest, naprawdę, coś nowego. My zużyliśmy siłę Niagary, ale zburzyliśmy jej piękno. Powstały fabryki, ale kaskadę rozkradziono My — amerykanie — jesteśmy młodością współczesnego świata. Ale wy, wy — Włosi, jesteście powracającą wiosną ludzkości; jesteście ciągłą niespodzianką wieków. Gdy bankierzy nasi ofiarowali wam jesienią 100 miljonów dolarów pożyczki, rzekłem sam do siebie: Szczęśliwi Włosi, uzyskali to, o co napróżno ubiega się tyle innych narodów. Teraz widzę, że się myliłem, i — winszuję, naprzód, bankierom, którzy zdołali dolary swe umieścić w waszych przedsiębior-

stwach. Niech żyje kaskada Tivoli! Ja o tem natychmiast zadepeszuję do swej „New-York Star"

Ponieważ słońce już zaszło i od gór ciągnął surowy podmuch przedwieczorny, podróżni pożegnali ciche, wciąż jeszcze bielejące w zmierzchu progi Sybilli, i skierowali się ku głównemu placowi miasteczka, kędy wabił gwar żywych wesołych głosów pod gwarem żywych wesołych świateł.

...1926 r.

MUSSOLINIEGO DŁUG MŁODOŚCI.

Książka, wyposażona w list polecający do czytelnika od prezydenta rady ministrów, bywa zjawiskiem niepowszedniem. Cóż dopiero, gdy tym prezydentem jest indywidualność, tak jaskrawa, jak Benito Mussolini, autorem zaś tak rzadką zaszczyconym protekcją jest Alfred Oriani, pisarz sam przez się stanowiący ognisko namiętnych zainteresowań współczesnego pokolenia.

Istotnie, to ostatnie dopiero pokolenie wyniosło na arenę rozgłosu imię pisarza, który 18 lat temu umarł w zupełnem opuszczeniu, pominięty i przemilczany przez rówieśników śmiertelnem milczeniem obojętności. Mussolini wszelako, jakgdyby powodując się zasadą, że rozgłos nie świadczy jeszcze o uznaniu, i niezawsze idzie w parze nawet ze znajomością rzeczy, postanowił w sposób fundamentalny przyczynić się do rozpowszechnienia myśli Orianiego: dał czynną inicjatywę do zbiorowej edycji, obejmującej wszystkie dzieła tego pisarza, poczynając od młodzieńczych jego burz-

liwych prób powieściowych aż do koronnych dzieł umiaru i dojrzałości.

Dzięki tej popularnej edycji, szeroki ogół włoski zyska możność bezpośredniego zetknięcia się z duchem Orianiego, a w zetknięciu tem przekona się niewątpliwie, jak ciężką było krzywdą milczenie, które kamienowało go za życia, krzywdą dla pisarza i — krzywdą dla narodu.

Pomijając w rozwoju Orianiego początkową dobę rozwichrzenia, w której szukał on dopiero sam siebie, nie znajdziemy w pokaźnym jego dorobku ani jednego tomu, w którymby tak lub inaczej nie krwawiła się troska o byt narodu, w nadziei, że głos jej kiedyś będzie wysłuchany. Ten utajony patrjotyzm, zabarwiony częstokroć ideą mesjanizmu, tak dziwną we krwi Włocha, szczególną musi uderzać wymową ucho i serce Polaka. Trzebaby sięgnąć do „Kursu Literatur Słowiańskich" Mickiewicza i do tej tradycji natchnień, która z nich wypłynęła, aby spotkać drugi równie żarliwy i równie surowy w piśmiennictwie zakon bojowania w służbie ojczyźnianej. Trzebaby wniknąć w mękę najbardziej rozdzierających kart Żeromskiego, który tradycji mickiewiczowskiej jest ostatnim i współczesnym wcieleniem, aby zyskać komentarz do tego oryginalnego na gruncie włoskim zjawiska, któremu na imię: Oriani.

Oto „Lotta politica in Italia" („Walka polityczna w Italji"), jedyna po dzień dzisiejszy historja Włoch, godna tego imienia; historja, będąca właściwie tylko wstępem dziejowym do chwili obecnej: jak katedra

Sienny, stanowiąca jedynie skrzydło tego gmachu, którym miała być katedra prawdziwa[*]). Jak żadne bodaj inne, dzieło to daje miarę wybitności człowieka, który, aby móc mówić o polityce współczesnej sobie, czuł się zmuszony naprzód ogarnąć całe dzieje Italji, cofając się aż do łuków starożytnej Romy.

Oto „Rivolta Ideale", księga syntezy, którą, jako odpowiednik do poprzedniej, możnaby nazwać epilogiem dziejowym, dzięki zwartości i sile, zjaką autor stawia w niej i rozwiązuje najdonioślejsze zagadnienia polityczne swego czasu, poczynając od organizacji państwa aż do zadań polityki kolonjalnej.

Oto „Matrimonio" i „Divorzio", dwa etapy tej samej walki o byt i godność rodziny, pojmowanej, jako podstawowa komórka w ustroju narodowym.

Oto „Fino a Dogali", dokument najwszechstronniejszej analizy, jaką poświęcono rozpoznaniu i zgłębieniu zawiłej sprawy zjednoczenia włoskiego.

Oto „Disfatta" — powieść, w której nieśmiertelne postulaty ducha ludzkiego łamią się w życiu, aby zatryumfować w idei, symbolizującej wiekuisty dramat człowieka.

Oto „Ombre d'occaso", szkice, studja i nowele, księga goryczy i gniewu, powołująca przed sąd sumienia najskrytsze słabości, nędzę i kłamstwa tej najwznioślejszej z epok, którą zagajał wschodzący wiek XX.

---

[1]) Por. Giuseppe Prezzolini: „La Coltura Italiana", str. 199, oraz Benedetto Croce: „La letteratura della nuova Italia", t. III.

Wskazaliśmy tylko najważniejsze z dzieł Orianiego, a raczej dzieł owych tytuły; tytuły tak przejrzyste i zrozumiałe, że dla czytelnika polskiego bodaj nie trzeba ich polszczyć. Gdybyśmy wszakże spolszczyli karty, jakie ukrywają się pod tytułami, przekładając je na język naszych pisarzy i poetów, wtenczas wewnętrzne pobliże i pokrewieństwo tonu spowodowałoby jedną z najczarowniejszych ułud, jakie zdarza się przeżywać ludziom i narodom w ich samotnych tragedjach. Gdy Oriani mówi o wzlotach i upadkach „Risorgimenta", gdy rozwija epos Garibaldiego, gdy wraz z Mazzinim ślubuje wierność ludowi, czytelnik polski, uwiedziony prawdą tej dygocącej wiary, żarem tej miłości i męki „za miljony", gotów przysiąc, że są to nowo odnalezione warjanty poezji i historji polskiej, że to Mickiewicz temi nowemi słowy raz jeszcze prostuje i sercem swojem wyrównywa ścieżki cierniowe Legjonom Dąbrowskiego, że to Wyspiański raz jeszcze składa los ojczyzny w ręce chłopa, że to Żeromski śni swój sen o Rycerskiej Szpadzie.

Żyjąc w okresie posępnej szarzyzny, jakim był okres pierwszych dziesięcioleci Włoch niepodległych, w dobie zrzeczeń politycznych i okrutnego kontrastu między górnością niedawnych marzeń a poziomem osiągniętej rzeczywistości; w dobie porażek militarnych i upokorzeń dyplomatycznych, Oriani z wytrwałością i odwagą niemal wyzywającą głosił wiarę w nową fazę posłannictwa włoskiego w świecie.

Fakt, że Italia dwakroć już w dziejach osiągnęła stanowisko wszechświatowe i znów powstała do życia,

był w jego oczach rękojmią chwały i odpowiedzalności na nowych drogach rozwoju i pracy.

— Mieć siłę, aby osiągnąć wielkość — wołał do rodaków — oto obowiązek. Rozrastać się wszerz i wzwyż, sięgać po zdobycze duchowe i materjalne, w drodze wychodźtwa, w drodze handlu, przemysłu, nauki, sztuki, religji, wojny. Ustępować z pola jest niemożliwością; a więc trzeba zwyciężyć.

Przewidując śród głębokiego pokoju rychłą wojnę nieuniknioną, zdawał się, naprzekór wszelkim pacyfizmom, nietylko jej oczekiwać, ale niemal pragnąć w przekonaniu, że Włochy, nie mogąc się od niej uchylić, znajdą w niej chrzest ogniowy dla swych sił i wartości.

Historja, ironistka bezlitosna, kazała temu najszlachetniejszemu imperjaliście włoskiemu być świadkiem klęski pod Aduą. Zadając mu atoli kłam w rzeczach małych, gotowała dlań tryumf późniejszy — w wielkich. Już to jedno tłumaczy dostatecznie, dlaczego Oriani nie znalazł dla się zrozumienia u współczesników, i dlaczego znaleźć je mógł i musiał w pokoleniu następnem; w pokoleniu, które, buntując się przeciw ciasnym formułom pozytywizmu w filozofji i oportunizmu w polityce, przeciwstawiło im nowy odrodzony idealizm, oparty na waloryzacji ducha i historji.

Fala wojny światowej, uderzając o grób Orianiego, znalazła w nim najgłębszy bodaj odgłos dla dziejowych przeznaczeń, które niosła w sobie i które zapowiadała.

Włochy wstąpiły w wojnę z pieśnią d'Annunzia na ustach, ale z ideą Orianiego w głowie.

Idea ta była ideą demokracji, pojmowanej, jako służba i jako wiara ludzkości, własne wykuwającej dzieje. Wzrastając i wychowując się śród ostatnich łun „Risorgimenta", Oriani był nietylko demokratą, ale epikiem zdobywczego pochodu demokracji. Wyzwolenie i zjednoczenie swej ojczyzny uważał za jeden z etapów — ale bynajmniej nie za etap ostatni — tego wielkiego pospolitego ruszenia ludów, które rozpoczęło się wraz z Wielką Rewolucją Francuską, a doprowadzić miało do wyjarzmienia całego szeregu uciśnionych narodów, od Irlandji na Zachodzie Europy, poprzez Polskę i Czechy, aż do Litwy, Łotwy i Finlandji na Wschodzie. „Rewolucja Francuska — pisze Oriani w swej „Rivolta Ideale"*) — była od czasów chrześcijaństwa największym tryumfem indywidualności".

Na płomiennem tle przełomów ubiegłego stulecia, Włochy ukazywały się Orianiemu, jako naród najbardziej wolnościowy i rewolucyjny śród narodów świata, — naród obleczony mistycznym niemal mesjanizmem wolności, taki, jakim marzył go Carduci w swej poezji, Mazzini w swem apostolstwie.

— „Trzeci Rzym — czytamy w „Fino a Dogali"*) wkroczył na widownię wraz z Augustynem Depretis. Skończyła się epopeja i tragedja „Risorgimenta"; wszystkie tradycje pojednały się ze sobą, wszelkie róż-

---

[1]) „Opera Omnia di Alfredo Oriani", a cura di Benito Mussolini. „Rivolta Ideale", str. 23.

[2]) Str. 343—344.

nice etnograficzne i historyczne we wspólnem zlały się łożysku: inna Italja, z nową świadomością, w nowej postaci, wsparłszy się na Alpach, patrzyła ku Europie... Owa Italja młoda, silna, córa i spadkobierczyni rewolucji francuskiej, wstępowała wtenczas w życie Europy, aby skupić w sobie dążności i tęsknoty ludów. Ona jedna bowiem, nie skrępowana tradycjami, z historją młodą, ale i najdłuższą zarazem, i najsławniejszą, mogła stanąć w ośrodku rewolucji francuskiej, podejmując i wieńcząc jej dzieło w Europie".

Jako bojownik i epik demokracji, Oriani godzien jest stanąć w szeregu jej najwyższych przedstawicieli XIX wieku.

Ale tu stajemy wobec pytania, które narzucać się będzie każdemu, kto po dzieła Orianiego sięgnie do faszystowskiej edycji Mussoliniego.

— W jaki sposób ów zdecydowany demokrata znaleźć mógł patrona i wydawcę w przywódcy faszyzmu, który, jak wiadomo, najdobitniejszym jest protestem i przeciw demokracji i przeciw całemu „niedorzecznemu" wiekowi dziewiętnastemu?

Pytanie to z dramatu ścierających się idej przenosi nas w życie i wprowadza w osobisty dramat człowieka.

Antyteza między duchem wielkiego demokraty i republikanina, jakim był Alfred Oriani, a duchem faszyzmu jest tak oczywista, że niejeden głos z wdzięcznością witający nową edycję Orianiego, nie może oprzeć się zdumieniu, że ma ją do zawdzięczenia Mussoliniemu.

Niektórzy, czyniąc przytyk do bezceremonjalnej za-

chłanności faszyzmu, utrzymują wręcz, że Oriani padł ofiarą zbrojnej okupacji; że „marsz na Orianiego" jest literacką odmianą tej samej strategji, która zatryumfowała politycznie w „marszu na Rzym".

Najciekawsze jest to, że sam Mussolini, zdając sobie sprawę z osobliwości swego stanowiska, czuje, że należy się odeń jakieś wyjaśnienie ogółowi. Szukając atoli jakiegobądź argumentu i, chcąc zapewne dać najprostszy, znajduje pod ręką tylko najbłahszy.

— Fakt, że syn Orianiego nosi czarną koszulę — powiada w przedmowie swej do „Rivolta Ideale" — jest najlepszą odpowiedzią, jaką możemy dać naszym przeciwnikom wszelkiej barwy.

Że synowie niezawsze bywają żywym dokumentem wiary swoich ojców, o tem Mussolini, którego ojciec był socjalistą, mógł na własnej doświadczyć osobie.

Zgłaszać się do spadku po wielkim pisarzu nie z ideą własną, ale z metryką i kostjumem syna: czyż tego rodzaju postawę można brać poważnie? Nie. Wyjaśnienia zagadki szukać należy gdzieindziej.

Oriani dla młodego Benita, jak dla wybitnej większości jego pokolenia, był nietylko lekturą, ale i przeżyciem. Gdy myśliciele witają dziś w Orianim myśliciela, a poeci — poetę, on pozdrawia w nim proroka swojej młodości.

Z jego kart, z jego proroczej prozy, młodociany syn kowala z Predappio, a później ubogi nauczyciel ludowy w prowincjonalnym zaścianku Romanji, zaczerpnął dech pierwszej porywającej wiary w człowieka,. Upojony, oszołomiony z kart owych dowiadywał się, że

historja o każdej porze ma do rozdania swe największe role, i że aby podjąć jak największą, nie trzeba być urodzonym na tronie, dość jest stanąć na służbie Wielkiej Myśli. Dzisiejszy czciciel Machiawela i De Maistre'a miał okres, w którym był oszalałym orjanistą,. Idee demokracji uderzyły mu do głowy, jak dziś bije mu do głowy próżność, dymiąca z ruin Palatynu. Rozmach wolności posuwał aż do anarchizmu — aż do pochwały królobójców.

Z pośród idei, które nieciły entuzjazm młodego trybuna ludu, niewiele pozostało takich, pod któremi podpisałby się dzisiejszy dyktator. Sama jego dyktatura jest kategorycznem zaprzeczeniem podstaw, na których pragnął budować Oriani. Imperjalizm ekspansji twórczej Orianiego nie jest nacjonalistycznym imperjalizmem faszyzmu.

Ideałom, głoszonym przez proroka swej młodości. Mussolini nie dochował wiary, i dochować jej nie mógł już choćby z powodu tej dzikiej i pierwotnej pasji, z jaką odrazu poniósł je nad krawędzie absurdu. Odbiwszy się od krańca anarchji, dawny orianista zatoczył się aż po skraj przeciwległy, oparłszy się na terorze zbrojnej dyktatury.

Ale na dnie pamięci dyktatora pozostał żywy ślad ognia, który go nawiedził w młodości. Mussolini zachował poczucie długu wobec pisarza, któremu się sprzeniewierzył, ale którego rozdział w dziejach myśli włoskiej bynajmniej nie jest zamknięty.

1925 r.

GENJUSZ PALATYNU.

Śmierć Jakóba Boni'ego nietylko Włochy okryła żałobą. Rodacy opłakiwać w nim będą chlubę swego pokolenia; cały kulturalny świat europejski odczuje w jego zgonie ubytek jednej z tych sił duchowych, które przerzucają most ponad szeregiem pokoleń i łączą ze sobą odległe wybrzeża dwóch różnych epok ludzkich.

— Gdy się pomyśli, że Jakób Boni nie żyje — powiada jeden z uczonych angielskich — doznaje się wrażenia, jakgdyby cząstka światła zgasła na Palatynie.

Istotnie, wiedza i na wiedzy wsparta intuicja znakomitego archeologa stanowiła jakgdyby okno otwarte na przeszłość. Zgłębianie historji nie było dla niego ani abstrakcją, ani przenośnią. Zgłębiać znaczyło dlań — kopać w ziemi. Zgłębiał ją więc z łopatą i kilofem w ręku, zstępując o cztery lub pięć metrów poniżej obecnej powierzchni gruntu, a jednocześnie cofając się o lat dwa lub trzy tysiące wstecz. Dzieje minione odczytywał nie z foljałów, ręką ludzi

pisanych, ale z tej księgi bożej, jaką jest oblicze ziemi, poryte zmarszczkami tysiącoleci, poorane śladami wielkich myśli, wielkich zdarzeń.

Kopał. Nie lękał się niemej ciszy grobów. Pochylał się nad niemi, jak nad pokładami utajonych objawień. Odgadywał, że te groby są kolebką, w której narodziła się wielkość Europy.

Szedł ku nim nie jak szperacz, ale jak wskrzesiciel!

Zgłębiać, kopać, odwracać warstwy ziemi, dobywać z pod nich światy zaginione, odpoznawać zgasłe okresy potęgi, ustalać koleje plemion, zbierać świadectwa obrzędów i wiar: oto, jak pojmował swe posłannictwo życia Boni. W swej misji życia zawarł był misję cywilizacji.

Gdy inni w zetknięciu z okruchami przeszłości, sami stawali się cieniem, on przeszłość przywracał do bytu i nawet okruchom kazał żyć i świadczyć. Zapał odkrywcy łączył się w nim z namiętnością historyka; ciekawość badacza z jasnowidzeniem poety. Dlatego rozgłos jego imienia sięgnął o wiele dalej, niż sięga sława wybitnych nawet znawców starożytności. W ciągu lat trzydziestu nieustannna fala uczonych i artystów, głośnych osobistości i skromnych pielgrzymów płynęła ku temu władcy Palatynu i jego cichemu królestwu nietylko po wiedzę i po erudycję, ale i po wizję piękna, po oddech wielkości, po czar wiekuistego tragizmu człowieka.

To, co dla innych bywało polem pracy i obowiązkiem, dla Boni'ego stało się zagadnieniem sztuki i umiłowaniem: celem, któremu złożył w ofierze wszystkie

swe siły; celem, o który gotów był walczyć, jak o treść swego życia, i o który, w młodości, stoczyć musiał rzeczywistą walkę.

Nie odrazu bowiem otwarły się przed nim skarby Palatynu.

Gdy przed laty z górą trzydziestu, jako młody architekt, z dyplomem weneckiej Akademji Sztuk Pięknych, zgłosił się do rządu włoskiego ze swemi planami nowej kampanji odkrywczej, oświadczono mu krótko i węzłowato, że oferta jego jest bezprzedmiotowa, ponieważ na Foro Romano i na Palatynie wszystko już zostało odkryte i „nic tam już więcej niema do roboty".

Boni zrozumiał, że, aby objąć Palatyn w posiadanie, trzeba go zdobyć. Nie dając tedy za wygranę, postanowił rutynę biurokracji przełamać atakiem fantazji. „Byle się dostać — myślał — do skrawka ziemi obiecanej! Byle dostać do rąk młotek i łopatę"! I, aby zwyciężyć w walce, uciekł się do fortelu. Uzyskał od ministra uprawnienia i środki na jakąś małą przebudówkę. Był to pretekst. Aby zadowolić oko władzy, kazał robotnikom wznosić jakieś ogrodzenie czy postument, a tymczasem sam począł to tu, to ówdzie grzebać w ziemi, ukradkiem, jakby od niechcenia. Połów był nieoczekiwany. Z pod świeżej darni wychylił się „Lapis Niger", głaz nagrobny z niezmiernej starożytności napisem, nekropolis pierwszych mieszkańców Rzymu. Jakób Boni zdobył upragniony cel. Minister nie żywił urazy o podstęp i sam zaofiarował szczęśliwemu odkrywcy stanowisko dyrektora odkopalisk na Forum i Palatynie.

Odtąd imię Boni'ego połączyło się nazawsze z imieniem tych miejsc wiekopomnych.

Odbiwszy od brzegu teraźniejszości, niby żeglarz lub nurek na otchłani czasu, drążył, rozkopywał i przenikał stulecia za stuleciami, nie znając ani przystani, ani kresu. Z pod pałaców cesarstwa dobył zręby republiki, pod republiką — głębiej wykrył fundamenty królów; pod gruzami królestwa — jeszcze niżej i głębiej — znalazł rozsypane zwaliska pierwotnych osiedli, starszych, niż baśń Romulusa, a jeszcze głębiej — w czeluści wieków — jakieś głuche szczątki starożytności już bezimiennej i tajemniczej, jak samo serce ziemi.

Historja, jak obszar astronomiczny, nie miała dla niego dna.

Pewien obrazek humorystyczny — wspomina o tem Anatol France w swej „Sur la pierre blanche" — przedstawił swego czasu Boni'ego w chwili, gdy z łopatą archeologa w ręku, nawskroś przewierciwszy ziemię, wychylał się po stronie antypodów, aby z uczuciem ulgi westchnąć nareszcie: „Cosi va bene". I w tej satyrze, istotnie, było coś z prawdziwego wizerunku tej nienasyconej pasji.

Żarliwość badacza stwarzała wokół niego atmosferę entuzjazmu, która udzielała się wszystkim jego współpracownikom.

— Żyję wraz z nimi — tłumaczył France'owi zagadkę harmonijnego zespołu swej pracy — kopię wraz z nimi. Wyjawiam im, czego poszukujemy razem, wskazuję urok naszego wspólnego wysiłku. Robotnicy zapalają się do dzieła, którego odgadują doniosłość.

Pamiętam bladość na ich twarzach w chwili, gdy odkryliśmy grób Romulusa. Jestem ich towarzyszem codziennym, i gdy który z nich zasłabnie, odwiedzam go w domu i siadam przy jego łóżku. Liczę na nich, jak oni również liczą na mnie. Łączy nas wspólna wiara.

I wiara ta nie pozostała bez nagrody. Długi, świetny szereg wydartych ziemi pomników znaczyć będzie ślad jego odkrywczej dłoni. Basilica Emilia — Fons Juturnae — Ołtarz, na którym płonęły zwłoki wielkiego Cezara — wspomniany wyżej Grób Romulusa, posady pałaców Tytusa i Augusta — wspaniały złom marmurowej Nike: oto najcelniejsze tylko fragmenty tego dorobku, któremu dał początek — Lapis Niger.

Ale nie na fragmentach polega wielkość i oryginalność dzieła Jakóba Boni'ego. Wielu przed nim uczonych kopało na zwaliskach Romy i niejeden z nich wsławił się fragmentami równej albo i większej chwały. Dość wspomnieć nazwiska takie, jak: Rossi, Rosa, Fiorelli, Visconti, Lanciani.

Misja Boni'ego sięgnęła poza fragmenty, poza poszczególne zdobycze. Gdy inni czynili znakomite na Palatynie odkrycia, on pierwszy odkrył — Palatyn. Odkrył i w całym majestacie przed oczy nasze stawił Palatyn, jako całość, jako jedyny w świecie, boski zaiste utwór wieków. Ogarnął go i prześwietlił swoją myślą, swoją indywidualnością, swoją artystyczną potęgą widzenia.

Dzięki niemu stał się Palatyn tem, czem jest obecnie: żywą, widzialną syntezą całych dziejów Rzymu. Tu stała siedziba pierwszego króla i tu stanął dwór pierw-

szego cesarza. Tu, od czasów, których wspomnienie roztapia się w legendzie, aż do epoki, w której na wzgórzu tem osiadła afrykańska dynastja Severa, każde stulecie znak jakiś zostawiało. Tu śledzić możemy wszystkie przemiany kultu narodowego Rzymian: *) oto świątynia Jowisza Statora, oto chram Apollina, oto przybytek Matki Bogów, trzy etapy, wskazujące naprzód okres, w którym Rzym poprzestawał na swych bóstwach łacińskich, następnie epokę, w której zawitali doń bogowie greccy, wreszcie erę, w której zatęsknił za ekstazą nowych wiar Wschodu; wiar, które niosły dlań wyrok zagłady, ale i hasło zmartwychwstania.

Owa historyczna przejrzystość Palatynu, pozwalająca współżyć z jego olbrzymią przeszłością; owa wszechobecność epok, sprawiająca, że z każdego odłamka marmuru wołają ku nam chóry stuleci, wcieliła się w genjusz Boni'ego, w jego duszę i myśl, aby przez nie objawić się innym. On, zastawszy Palatyn, jako muzeum, pozostawił go jako kreację piękna i wymowy równej najwyższym objawieniom mocy. Uczynił zeń prawdziwą arkę przymierza między Starym a Nowym Testamentem Cywilizacji. Ten bowiem spowiednik epok umarłych wsłuchiwał się w najczulsze drgnienia duszy współczesnej i odpowiadał na jej najżywotniejsze pytania.

*

Z woli ludu i z mocy dekretu rządowego, który tę wolę uszanował, zwłoki Jakóba Boni'ego spoczęły śród

*) Cfr. G. Boissier: „Promenades Archelogiques". Paris.

wawrzynów i palm, które własną ręką sadził na Palatynie, i które sam wypielęgnował. Po wyczerpaniu bowiem wykopalisk, nie chciał, aby wzgórze świeciło w słońcu bliznami otwartej i nagiej ziemi. Z drzew uczynił dlań niewiędnący płaszcz młodego życia. Tak powstał ów cudny gaj Palatynu, jedyna godna oprawa dla ciszy i zadumy ruin. W letnie zmierzchy, gdy słońce odpływa za Tyber, i lekki powiew budzi się od morza, Boni siadał pod drzewami, poił się ich szumem i czuł się współcześnikiem wieków. Pod jednem z drzew tych odtąd śnić będzie sen już nieprzerwany, a w poszumie liści, obok echa cezarów, krążyć też będzie echo jego imienia.

1925 r.

OSTATNI Z CONQUISTADORÓW.

„Historja — powiada współczesny krytyk włoski, Antoni Bruers — zna wielu bohaterów, którzy w następstwie znaleźli swego poetę; w D'Annunziu spotkała ona jedyny przykład bohatera, który swe własne czyny, z góry na lat dwadzieścia, opiewa sam, jako poeta".

Rzecz prosta, że wtenczas, przed laty dwudziestu, pieśni jego wyszydzano, jako czczą frazeologję, jako pusty refleks nietscheanizmu; jako próbę szczepienia dębów na wiotkiej koronce bluszczów, oplatających ruiny Palatynu.

— Etyka heroizmu? Sny o wielkości? Marzenia o wskrzeszeniu Romy? pytano z urągliwym uśmiechem i odpowiadano:

— Słowa, słowa, słowa, słowa...

Benedykt Croce ongi nazwał D'Annnunzia „dyletantem wrażeń" *), i formuła ta, zdawało się, zamknęła w sobie wszystko, co poeta stworzył lub mógł jeszcze stworzyć w przyszłości: wczoraj artysta roz-

*) Cfr. Benedetto Croce: „La litteratura della nuova Italja". Saggi critici. Bari, Gius. Laterza.

koszy, dziś zwiastun nadczłowieka, jutro katolik, a raczej jak mówiono „catolicheggiante", pojutrze imperjalista...

Retoryka, megalomanja, sztuczność!

Zapewne, w stosunku do klimatu historycznego, w jakim żył wtenczas poeta, w jakim żyły całe ówczesne Włochy, twórczość Gabriela D'Annunzio mogła była zdawać się tęczą, zawieszoną w próżni, sprawiać pozór świetnej, lecz zimnej magji uwodnego słowa.

Ale czyż jego to było winą?

Czyż jego było winą, że przyszedł w czasach wszechwładnego kompromisu, i że niósł bunt nieprzejednania?

Poeta, który pod rządami Giolittiego jątrzył stosunki włosko-austrjackie, dając głos irredentyzmowi; który w narodzinach Wenecji sławił zapowiedź berła Italji nad Adrjatykiem i nad Morzem Śródziemnem; który z rąk Carducciego wziął pochodnię poezji narodowej, aby ją zatknąć, jak sztandar, na wyżynach; ów poeta, który mówił o nowej Romie, o nowem słowie, nie mógł nie wydać się „retorycznym" ludziom swego pokolenia: odmawiając słowom jego wagi, ludzie ci usprawiedliwiali sami siebie. Aby ocalić rzeczywistość swego własnego bytu, skazywali na niebyt słowo poety. W dziełach jego poszukiwali siebie, a nie mogąc odnaleźć tego, co widzieć pragnęli, nie chcieli widzieć nic ponad grę estety, nic ponad fantazje dyletanta, który bawił się obrazami oręża, bawił się w heroizm i nadczłowieczeństwo, tak samo, jak kiedyindziej mógł bawić się w miłość, w sport, w romantyzm, w erudycję lub w archaizm.

Jego poematy, jego hymny do potęgi, śpiewane „Niebu, Morzu, Ziemi i Bohaterom", uważano za niewinną ornamentykę alkowy miłosnej, która zdawała się być jedynym jego przybytkiem triumfu i chwały.

Cóż mówić mogła młodość D'Annunzia swoim dojrzałym współcześnikom? Czemże mógł być kult bohaterstwa w środowisku, które wszelkie zagadnienia życia sprowadzało do spraw ekonomicznych; które w różnych organizacjach międzynarodowych upatrywało rękojmię wieczystego pokoju, a życie jednostki miało za rzecz zbyt poważną, aby je można było rzucić na kartę w imię jakiejkolwiek sprawy: czyż w takich czasach i w takiem środowisku D'Annunzio mógł być czem innem, niż „megalomanem" i „dyletantem wrażeń"?

Człowiek, niosący w sobie coś z genjuszu wielkiej ery Odrodzenia, coś z niepohamowanego pędu conquistadorów XV wieku, oddał się sztuce i zrazu życie samo jął budować w swem pojęciu, jako kreację sztuki, gdyż społeczeństwo ówczesne nie zawierało w sobie żadnej innej wyższej możliwości, żadnej innej drogi odkupienia.

Ale i wtenczas, w okresie, gdy pisał „Il fuoco", gdy stworzył „Odi Navali", zwłaszcza zaś później, gdy śpiewał swą „Canzone di Garibaldi", lub swe „Canzoni della Gesta d'Oltremare", poświęcone wojnie Libijskiej, sztuka, słowo, pieśń nie były w jego twórczości czemś w swej istocie różnem od czynu. Poeta, kształtujący serca ludzkie, kształtuje najgłębszą rzeczywistość świata. Czyn poety był więc dla D'Annunzia już wtenczas koroną działalności ludzkiej. Wieża

z kości słoniowej, w której zamknął się Stello Efrena, była nietylko samotnią, w której artysta szukał ucieczki od świata: była jednocześnie warownią, w której rósł i dojrzewał przyszły „condottiere", wskrzeszający sny Rinascimenta, ale wskrzeszający je wiarą i mieczem Garibaldiego!

Poeta, który największe dzieło swego pióra „Laudi del Cielo, del Mare, della Terra e degli Eroi" — ochrzcił imieniem Niebios, Morza i Ziemi, stał się żołnierzem, aby walczyć po kolei śród wszystkich trzech żywiołów, które uprzednio wyśpiewał, a miasta, góry i fale wód, które mieniły się i grały muzyką w rymach, zagrały fanfarą w zwycięskim pochodzie wojny. Adrjatyk i Piave, niebo Triestu i niebo Hermady, Wiedeń, Pola i Buccari, Kriback i Fiume: kędyż znajdziemy równą plejadę nazw i imion, któreby poezja tak bezpośrednio przekazała historji?

Nie trzeba przypominać, że w olbrzymiej walce, jaką młodzież włoska w słynnych dniach majowych 1915 roku podjęła o udział swego kraju w wojnie, D'Annunzio był tej młodzieży duchem i ogniem zapału. Godzi się wszakże uwydatnić, że jeśli Włochy w wyniku swej ofiary osiągnęły słuszną granicę narodową, to w znakomitej części do zawdzięczenia ją mają poecie, który pierwszy (obok Kajetana Salvemini) wniósł do obozu walczących hasło: „Delenda est Austria-Ungheria"!

Jeżeli, jak rzecze Norwid, w poezji każdego wielkiego twórcy „słowo jest czynu testamentem", to w twórczości i w życiu D'Annunzia słowo zespoliło się z czynem, jak krew zespala się z ciałem. W tem połą-

czeniu w jednej postaci artysty i wodza tkwi coś, co niepozbycie, jak wspomniałem, na pamięć przywodzi postaci conquistadorów Odrodzenia. Nie bez zasady tak poważny i beznamiętny krytyk, jak Antoni Bruers*), upatruje w D'Annunziu symbol i wcielenie tej wiekuistej przeszłości, która dla Włoch — zaznaczmy z naciskiem — nie jest jakimś martwym balastem, jak dawna Hellada dla Grecji obecnej, ale rzeczywistością, która wciąż się odradza i żyje. To odradzanie się polega na tem, że przeszłość zmartwychwstaje wciąż w pełni swej potęgi, jakkolwiek wciąż wiąże się w swej treści z coraz nowemi żywiołami coraz nowych stuleci.

— Kimże je t D'Anunzio — pyta krytyk włoski — jeśli nie poetą, który powinien był powstać w epoce Rinascimenta, a urodził się w czterysta lat później? Trudno oprzeć się suggestjom tak postawionego pytania.

Osobistość D'Annunzia, to wszystko, co go wybija ponad tło dzisiejszej demokracji XX wieku; owo dążenie do wielkości poprzez walkę i heroizm, do zbytku przez ryzyko, do władzy przez fantazję; owe harmonje i kontrasty w których religja rozkoszy łączy się z kultem niebezpieczeństwa, w której kaprys igra ze śmiercią, a życie staje się przygodą; to wszystko, co poetę włoskiego dzieli od współczesnych, co go wyłamuje z reguły teraźniejszej, co każe mu czuć i myśleć inaczej, niż myślą i czują ludzie dzisiejsi, wszystko to wskrzesza przed nami dawną Italję republik, Italję

*) Cfr. Antonio Bruers: „Gabriele d'Annunzio". Roma editore Formiggini.

kondotjerów i artystów, zdobywców i wojowników, mistrzów przepychu, wyrafinowania i podboju.

Jak Colleoni, jak Sforza lub Carmagnola, d'Annunzio — późny ich spadkobierca, płonął i spalał się od wewnętrznych snów o potędze i sławie. I on życie swe gotów był rzucić, jako stawkę, w szalonej grze, o „wszystko i nic". I on pragnął życie swe przeżyć, jak dziką pieśń szału i zachwytu.

Niestety, ostatni z conquistadorów zapłacić musiał ciężką dań swemu wiekowi. Musiał przystać na szranki, jakie żywotowi jego zakreślił wiek żelazobetonu i węgla kamiennego, wiek koncernów przemysłowych i demokratycznej urny wyborczej. Musiał przystać na redukcję, jaką w urzeczywistnienie jego snów wniosła nieubłagana teraźniejszość, zamiast władzy ofiarując mu tytuł książęcy, i zamiast królestwa — pałacyk królewski we Frascati, pod Rzymem. On, który śnił o podboju, poprzestać musi na — emeryturze.

Z czasem, gdy obejmie w posiadanie ofiarowaną sobie willę Falconieri, i gdy rozgości się w rezydencji, która przed wojną była własnością cesarza Wilhelma II i służyła letnim wywczasom jego rodziny, nie bez melancholji zapewne, myśląc o dziwnym łuku swej fortuny, wspomni na posępne szyderstwo historji.

I jego bowiem, jak słynnych zdobywców XIV i XV wieku historja powołała do bojów i do zwycięstw. Ale, gdy dawni conquistadorzy brali po zwyciężonych trony i monarchje, jemu — ich ostatniemu spadkobiercy — przypadła w udziale po zdetronizowanym cesarzu willa podmiejska: skonfiskowany okruch dworskich apanaży!

WYPRAWA PO WSZECHMOC.

Twórczość pisarska Jana Papiniego jest w literaturze włoskiej kartą rdzennie florencką. Głęboko związany z całokształtem życia i kultury swego narodu, w szczególnie ścisłym związku pozostaje Papini z tą częścią Włoch, której jest synem: z Toskanją.

Toskanja! Dziwny, tajemniczy i jakże znamienny, jakże doniosły w rozwoju ducha ludzkiego kraj! Oprócz Palestyny, być może, i oprócz Attyki starożytnej, niema skrawka ziemi, której dzieje tysiącletnie byłyby tak nieustannym i tak potężnym krzykiem nostalgji człowieczej za boskością, jak dzieje ziemi Toskańskiej.

Jeśli Palestyna była nazwana ziemią świętą, ponieważ stała się kolebką Boga-Człowieka, to miano to powinno również przysługiwać Toskanji, owej kolebce najwspanialszego zastępu genjuszów, twórców, którzy z duszy ludzkiej dobywali, to, co sięga ponad ludzkość.

*

Kto staje na progu twórczości Papiniego, ten zarazem staje u progu cudnej, kwitnącej Florencji; na progu cudnej odwiecznej ziemi Toskańskiej. Bo jakże bez zrozumienia duszy Toskanji, bez wsłuchania się w bicie serca tej ziemi zrozumieć duszę i serce poety, który jest krwią z jej krwi?

Tu, na ziemi Toskańskiej, zrodził się przed wiekami najszczytniejszy głód, jaki kiedykolwiek zatargał trzewiami ludzkości: głód wszechmocy. Głód boskości w tem, co posiada ona najświetniejszego; we wszechpotędze twórczej.

Tu, w tej cudnej kotlinie Florenckiej, gdzie każde wzgórze zdaje się piedestałem dla wielkości Człowieka, a każde dzieło ludzkie naturalnem uwieńczeniem i dopełnieniem harmonji, rozlanej w przyrodzie, tu, już przed tysiącami lat zrodziło się przekonanie o Człowieku, jako o naturalnym sprzymierzeńcy i spółtwórcy Boga.

Tu, nad niebieskiemi falami Arna, powstał Alighieri Dante. Tu stała kolebka Michała Anioła, Leonarda da Vinci, Machiavellego, Savonaroli, Galileusza. Tutaj też przyszedł na świat późny pogrobowiec starożytności Giosue Carducci. I stąd pono — o tym nie zapominają kroniki florenckie — pochodziła rodzina Bonapartów, która na czas pewien zająć miała połowę tronów królewskich Europy. Przodkowie Napoleona I w XVI czy XVII wieku z Toskanji, gdzie zamieszkiwali, wskutek zamieszek miejscowych, przenieśli się na sąsiednią Korsykę, nie utraciwszy jednak tradycji swego pochodzenia.

Istnieje więc w tym skrawku ziemi ukryta jakaś dziwna urodzajność ducha; jakaś wulkaniczna siła duchowa, sprawiająca, że od czasu do czasu wybuchają z niej, jak słupy ognia, tytaniczne jednostki, których imiona równoznaczne są z największemi przełomami świata.

To wszystko, czem Włochy są nieśmiertelne, zawdzięczają one maleńkiej Toskanji; tak niemal, jak Grecja zawdzięcza swoją nieśmiertelność — Atenom z przedmieściami.

A przecie dzieje Toskanji starsze są, niż Włochy, i starsze, niźli starożytny Rzym. Sięgają one w zamierzchłą, pradawną dal, która przesłania państwo Etrurji i jej dziwne, sfinksowe oblicze, jeszcze bardziej zagadkowe, niż Sfinks prastarego Egiptu. Nieopodal Florencji istnieje pagórek, na którym przechowały się już nie gruzy, ale poprostu okruchy dziejowe etruskiej przeszłości. Ten pagórek to Fiesole, na które z Florencji dojeżdża się dzisiaj tramwajem elektrycznym w trzy kwadranse. Te trzy kwadranse jednak przedstawiają odległość 3 a może 4 tysięcy lat, jakie zużyła historja na to, aby ze szczytu owego pagórka zejść w samą dolinę rzeki i tu założyć nowy ośrodek cywilizacji, w murach Florencji.

O życiu i charakterze Etrurji wiadomo nam obecnie bardzo mało, i nigdy zapewne nie będzie wiadomo wiele. Wiadomo to tylko, co przejął w siebie, ocalił i przekazał swoim następcom Rzym, a było to właśnie to, co stało się pierwiastkiem najbardziej zasadniczym w budowie Rzymu i czynnikiem najwybitniejszym w jego rozpędzie tysiącletnim.

Kto spędził godzinę myśli pod łukiem Tytusa, na Foro Romano, lub o zachodzie słońca z ruin Fiesole właśnie patrzał w marmury i bronzy Florencji, ten zrozumie to, co chcę tutaj powiedzieć.

Rzym zaczerpnął z Etrurji, to jest z ducha ziemi Toskańskiej, zadatki i formy organizowania potęgi ludzkiej na ziemi w niespotykanych uprzednio rozmiarach; co więcej, zaczerpnął z niej ten cały aparat władzy, tę całą symbolikę wielkości i mocy, postawę powagi i namaszczenia, tę wreszcie togę senatorską, w którą my jeszcze ubieramy swoich bohaterów, ilekroć chcemy ich uczcić — na pomniku. W geście wzniesionej ku górze dłoni Juljusza Cezara i w jego stroju uroczystym przetrwał gest i strój etruskich lukomonów, tak jak imię Cezara przetrwało w nazwie władców rozmaitych narodów.

Ta wszechpożerająca ambicja przekuwania wszystkich środków ziemskich na władzę i potęgę człowieka, to — jest właśnie ów instynkt ziemi Toskańskiej. Ów instynkt, który ujścia dla siebie szukał ongi w straszliwej nad światem władzy imperatorów rzymskich, w światowładczych snach Cezara i w szaleńczych snach jego następców. Wszelako te postacie władzy były to postacie naiwne, prostoduszne, nazbyt jeszcze nietylko ziemskie, ale — przyziemne. Wszechmoc Tyberjuszów i Wespazjanów nazbyt blisko graniczyła z niemocą. Ci, który trzęśli światem, sami drżeli przed sztyletem służalca. Napróżno kazali stawiać sobie ołtarze w świątyni bogów: bogiem nie można stać się z nominacji.

I oto, ów nieśmiertelny genjusz Toskanji, jak gdyby

spostrzegłszy się na błędnej drodze, w innym poczyna zmierzać kierunku; na innej drodze szuka urzeczywistnienia swoich celów, to jest urzeczywistnienia wielkości, mocy i bezwzględnej władzy człowieka: nie poprzez budowę państwa i rządu, nie poprzez armje i nie przez rózgi liktorów, ale poprzez narzędzia i środki, bliższe sobie, bezpośredniejsze, pokrewniejsze swojej wewnętrznej istocie: poprzez sztukę, poezję i naukę. Odrzuca miecz zdobywców, kładzie wybrańcom swoim w rękę pióro poety, pędzel artysty, skalpel uczonego; tam, gdzie mówiły czyny orężne i księgi prawodawcze, poczyna przemawiać słowo Dantego, rzeźba Michała Anioła, architektura i malarstwo Leonarda.

Wyda się niejednemu, być może, przesadą z mojej strony to, że, mówiąc o człowieku współczesnym, sięgam w przeszłość tak głęboką. Ale cóż, jeśli ów człowiek współczesny jest ogniwem, może kruchem i ułomnem, ale bądź co bądź ogniwem niezmiernie długiego łańcucha, zahaczającego o kolebkę kolebek, o ruinę ruin.

Cóż począć, skoro istnieją kraje takie, jak Toskanja, gdzie człowiek, przychodząc na świat, przynosi w posagu 50 wieków cywilizacji!

Zamknięty w ramach chrześcijaństwa, które nam przyniosło pierwszy brzask cywilizacji, Polak z trudnością wczuć się może w psychikę i w tradycję ziemi, na której oczach powstawały i umierały religje; w której orbicie dziejowej jedni bogowie konali, drudzy wstępowali na niebo, aby z kolei ustąpić miejsca nowym przybyszom.

Jeśli słowo „historja" ma kędykolwiek jakąś w sobie treść żywą i uchwytną, to nabiera jej w takim właśnie kraju, na takiej właśnie ziemi, jak Toskanja.

Ale też trzeba natychmiast dodać, że—i naodwrót— bardzo trudno byłoby coś w kraju tym zrozumieć bez zrozumienia jego przeszłości, i o nawet wtenczas, gdy jego dzień dzisiejszy zdaje się być przeciwko tej przeszłości protestem i buntem.

Otóż, na tej ziemi Toskańskiej, w murach Florencji, przyszedł na świat Papini.

Z drzew i ruin tej ziemi, z bibljotek i muzeów tego miasta, z obłoków i gwiazd jej nieba — powstała jego dusza.

Godzinami umie on opowiadać o tym, jak aromat rodzimej okolicy wsiąkał w jego dziecięce lata.

To wszystko, co jest w nim porywem poezji, melancholją, co jest w nim jakąś ustawiczną, dziką chęcią ucieczki w samotność, to — jak sam powiada — zawdzięcza krajobrazowi Toskanji, najbliższym okolicom Florencji.

Dziś jeszcze z rozkoszą wspomina przechadzki, jakie, dzieckiem będąc, odbywał, co niedziela z ojcem, poza miasto.

Gdy opowiada o nich, widzi się niemal te wązkie uliczki florenckie, biegnące za miasto, uliczki, jakby uwięzione w murach, z poza których zwieszają się szare gałązki oliwek lub zielone pędy krzewów różanych. Gdy miejscami mury się otwierają, powstaje widok na sady i ogrody, zimą białe od szronu, wiosną

białe od kwiatów, które dały imię Florencji, pod schyłek lata czarne od gałęzi morwowych.

Wydostawszy się na otwartą przestrzeń, i pochwyciwszy wolny na wzgórzach wiatr, czuł dopiero wtenczas, że żyje naprawdę. Ale gdziekolwiek się zwrócił, dokądkolwiek zaszedł, prawie zewsząd widać było panujący nad miastem i ulicą wspaniały posąg Dawida, będący kopją bronzową przez Michała Anioła w marmurze wykutego dzieła, widać było inne tegoż mistrza posągi: bronzowe kopje marmurów, strzegących grobowca Medyceuszów.

Jakże niewysłowionym, ale — być może — i bolesnym urokiem splatało się w duszy dziecka wrażenie wiatru, igrającego przelotnie we włosach, z potęgą tej Nocy Michała Anioła, której spokój jest tak straszny, jakby w niej sama śmierć zasnęła przed miljonem lat.

Wracającemu z Piazzale Michelangelo przechodniowi wersetami z „Komedji Boskiej" wypisanemi na murach, przypomina się Dante; nieco niżej, w prawo idąca aleja nosi imię Galileusza. Na każdym kroku dźwięczy przeszłość w teraźniejszości.

Ze swoich wycieczek niedzielnych podmiejskich i zamiejskich wracał Papini z twarzą płonącą, myślami rozpalonemi w głowie, cały rozedrgany i silny, jakby wracał z pola zwycięstwa. Ale, gdy zbliżał się do swojego domu, do ubogiej ciasnej izdebki, gdzie mała lampka oliwna, w mosiężnej oprawie rozpraszała zaledwo mrok światłem podobnem do światła gromnicy, wtenczas powrót ten zdawał mu się powrotem w niedolę,

w nędzę codzienności, w śmierć. Brał wtenczas książkę i zaczynał czytać przy chwiejącym płomyku tej żałobnej lampy, ale niebawem smutek zalewał mu oczy i duszę, więc aby nie wybuchnąć płaczem rzucał się na łóżko i w trwożnym, niespokojnym śnie grzebał niewyrażone pragnienia i tęsknoty za życiem, całkiem innem od tego, którem żył on, — a może i od tego, którem żył ktokolwiek bądź śród ludzi tego świata.

Już wtenczas bowiem, w najwcześniejszej młodości, musiała w nim zakiełkować ta myśl, która jego życie intelektualne przerobiła w najdziwniejszą powieść.

Myśl, jaka wogóle powstać mogła tylko w duszy Toskańczyka, na tle dziedzictwa Dantów, Leonardów i Buonarottich.

Wyobrażam sobie, że pierwszy zarys tej myśli w głowie Papiniego musiał wznieść się z nad kart „Komedji Boskiej", wtenczas gdy, czytając poemat ten, zapewne, przy tej samej jeszcze lampce, która oświecała wieczory jego dzieciństwa, zastanowił się po raz pierwszy: kim był właściwie Alighieri Dante.

Jest to niezmiernie ważne pytanie, gdy chodzi o zrozumienie twórczości Papiniego: kim dla niego był Dante?

Niechaj nas nie zrażają te skromne początki i te nędzne akcesorja: uboga lampa staroświecka a przy niej uczniak z tomikiem Danta w ręku. Odkąd pierwszy chrześcijanin urodził się w stajence a umarł jako Bóg, odtąd właściwie, powinny ustać wszelkie przesądy co do dystynkcji form, w jakich wielkość oznajmia się światu.

Owóż wracając do autora „Komedji Boskiej" — ile jest systemów filozofji, ile jest systemów krytyki, polityki, teologji i historjografji, tyle jest poglądów na Dantego.

Anglik Carlyle widział w nim proroka jego narodu. Mazzini — apostoła zjednoczenia ziem włoskich, Rossetti — wyznawcę siedmiu tajemnic mistycznych. Jeszcze inni widzą w nim zwiastuna Reformacji. Najznakomitszy zaś krytyk włoski De Sanctis czci go poprostu jako największego, wręcz doskonałego artystę.

Ale Papini odkrył w Dantem coś jeszcze innego. Wielcy artyści i poeci bywali przed Dantem, byli i po Dantem. Przed nim i po nim bywali wielcy reformatorzy, prorocy i mistycy.

Istotna natomiast wielkość Danta, i to właśnie odkrył Papini, polega na tem, że uczynił on coś takiego, czego nikt inny nie uczynił ani przed nim, ani po nim.

Dante sięgnął po udział w rządach bożych, i to w tej postaci, która jest ich naczelną manifestacją: w wymiarze sprawiedliwości nad światem żywych i umarłych.

Oczywiście, Dante był jednym z największych poetów; był jednym z najgłębszych mistyków. Ale nie to zapewnia mu znamię jedyności i wyosabnia go z pośród wszystkich ludzi świata. Sztuka, teologja, polityka — są to dla niego tylko środki, podwładne jednemu, najwyższemu celowi: dziełu sprawiedliwości bożej na ziemi.

Dante był szczerze wierzącym katolikiem i dlatego

właśnie, że był katolikiem, bolał go niezmiernie ówczesny upadek Stolicy Apostolskiej.

W duszy Dantego zrodziło się instynktowne pragnienie zastąpienia niewiernych namiestników Jezusa, i osądzenia ich samych tak, jakby ich Bóg osądził.

Wybrał zaś dla wymiaru sprawiedliwości to narzędzie, którym najsprawiedliwiej władał: pióro poety. Napisał poemat, który nie jest, jak pospolicie się mniema, dziełem antyklerykalnem, ale prawdziwem i czystem aktem arcykapłaństwa.

Dante czuł, że genjusz jego był rodzajem wcielonej w postać ludzką karzącej ręki bożej.

Stając na tem miejscu, na któremby stanął Bóg w dniu Sądu Ostatecznego, powołuje on przed trybunał swój wszystkie ludy i wszystkie pokolenia od patrjarchów aż do współczesnych sobie przywódców stronnictw politycznych, dzieląc ich wszystkich między trzy królestwa, jak podzieliłby ich sam Sędzia Przedwieczny.

W poczuciu posłannictwa, w które się obleka, już nie jako zastępca boży, ale jako wszechmoc boża, strąca w ogień piekielny występnych papieży i królów wiarołomnych, a raj otwiera przed tymi, którzy kochali, lub cierpieli niewinnie,.

Oto ów dantejski obraz, jaki stanąć musiał w oczach Papiniego, gdy czytał poemat Danta: porywający obraz tego samotnika, tego przeora, wygnanego z ojczyzny, włóczęgi i żebraka, tego ubogiego poety florenckiego, który z wyżyny tronu, trwalszego nad trony z kości słoniowej, wydaje nieubłagane wyroki, po

dzień dzisiejszy nieobalone, a potęgą artyzmu swojego tak wielkie, że zdają się prawie zniewalać Boga do ich ratyfikacji.

Oto, kim był Dante dla Papiniego; dla człowieka, który potrafił — że tak powiem — na Dantego spojrzeć po dantejsku.

*

Twórca „Komedji Boskiej" — w intencji, w założeniu swego dzieła — był szczerze wierzącym katolikiem. W intencji i w założeniu był katolikiem i chrześcijaninem. Zgadza się z tem Papini, — i gotów jest nawet w tej intencji, w pomyśle dzieła, w jego koncepcji uznać najwyższą, najczystszą intencję chrześcijaństwa. Ale w wykonaniu?!

Czem stała się „Komedja Boska" w wykonaniu? Czem stała się już nie w intencji, ale w rękach swojego Mistrza? W użyciu i rozwinięciu środków, którymi się posługuje? W przepychu obrazów, które w niej kipią? W swoim działaniu bezpośrednim na oko i ucho czytelnika? W swej potędzę bezpośredniej?

Jest że dziełem chrześcijanina?

Tak. Dante rozwinął potęgę o jakiej nie śmiał marzyć żaden cezar starożytny. Ale czy źródła tej potęgi należą do źródeł chrześcijaństwa?

Czyż nie leżą one bliżej Parnasu greckiego, niż krzyżowej góry chrześcijaństwa?

Dante za narzędzie działania wybrał sztukę, artyzm, wrażenie artystyczne; to jest środki, które ewangelja

chrześcijaństwa może tolerować, ale do których nie odwołuje się, jako do zasadniczych form działania, już choćby dlatego, że dziedzina sztuki jest dziedziną wybrańców, gdy tymczasem religja chrześcijańska jest, w zasadzie, religją — dla wszystkich. Nie jest religją dla artystów. Jest religją dla wszystkich ludzi. Ten, który ją stworzył, nie poprzez dźwięki i akordy dźwięków, nie poprzez barwy i akordy barw, wytknął człowiekowi drogę do — Boga, ale poprzez prostotę duszy, poprzez potęgę serca. Cuda, jakie czynił Jezus, nie były cudami rzeźby, malarstwa, poezji lub architektury. Jeśli cudownie coś rozmnażał, to rozmnażał nie tercyny, z których składa się poemat Dantego, ale bochenki chleba, którymi — chciał nakarmić rzesze głodnych.

Między cudami Dantego a cudami Jezusa leży przepaść, przepaść nie w napięciu potęgi, — bo któż dowiedzie, że stworzenie bochenka chleba jest aktem wyższej potęgi, niż stworzenie jednej tercyny dantejskiej? — ale w jej tworzywie, w jej naturze, w źródle, z którego płynie.

Któż nie dojrzy — i to był następny wniosek Papiniego — że Dante stoi swojem koronnem dziełem po jednej stronie przepaści, gdy Chrystus ze swoim krzyżem po drugiej?

Ten bezgraniczny poeta, któremu się zdawało, że wierzy tylko w Boga, i w Syna Bożego, i w jego wszystkich świętych, w rdzeniu swojej twórczej natury wierzył przedewszystkiem w potęgę słowa plastycznego i tą ostatnią swoją wiarą wykraczał już poza chrze-

ścijaństwo: stawał się najczystszym poganinem, jak dawne antyczne pogaństwo rozkochanym w kształtach, kolorach i dźwiękach, z których czerpał obrazy swojego zachwytu i swojej grozy.

I nie jest to przypadkiem, że Dantego po świecie zagrobowym oprowadza pogański poeta, nie zaś apostoł chrystusowy: jakże prosty, ubogi rybak z nad jezior galilejskich czućby się musiał skrępowany w marmurowych draperjach tercyny dantejskiej!

*

Działalność artystyczna, tak samo, jak działalność naukowa, jest działaniem poprzez środki zewnętrzne.

Twórczość Danta, tak samo jak twórczość Leonarda lub Michała Anioła, jest twórczością która zawsze i stale działa poprzez jakieś pośrednictwo.

Znaczy to — bliższa jest ona Homerowi i Wirgilemu, niż nauce Jezusa, który moc swoją czerpał wprost z czystych zasobów duszy, aby działać na inne dusze, i na wszystko, cokolwiek istnieje.

Czy istota chrześcijaństwa nie polega na tem właśnie wyłączeniu pośrednictwa? Czyż nie jest ono w swej zasadzie obcowaniem ducha z duchem, i ducha ze Wszechświatem?

I, oto, w tem naszem XX stuleciu, w którem zdają się być zasypane wszelkie drogi i wszelkie ścieżyny do źródeł pierwotnego chrześcijaństwa wiodące, powstaje człowiek, który odrzuca już nietylko purpurę cezarów i purpurę kardynałów, ale pieśń i słowa Dantego, młot i dłuto Michała Anioła, i — idzie za Jezusem z Nazaretu.

Idzie za nim, w przekonaniu, że jest to najbliższa, najkrótsza i najskuteczniejsza droga do osiągnięcia potęgi i wszechwładzy.

— Pójdźcie za mną! — rzekł Jezus.

Lecz dokądże to szedł Jezus? — Jezus szedł ku źródłom potęgi utajonym w duszy ludzkiej, a więc istniejącym w głębi każdego człowieka. Każdemu człowiekowi dawał tę dźwignię wszechmocy i ten punkt oparcia, którego brakło wszystkim Archimedesom świata: dźwignię w woli, i punkt oparcia — w duszy.

Dotychczas, aby działać na rzeczy zewnętrzne, posługujemy się innemi rzeczami zewnętrznemi, potrzebujemy przyrządów: myśl nasza rozkazywać musi naszym mięśniom, te wprawiają w ruch inne cząstki rzeczywistości materjalnej, aby wreszcie wprowadzić lub spowodować zmianę w tej rzeczy, o którą nam chodzi.

Prawdziwy natomiast chrześcijanin dążyć będzie do tego, aby duch osiągnąć mógł wszystko mocą swoją własną, sam przez się, bez udziału rzeczy zewnętrznych.

Chrystus rzekł: „Królestwo moje nie jest z tego świata". To znaczy — nie ze świata nauki, sztuki, nie ze świata urządzeń państwowych.

Cały obszar tego królestwa chrześcijańskiego mieści się w najuboższej duszy ludzkiej; bo najuboższa dusza człowieka bogatsza jest, niż wszystkie bogactwa świata.

I zarazem dusza ludzka jest siłą, siłą na równi z innymi siłami przyrody, tylko wielekroć potężniejszą.

Cóż zresztą człowiek wie dotychczas o swojej duszy? Chyba to, że, jak mówi Wyspiański, duch się w każdym poniewiera.

Któż z ludzi żyje pełnią swojej duszy? Któż wyczerpał i rozwinął wszystkie jej możliwości? Kto rozpętał śpiące w niej nawałnice?

Żyjemy przecież tylko strzępkami swoich dusz. Papini powołuje się na świadectwo Henryka Bergsona, który mówi: Myśli nasze i wyobrażenia nasze pływają na powierzchni naszej świadomości tak, jak liście martwe na toni jeziora. W głąb jeziora dotychczas nikt nie starał się przeniknąć. Nikt nie czynił zorganizowanych prób w tym kierunku.

Przeciwnie, od dziecka, od dzieciństwa wszystkie niemal wysiłki zmierzają ku temu, aby w człowieku duszę uśpić, ukamienować, ubezwładnić.

Całe nasze wychowanie, wykształcenie, obyczaj społeczny i towarzyski nastawione są na to, aby dusze ludzkie szeregować tak, jak się szereguje owce, strzyc tak, jak się strzyże gazony, ba! nawet sprzedawać tak, jak się sprzedaje towar.

A przecież dusza ludzka jest siłą. Dlaczego nie ma stać się siłą najpotężniejszą? Dlaczego niema działać cudów?

Chodzi o to, aby tę siłę spożytkować. — Powiada Papini: Chodzi o spożytkowanie duszy.

W ten sam sposób, w jaki już dziś możemy działać bezpośrednio na pewne cząstki rzeczywistości — mianowicie na te, które są narządami naszego ciała — w taki sam sposób powinniśmy działać na całą rzeczywistość, na cały obszar wszechświata.

Zadanie ogromniejsze, niż wszelkie dotychczasowe

sny Florencji, niż Dies irae Dantego, niż Mojżesz Michała Anioła.

Jeśli odniesiemy zwycięstwo cały świat stanie się, jako nasze własne ciało; stanie się plastyczną i podatną substancją naszej woli.

Człowiek stanie się Bogiem.

Wszyscy ludzie staną się jako Bogowie!

„Począłem rozczytywać się w ewangeljach — mówi o tym okresie Papini w spowiedzi swojego życia — począłem czytać ewangelję, aby w nich odnaleźć Chrystusa. Zacząłem na nowo odwiedzać kościoły, już nie po to, aby w nich podziwiać freski i posągi, ale, aby szukać w nich Boga.

„I zaczął mnie pociągać kult — nietylko pięknością obrzędów i muzyką mszy śpiewanych. Coś nieokreślonego — jakaś potrzeba wiary, powrotu do dzieciństwa, potrzeba odczucia wspólności z chrześcijaństwem, z którego wyszedłem, nurtowała we mnie głęboko, nic wyrażając się w jasnej decyzji.

Czytałem Św. Augstyna; rozmyślałem nad Pascalem; wdychałem zapach „Kwiateczków" św. Franciszka. Dotarłem, aż do „Ćwiczeń duchownych" Ignacego Loyoli..."

*

Byłaz to ciekawość psychologiczna, czy pragnienie wskazówek?

*

W przeważnej części było to ostatnie. Ale jednocześnie było i coś więcej. Była w nim wola wiary, było

pragnienie wzięcia udziału w tym wspaniałym eksperymencie religijnym, który od Chrystusa poczynając, poprzez ciąg kilkunastu stuleci dał światu tyle arcydzieł ducha i potęgi.

Poprzez apologetykę chrześcijańską dotarł Papini do mistyki chrześcijańskiej. Począł uprawiać jej praktyki od Platona aż do Nowalisa.

Z tych wtajemniczeń wyniósł przeświadczenie, że człowiek, ażeby wszechświat poddał się jego woli, stopić się musi ze wszechświatem w jedną całość. Dopóki czujemy się odrębni, nie mamy prawa rozkazywać rzeczom, które uświadamiamy sobie, jako istniejące poza nami.

Mistycyzm, w rzeczy samej, jest to zniesienie barjery, dzielącej człowieka od wszechświata, zaprzeczenie przedziału między człowiekiem a Bogiem.

Tu tkwi tajemnica cudotwórstwa ludzi świętych. Poczuwszy się cząstką niepodzielną wszechrzeczy, wyzbywszy się własnej woli osobistej, człowiek święty, mistyk, nie myśląc o tem, staje się ogniskiem woli wszechświatowej: najtwardsze prawa fizyczne łamią się wówczas przed miłosnym pragnieniem ekstazy.

Wszelako nawet władza świętych jest ograniczona i przypadkowa. Aby tę władzę rozszerzyć i pogłębić, należy jąć się pracy metodycznie.

Któż to byli działacze i sprawcy owych pierwszych czynów cudownych? Byli to magowie, medja — imiona różne owych ludzi przepotężnych, owych mocarzy ducha, którzy, w imię rozmaitych wiar, tworzyli rzeczy nadzwyczajne, lecz bardzo do siebie podobne.

Punktem wyjścia stało się więc dla naszego młodego florentczyka to, co jest punktem wyjścia w życiu każdego prawdziwego chrześcijanina: głębokie, drobiazgowe badanie żywotów świętych, badanie trybu ich życia, ich dążności, nawet ich anomalji.

Zbudować fizjologję i psychologję człowieka wszechmogącego, człowieka-boga!

Dokonawszy tej pracy, będzie rzeczą łatwiejszą wydobycie z niej pewnego rodzaju metodyki dla podniesienia i wzmożenia woli do tego poziomu, na którym każdy człowiek będzie mógł osiągnąć udział swój w boskości.

Papini był wierny swojej idei. Przemierzył on całe obszary psychologij ogólnych i szczegółowych, całe obszary legend, podań i autobiografij świętych i jasnowidzów, wieszczów i proroków. Zagłębił się w propedeutykę magji i w dzieje taumaturgów, pożerając wszystko z pradawną żywiołową potęgą niezgruntowanej toskańskiej ambicji.

Zgromadził niezliczone notaty, podejmował niezliczone próby; upadał, zrywał się, błądził i zrywał się na nowo. Czas pędził go naprzód, młodość uciekała; zadanie życia, najuroczystsze zadanie całego życia, stało wciąż przed nim.

Poprzysiągł sobie, że za wszelką cenę odkryć musi tajemnicę, zawładnąć nią — lub zginąć.

Żył, jak mówi, w nieustannej gorączce; przeobrażony, ogarnięty ogniem snów, wpół przytomny. Niejednokrotnie mózg jego odmawiał dalszej pracy. Nie-

jednokrotnie śmierć pochylała się nad nim i wabiła ku sobie.

„Wtenczas — powiada on o sobie — postanowiłem opuścić miasto i ludzi, nie mówiąc nikomu ani słowa.

„Udałem się w góry; zdawało mi się, że tam zdala od zgiełku i nędzy miasta, uda mi się łatwiej pokonać tajemnicę".

Poszedł na ostatnią próbę, niosąc szalony swój sen w sercu.

Sen ostatniego chrześcijanina, który miał tę odwagę, że w epoce pary i elektryczności, zaufał słowu proroka galilejskiego i poszedł królestwa swego szukać tam, gdzie go szukał syn ubogiego cieśli z Nazaretu: w nieskończonościach duszy.

Idąc ze swoją ostatnią próbą, ślubował sobie, że wróci z gór zwycięski i groźny, jak nowy bóg, albo nie wróci nigdy.

Ale to, co zakończyło się katastrofą krzyża dla pierwszego chrześcijanina, bardziej ludzkie rozwiązanie miało dla ostatniego.

Papini wrócił do — Florencji. Nie stał się Bogiem i — wrócił.

Sądzę, że rodacy jego nie mają doń o to urazy. Wprawdzie o jednego boga we wszechświecie jest mniej. Ale za to o jedną na ziemi myśl o Bogu jest więcej. Może to i nie tak mało, zwłaszcza, gdy chodzi o Boga, który ma się urodzić w duszy szukającego i cierpiącego człowieka, jakim jest każdy z nas.

PŁONĄCY STOS PAPINIEGO.

Jan Papini napisał przedmowę do nowego wydania włoskiego Ewangelji, jakie z aprobatą najwyższych władz kościelnych ukazało się w druku nakładem jednej z włoskich firm katolickich.

Przedmowa ta zawiera tylko kilkanaście stronniczek; ale ponieważ stronnice te wyszły z pod pióra człowieka, który napisał „Dzieje Chrystusa" i który dowiódł, że w słowie pisanem potrafi zawrzeć niepokój, trwogę, rozpacz i furję swoich przeżyć wewnętrznych, nie należy się dziwić, że stanęły one odrazu w ognisku uwagi powszechnej i zaciekawienia.

Papini jest, istotnie, jak rzekł o nim Moscardelli, najżywszym człowiekiem Włoch obecnych. Najżywszym nietylko dzięki swym zaletom, ale także z uwagi na swe braki. Dla pokolenia, które liczy niewiele więcej ponad lat 20 w chwili, gdy on liczy niewiele ponad czterdzieści, Papini jest zwierciadłem, w którem ta młodzież przegląda się i widzi własne swoje rysy, powiększone lecz wierne.

Żyjąc i wzrastając wśród odgromów wielkiej wojny, w czasach, gdy królestwa ziemskie zdobywano w ogniu huraganowych szturmów, pokolenie to nie zdumiało się, gdy wystąpił ktoś, kto postanowił wziąć szturmem także Królestwo Niebieskie.

W zuchwalstwie wiary tego śmiałka rozpoznali własną wiarę i własne zuchwalstwo; w jego cnotach i wadach — cnoty i wady własne; w jego zwycięstwach i upadkach — zapowiedź walk i zwycięstw własnych. Dlatego to twórczość Papiniego stała się, poniekąd, autobiografją umysłowości włoskiej ostatnich lat dwudziestu: każda z jego kart ma w sobie coś z pamiętnika i coś z dokumentu,. Sprzeczności i kontrasty jego ducha są kontrastami epoki, odbitej w duszy Włoch.

Cóż tedy zawiera w sobie ten nowy dokument, jaki nawrócony autor „Pamiętników Boga" składa u stóp Ewangelji?

Zawiera w sobie tezę, która domyślnie tkwiła już w osnowie „Dziejów Chrystusa": tezę o nadprzyrodzonem pochodzeniu treści Ewangelji.

— Kto czyta Ewangelję — rozpoczyna Papini — ten czyta dzieło, które nie jest dziełem człowieczem i nie należy do „literatury" człowieczej.

Czterej mężowie, którzy napisali Ewangelję, dali z siebie, wedle Papiniego, tylko formę, tylko układ, tylko pamięć, nie zaś treść, nie istotę, która pochodzi ze źródeł ponadludzkich i ponadziemskich.

Wobec tak postawionego twierdzenia, traci wszelką wartość praca filologów, usiłujących ustalić dokładne daty powstania tekstów ewangelicznych, środowisko,

w którem one powstały, autentyczność poszczególnych rozdziałów i fragmentów: przeciwko takiemu transponowaniu „kwestji homeryckiej" na karty księgi świętej Papini, w myśl zasadniczego swego założenia, zakłada uroczysty protest.

— Żadne inne skupienie słów — powiada — nie da się przyrównać do tych czterech snopów niebiańskiego zboża, które od siedmiuset miljonów dni syci i karmi miljony dusz.

I aby uwydatnić zaświatowy charakter Ewangelji, Papini przeciwstawia je literaturze wszystkich wieków i narodów, wskazując, że między najwyższemi ducha ludzkiego szczytami — jak: Homer, Ajschylos, Dante, Platon lub Goethe — a Księgą Świętą leży niezgłębiona przepaść.

— Płacząca Andromacha Homera — pisze — w obliczu Matki Bolejącej pod krzyżem jest zwykłą statystką z melodramatu; Odysseusz, wracający do żony, jest manekinem z bajki obok syna marnotrawnego, który chce wrócić do ojca, obok pasterza, który szuka owcy zagubionej. Ajschylos ze swym Prometeuszem i wdzięczącemi się doń oceanidami, nie zdobył się nigdy na tragedję tak straszliwą, jak ta, która się zamyka na Kalwarji. Sam nawet Dante jest przedziwnym tylko ilustratorem objawień i podań chrześcijańskich, i w najgroźniejszych swych tercynach nie osiągnął potęgi proroczej mowy Jezusa, wygłoszonej na górze, wobec skazanej na zagładę Świątyni. Sam Platon nie zrozumiałby wszystkich mistycznych głębin, jakie zawiera w sobie Czwarta Ewangelja, a „czarnoksięstwo"

geteańskiego „Fausta" roztopiłoby się w krople mgły mętnej, jak opętańcza mara, pod nagłym promieniem jednego tylko „Błogosławieństwa".

A reszta, a całość literatury? — pyta zaniepokojony taką bezwzględnością czytelnik, zwykły w każdem dziele rzetelnego natchnienia odnajdywać i witać odblask myśli zaświatowej. Nieubłagana odpowiedź, jaką daje Papini, przypomina sąd fanatycznego kalifa, podpalającego bilbjotekę w Aleksandrji:

— Reszta literatury jest albo obroną i wykładem Ewangelji i Chrystusa, albo walką przeciw Chrystusowi i Ewangelji!

Wynikałoby stąd, że w pierwszym wypadku jest mniej lub więcej zbyteczna; w drugim — szkodliwa i zgubna: w obu nie posiada znamion samoistnej wartości.

Jakoż przed surowym wzrokiem inkwizytora florenckiego pisarze tacy, jak Machiavelli, Shakespeare, Leopardi, jeśli ocalają się i zyskują prawo do nieśmiertelności, to jedynie, jako żywe, acz „pośrednie i mimowolne dowody tego, czem byłby świat bez Boga, człowiek bez Chrystusa".

Przeciw tak dobitnie wyrażonemu „wyznaniu wiary" łatwo podnieść szereg niemniej dobitnych zarzutów. Pierwszy, jakiby się nasuwał, jest bodaj ten: skoro Ewangelja jest dziełem ręki Bożej, to jakże przedmowę do niej pisać może ręka ludzka? Wszystko, co twierdzi Papini, zmierza właśnie do wykazania, że niczyje słowo ludzkie nie może być wstępem do rze-

czy, która jest doskonała i skończona w sobie, bo żadne nie może nic dodać do niej, nic odjąć.

Ale to, co pisze Papini, nie jest krytyką, opartą na probierzach rozumowanych. Jest, jak rzekłem, wyznaniem wiary, jest spowiedzią autora, który wyjawia nam, z jakiem przystępuje uczuciem do rzeczy świętej. To uczucie jest dorobkiem jego nawrócenia. Jest jedyną rzeczywistością, która w autorze „Dziejów Chrystusa" może nas dzisiaj interesować. Nad nią też, nad ową treścią uczuciową, nad próbą i wysokością owego uczucia zastanowić się warto i należy przy całkowitem nawet pominięciu logiki twierdzeń.

Papini przejął od Kościoła wszystkie jego umiłowania i wszystkie nienawiści, wybitny jednakże nacisk kładąc na te ostatnie. Już na kartach „Dziejów Chrystusa" nie poprzestał na druzgotaniu posągów Jowisza i Apollina, Cezara i Augusta; z zapałem nawróconego barbarzyńcy postanowił on także strącić z piedestału Sokratesa i Horacego, Senekę i Wirgiljusza, nie bacząc, że ich marmurowe dostojne oblicza stoją już od wieków w pałacach watykańskich pod opieką papiestwa. W pierwszym wieku po Chrystusie byli Ojcowie Kościoła, jak św. Justyn, którzy zaliczali do chrześcijan Heraklita i Sokratesa. Wierny tej prastarej tradycji miłosierdzia Dante w swej „Komedji Boskiej" nie wtrąca Wirgiljusza do piekieł i wyznacza mu wysokie stanowisko hierarhiczne w królestwie zagrobowem. Papini nie przebacza nikomu. W zazdrosnej i żarliwej trosce o cześć Imienia Najświętszego stał się pilniejszy

nad Ojców Kościoła i surowszy nad surową grozę Dantego. Trybunał jego nie znajduje łaski nawet dla ułaskawionych. Odtrąca miłosierdzie, aby w jego osłonach świętobliwych nie wkradła się do serca słabość.

Z całego obszaru symboliki chrześcijańskiej do wyobraźni Papiniego zdaje się przemawiać tylko symbol zawarty w obrazie Sądu Ostatecznego: jego wiara narodziła się jakgdyby z gestu Jezusa — jakim ukazał go Michał Anioł w Kaplicy Sykstyńskiej — Jezusa, strącającego grzesznych w ogień wieczny.

Ta przewaga pierwiastku karnego nad pierwiastkiem miłości sprawia, że wiele osób, bardzo nawet ceniących zalety literackie „Dziejów Chrystusa", odmawia dziełu temu charakteru chrześcijańskiego, znajdując w niem zbyt wiele polemiki, a nie znajdując ani pokory wewnętrznej ani wewnętrznego anielstwa.

Czyżby przełom, który wstrząsnął kierunkiem myślenia tego pisarza, nie przeistoczył jego duszy? Czyżby Chrystus nie poddał ani jednego słowa miłości temu człowiekowi, który mówi, że Go poznał i pokochał? Czy podobna, ażeby Chrystus dotknął go i nie obudził?...

Papini widzi majestat Ewangelji. Chciałby ukazać go innym.

Ale, miast zapalić serce własne i odbicie słowa Bożego pokazać we własnem rozżarzonem sercu, układa stos z całej literatury świata — wali Homera na Dantego i Machiawela na Szekspira — i podpala te wieki arcydzieł, aby łuną płonącego stosu uczcić chwałę uwielbionej Księgi.

Od gloryfikacji atoli, jaką daje ofiara całopalna, odwrócili się już dzisiaj najgorliwsi zelanci chwały bożej. Ci zaś, którzy uznają boskość Ewangelji, nazwali boską również epopeję Danta — za taką jeszcze niedawno uznawał ją sam Papini — w kornem przeświadczeniu, iż rzeczą ludzką nie jest stawianie jakichkolwiek granic inspiracji Bożej, ale właśnie chwytanie jej znamion wszędzie, gdziekolwiek się objawi.

R. 1926.

TEATR DZIECI WE WŁOSZECH.

Kto chce zapoznać się z prądami, nurtującemi współczesną umysłowość włoską, ten szerokie ich odbicie znajdzie na scenach teatrów, w powieści, wreszcie w studjach krytyki literackiej, społecznej, historycznej. Ale kto pragnie podsłuchać intymną życia włoskiego osobliwość, wymykającą się z pod formuł ustalonych i szukającą wyrazu w tonach delikatnych i przeźroczystych, jak zieleń majowa, ten znalazłszy się w Rzymie, nie może pominąć skromnego, lecz doniosłego w swej wymowie, a przedewszystkiem arcywłoskiego typu sztuki: Teatru dzieci.

Teatr ów, jego scena i jego widownia, jest miejscem, kędy najrzetelniej bodaj uwydatnia się zasada organicznego związku sztuki z życiem. Teatr dzieci („Teatro dei Piccoli") powstał, rozkwitł i zatriumfował w tym właśnie kraju, który nazwać możnaby krajem tryumfującego dziecka. Tryumfującego nietylko,

jako liczba, znamionująca przepotężną rozrodczość plemienia, ale i jako symbol, w którym ogniskują się najistotniejsze aspiracje i usiłowania narodu.

Italja obecna, w przekroju swych żywiołowych uczuć jest jednym wielkim niepohamowanym porywem ku przyszłości, wcielonej w nowe pokolenia. Jest napiętą, wibrującą, jak miljony strun, zasłuchaną w siebie nadzieją. Nadzieją, która dźwięczy miljonem szczebiotów dziecięcych, lśni miljonami par ocząt, żywych jak iskry.

Rzekłbyś, że trzeba było cyklopowych ciosów wielkiej wojny na to, aby historję Włoch odkuć od zwalisk minionej chwały, aby przywrócić im swobodę ruchu i wzniecić rozkosz pędu.

W pokoleniu powojennem Włoch powstało coś, co przed narodem tym nanowo otwiera drogi światowego rozwoju, każe mu iść przed siebie i sięgać przed siebie. Jasne niebo nanowo odśmiecha się oczom jego obietnicą; morza znów w otwartą wołają przestrzeń; góry wzrok ponoszą w otwarte wyżyny. Żywym zaś wizerunkiem tych obietnic, rękojmią nadziei i zadatkiem przyszłości jest zawsze ten sam bohater: Jego Królewiczowska Mość — Dziecko!

Nie! nie jest przypadkiem, że hymnem obecnego pokolenia stała się „Giovinezza". I nie jest przypadkowym epizodem powodzenie, jakiem cieszy się we Włoszech Teatr dzieci.

Dziś otacza go już sława zdobyta podczas artystycznej tournée po obu stronach Atlantyku. Ale fundamentem tej sławy jest uwielbienie i kult dziecka, jako nowo obudzony instytut tej prastarej gleby italskiej,

która zbyt długo piastowała sędziwą swą dostojność, i która teraz, przeciw własnej powadze zbuntowana, zatęskniła za czemś tem prostem i świeżem, jak uroda dziecka.

Snu umarłych wieków nie mogły pokonać ani bluszcze, pnące się wzdłuż ruin, ani kwiaty, porastające na gruzach. Pokonywa je dziś dopiero ta młoda ruń człowiecza, która jest sama przez się przezwyciężeniem grobów i niewstrzymanym przez wieki pochodem.

Zrozumiałem to, gdy po raz pierwszy, po długiej niebytności, odwiedziwszy Palatyn, śród jego uroczystych pomników trafiłem na scenę, którą możnaby nazwać odwetem dziecka. Grono rozbawionych pacholąt, trzymając się za ręce, to znów wesołe wyprawiające skoki, napełniało gwarem te miejsca, w których od wieków zalegała skamieniała cisza. Żywy głos, żywy śmiech, żywa pieśń tryskały z pośród murów, jak zdrój ze skały. Kędyż byli kustosze i dozorcy dawnej świątobliwej ciszy tego wzniosłego wzgórza? Byli i są, jak zawsze, na swych posterunkach. Ale surowość ich ustąpiła wobec majestatu dziecka. Gwar zabawy młodocianej wart jest więcej, niż cisza i popioły cezarów. Oto stanowisko Włoch. Oto futuryzm ich wiary.

W tem przeniesieniu ośrodka ciężkości na przyszłe pokolenie tkwi niezawodnie pewien rys samowyrzeczenia i pokory ze strony pokolenia obecnego. Dyktatura, przez Włochy złożona w ręce wodza faszyzmu, jest prostym tej abdykacji wyrazem.

Powołanie dyktatora polega na tem, aby rozkazem uzupełnił niedobory jednostek i grup społecznych w za-

kresie woli i inicjatywy. To też dyktatura wyrasta zazwyczaj tam, gdzie otwiera się zbiorowy deficyt pokolenia. We Włoszech wszakże deficyt ten szczególną przybrał fizjognomję. Nigdzie w równym, co tam, stopniu nie wybiło się na wierzch podświadome uczucie, że szczytnością obecnego pokolenia — tego, które zbroczyło ręce w wielkiej wojnie ludów — może być tylko posłuch i karność. Zbyt wiele posiało ono zniszczenia i śmierci w sobie i poza sobą, aby móc odnaleźć w sobie duszę budowniczych. Stąd owo nostalgiczne pochylenie się ku łanom młodości i dzieciństwa.

Pierwsze wrażenie, jakie nastręcza się cudzoziemcowi, wchodzącemu do Teatru dzieci, jest poważna na widowni liczba... dorosłych, a raczej mieszany charakter towarzystwa: słuchacze od lat 5-ciu do 60-ciu. To nie bony i guwernantki posłane przez rodziców ku opiece dziatwy. To sami rodzice towarzyszą dzieciom, aby dzielić ich radość i wzruszenie.

Grano perłę repertuaru: „Baśń o śpiącej królewnie" (La bella dormente nel bosco). Któż nie zna tej pełnej uroku fantazji?

Oto zapada ciemność. Czarne kędzierzawe główki Włosząt podały się naprzód, czarne, bystre oczka z podziwem patrzą na wielki księżyc, wypływający z za morza. Krajobraz skomponowany prosto, lecz ciekawie. Cały mieni się w pełnych harmonji tonach szafirowo-fioletowych. Oto noc, w której rodzą się bajki. Na scenę wkraczają w strojach średniowiecznych gońce i otrębują na cztery strony świata wieść o przyjściu na świat złotowłosej królewny. Gońcy, jak wszystkie wo-

góle figury, są to duże charakterystycznie postrojone lalki. Zawieszone na prawie niedostrzegalnych nitkach, zręcznie pociąganych sprawną niewidzialną ręką, dowcipnie ilustrują śpiew ukrytych za kulisami artystów. Wrażenia dopełnia muzyka, tak łagodna i słodka, jakby w niej grały same echa leśne. Jesteśmy jak na operze. Ale na operze, w której marjonetki nie potrzebują udawać żywych ludzi, i w której śpiew przeplata się ze światłem: promienie księżyca grają kołysankę, a muzyka roztapia się w zorzę.

Czary na scenie, ale niemniejsze bodaj czary dzieją się śród widzów i słuchaczy. Wraz z podjętą w górę kurtyną uchylona została granica między dorosłymi a dziećmi. Bajka, jak wieczność, zrównała różnice wieku. Dzieci przeżywają wrażenia, płynące ze sceny. Starsi patrzą na scenę i przeżywają po raz wtóry swoje własne dzieciństwo. Zapach dalekich złotych dni. Zrazu uczestniczyli tylko w zachwytach i niepokojach dziatwy. Po chwili coś, jakby głaz na dnie ich duszy odwalił się z ponad źródła, najczystszem bijącego srebrem. Srebrem łez zaginionych i śmiechu, który umilkł nazawsze.

Łańcuch pokoleń, będący zazwyczaj tylko artykułem wiary, jeśli nie przenośnią literacką, staje się tutaj widomą i krzepiącą rzeczywistością. Coś z duszy dziecka płonie i drży w sercu rodziców. Coś z zadumy przeczuć osiada na źrenicach dzieci. Wspólny czar ogarnia jednych i drugich.

Włoch kocha dzieci i stara się je rozumieć, aby w nich i przez nie ukochać i zrozumieć swoje własne

jutro. I aby móc je zrozumieć, usiłuje jak najdłużej zachować w sobie choć cząstkę własnego dzieciństwa. I czyż nie na tem polega cud jego rasy i ziemi, że w każdej dobie przełomu zda się łączyć w swej naturze dojrzałość południa i wczesność poranku?

Akcja toczy się powoli, aby dzieci oswoić się mogły z każdą postacią na scenie, zrozumieć jej charakter i rolę w sztuce. Dekoracje przesuwają się w miarowych odstępach, jak akordy muzyczne. Oto kolumny zamku królewskiego. Piękna królewna jest już panną dorosłą. Uroda jej stanowi dumę całego królestwa. Wszelako losu swego nie uniknie. A losem jej jest ta szara nić, którą przędzie i nad którą, ukłówszy się w palec, zaśnie na lat trzysta.

Na lat trzysta? Szmer żalu przelatuje przez salę, gdy głowa królewny zwisa ruchem bezwładnym przez ramię. Żal zmienia się w smutek i zwątpienie, gdy szary wielki pająk — tkacz zapomnienia — olbrzymią siecią zasnuwa komnatę i zamek królewny.

Całe szczęście, że w teatrze bywa tak, jak w historji świata: trzysta lat minęło, jak z bicza trzasł!

Znów podnosi się kurtyna. Dawny dziedziniec zamkowy porósł ciemym borem. Śród boru poluje wytworne towarzystwo. Jest nieodzowny Anglik, jest nadobna Amazonka; koń, jak żywy, strzyże uszami i grzebie kopytem. Ale któż obudzi królewnę? Gdzie jest królewicz Maj?

— Ah, to ten wykwintny sportsman w czerwonym fraczku, z monoklem w oku?

Szkoda, że niema stalowej zbroi na sobie i srebrnego

hełmu! Ale cóż robić? I baśń także musi iść z biegiem czasu. Trzysta lat minęło. Teraźniejsi królewicze tak, widocznie, wyglądają. Ma szablę u boku, więc uśmierci strasznego pająka. Ma serce gorące, więc pocałunkiem miłości obudzi królewnę do życia. Nim zasłona spadnie, dzieci wybaczą mu czerwony frak i monokl. Już wychodzą. Wracają ucieszone, pod wrażeniem, że świat jest piękny i że życie na tym świecie jest cudowną przygodą. Barwne obrazy i płynne melodje długo snuć się będą po maleńkich główkach.

A pozostali widze? A dorośli?

Ci, opuszczając progi teatru, wdzięczni są prześnionej bajce za tę godzinę uroku, który im pozwolił odetchnąć rosą dalekich łąk i sadów, bezpowrotnych łąk i sadów swego dzieciństwa.

FASZYZM A WIARA W CZŁOWIEKA.

W skupionym wysiłku artysty, kształtującego w glinie lub w marmurze żywe oblicze człowieka, przełomowym bywa ów moment, w którym rzeźbiarz, nagromadziwszy mnóstwo poszczególnych pierwiastków charakteru, nagle, jakimś jednym, sobie tylko wiadomym rzutem dłoni wiąże je wszystkie w syntezę. Ten ruch ręki, ten cios dłuta, może być tak drobny, że zdaje się przypadkowym; niemniej wszakże on to dopiero wyjawia istotę postaci. Jest drobiazgiem, ale ten drobiazg stanowi o charakterze całości.

Śledząc wielkie prądy społeczne, przeorujące życie Europy, zdaje mi się nieraz, że i w ich pracy, w ich dobywaniu na jaw prawd i wartości nowych, lub wskrzeszaniu starych, tkwi wiele z krwi i wysiłku artysty: tylko, że tutaj artysta jednoczy się i utożsamia z tworzywem, które kształtuje, rzeźbiarz zlewa się z posągiem, który wykuwa,.

Faktem jest, że i w tej dziedzinie, w dziedzinie twórczości społecznej, mamy nieraz do czynienia

z aktami, napozór drobnemi, które jednak wystrzelają jak błyskawice, oświetlając w jednej chwili źródła i ujścia danego prądu.

Akty te, niby owe intuicyjne rzuty dłuta rzeźbiarskiego, są w prawdziwem tego słowa znaczeniu odkryciami. Odsłaniają to, co jest w ruchu społecznym najważniejsze i najskrytsze. Z chaosu pierwiastków dobywają linję kierunku i zasadę dążenia.

Faszyzm na gruncie włoskim ma już poza sobą pokaźny a nawet sowity dorobek. W przeciągu lat paru, pod jego niepodzielnemi rządami, odmienił się niemal społeczny wygląd kraju. Inny rytm życia, inne tętno pracy w fabrykach i winnicach, inny, niż dawniej, stosunek do cudzoziemców, do własnych dziejów, do zadań stawianych w przyszłość. Cała atmosfera publiczna we Włoszech przesycona jest dzisiaj innym, nowym, odrębnym żywiołem. Innym, niż ten, który panował przed wojną, w okresie wojny lub w pierwszych latach powojennych.

Ale na czem ta odrębność polega?

Dziesiątki odpowiedzi słyszałem lub dawałem sam sobie na to pytanie. Wszelako, każda odpowiedź pozostawiała poza sobą jakąś resztę, która nowe budziła pytania i wątpliwości.

Wyjaśnienie tej „reszty" przyszło ze strony najmniej spodziewanej: dała je postawa faszyzmu wobec instytutu sądu przysięgłych. Wrogie lub wręcz negacyjne stanowisko faszystów wobec demokracji i socjalizmu, wobec parlamentaryzmu i „nieśmiertelnych zasad rewolucji francuskiej" znaliśmy uprzednio; ale

były to tylko pewne strony faszyzmu. Natomiast postawa jego wobec instytutu sądu przysięgłych odsłania najgłębszy nurt jego dążenia.

Deklarując walkę przeciwko sądowi przysięgłych, faszyzm dopełnił rzeźby swego oblicza.

Mniejsza o to, czy walka ta mieć będzie wynik praktyczny. Realizacja bywa zawsze wypadkową rozmaitych czynników, śród których zamiar, wola, intencja jest tylko jedną z sił działających, ale nie jedyną. Imperjalizm rosyjski nie zdołał urzeczywistnić swego snu o Carogrodzie. A przecież sen ów był nieustającą dźwignią polityki rosyjskiej przez półtora stulecia.

I również mniejsza o to, że pobudką do tej ostatniej „wyprawy karnej" faszyzmu stał się przypadkowy fakt z paryskiej kroniki sądowej: uniewinnienie przez francuski trybunał przysięgłych Germeny Berton, — i że pobudka ta rozległa się nie z naczelnej strażnicy Czarnych Koszul, ale z bocznej i krańcowej baszty, jaką jest redakcja „Impero". Czyż nie widywano tylekroć, że najdalej idące idee wychodziły z najmniej pokaźnych progów?

Idea faszyzmu, istotnie, idzie... a raczej cofa się bardzo daleko, sięgając głębokiej przeszłości.

— Sąd przysięgłych — rozumuje „Impero" — jest to sąd ludu. Jest on w zakresie wymiaru sprawiedliwości niemal tem samem, czem jest parlament w zakresie politycznym. Z tą wszakże różnicą, że posłowie do parlamentu pochodzą z wyborów, a więc stanowią pewną elitę, jakkolwiek na grubych i wątpliwych opartą probierzach, gdy tymczasem przysięgłych do ich wy-

sokiej czynności powołuje ślepe koło losu, obracane ręką kancelaryjnej biurokracji. Obie te instytucje wyrastają z tego samego podłoża demokracji. Obie są urzeczywistnieniem pojęcia o zwierzchnictwie ludu: ludu, który rządzi sam sobą i który sam siebie sądzi.

Faszyzm, w osobie Mussoliniego, obejmując władzę we Włoszech, przekreślił zasadę zwierzchnictwa ludu i ponad prawo przedstawicielstwa narodowego postawił dyktaturę jednostki, mającej wcielać w sobie wolę i przeznaczenie kraju. W jednej chwili, jakgdyby za podmuchem burzy, uległ odwróceniu wzajemny do siebie stosunek rządu i parlamentu. Nie rząd przed izbą posłów, ale izba posłów przed rządem zdawać musiała rachunek. Każde w jej łonie odchylenie się większości od pionu rządowego zawisało nad nią groźbą rozwiązania. Pozornie parlament włoski uchwalał Mussoliniemu od czasu do czasu votum zaufania, w istocie uchwałami temi wyjednywał sobie tylko przedłużenie życia. Jednocześnie bowiem z innemi zabytkami demokracji rzucono do lamusa i tę zasadę, wedle której rząd ustępować musi natychmiast, skoro traci oparcie w parlamencie: we Włoszech ustępuje parlament, skoro przestaje podobać się rządowi.

Liczyć się z przedstawicielstwem ludu znaczyłoby tyleż, co pokładać zaufanie w kompetencji politycznej pierwszego lepszego obywatela, obdarzonego prawem wyborczem. W pojęciu faszysty rachuba taka byłaby niedorzecznością. W pojęciu, w najgłębszem przekonaniu faszysty ów „pierwszy lepszy" obywatel, ów

Pan, któremu na imię Ktokolwiek, jest właśnie urodzoną niekompetencją, chodzącą nieudolnością polityczną. Jemu powierzać władzę? Jego w monarszy oblekać majestat?

Lud, piastujący władzę zwierzchniczą; lud, stanowiący sam dla siebie prawa, to — drwi faszyzm — paradoks liryczny! Wynosić żywioł bezkształtny i bezimienny ponad rozum i wolę jednostek wybranych, to tak, jakgdyby surową materję przekładać nad ducha artysty i chcieć, aby materja panowała nad pomysłami twórcy.

— Jeśli nawet — uzupełnia wywody swe faszyzm — nie przyjmujemy dawnego podziału bytu na „ducha" i „materję", to i w tym wypadku nie będziemy mogli przystać na hypotezę materji autonomicznej, materji samorzutnej i samowładnej: na hypotezę Ludu — Władcy.

Jakaż jest rola ludu w ideologji faszystycznej?

Najzupełniej bierna. Lud w budowie społecznej stanowi pierwiastek „bezwładu", pierwiastek „liczby", pierwiastek „ciężkości"; jest podłożem, podścieliskiem społecznem, którego zadanie wyczerpuje się w posłuchu i uległości dla „wierzchołków", jedynie powołanych do kierownictwa i rządu.

Dzisiejsze młode pokolenie Włoch nie zna litości dla wiary ojców swoich i dziadów, z zapałem głoszących ewangelję wolności i równości ponad rubieże państw i narodów. Niema równości między narodami i nie może jej być wewnątrz narodu.

— Nikczemny z natury i z tradycji lud pozostawio-

ny sam sobie — głosi ewangelja faszyzmu*) — jest żywiołem przeznaczonym dla niewoli; jest niewolnikiem wszędzie i zawsze. Nie wie, co to miłość, nie wie, co wolność; brak mu poczucia honoru; nie nosi w sobie żadnych idei, żadnych ideałów; jeśli poddaje się tym i tamtym, bierze najniższe; nie ma pojęcia o godności osobistej, o szacunku dla samego siebie. Jest samolubem, materjalistą, nieokrzesanym zmysłowcem, istotą amoralną; idzie za popędami zwierzęcemi najniższego pochodzenia, za żądzą chwilowego zysku, i dlatego stale gotów bywa z duszą i ciałem oddać się temu, kto schlebia owym popędom lub zaspokaja ową żądzę".

Dopiero odrywając się od „nizin" społecznych i wznosząc się ku „wyżynom", ludzkość — w mniemaniu faszyzmu — zbywa stopniowo tych właściwości materji, które ją obciążają, staje się coraz lżejsza, coraz bardziej uduchowiona, a przeto coraz zdatniejsza do inicjatywy, do władzy, do rządu. Dopiero ten, kto stoi najwyżej, kto stoi u szczytu piramidy społecznej, ten tylko mocą doboru wiekowego, mocą kultury i przeznaczenia dorasta do steru władzy.

Na tem poprzestaje i tu zatrzymuje się urzędowa doktryna faszyzmu.

Ale na tem nie mogła zatrzymać się logika faszyzmu, wewnętrzna konieczność jego rozwoju.

Logika nie może zatrzymać się w pół drogi.

Skreśliwszy prawa ludu polityczne, faszyzm zażądać

*) Cfr. „Problemi del fascismo", II str. 85. Florencja 1923.

musiał z kolei skreślenia jego praw z pola wymiaru sprawiedliwości, i — jak widzimy — istotnie z tem żądaniem przez usta „Impero" wystąpił, domagając się zniesienia trybunału przysięgłych.

Postulat „Impero" nie jest więc kaprysem skrajnego odłamu: przez usta jego przemówiła sama istota faszyzmu.

Tam, gdzie niema miejsca na autonomję polityczną obywatela, znika również autonomja moralna człowieka: powaga wyrokującego sumienia ustąpić musi pola autorytetowi urzędnika.

Wywodom tym niepodobna nic zarzucić ze stanowiska czystej konsekwencji. Wnioski zgodne są z założeniem.

Ale rozumując w ten sposób i dochodząc do swych naturalnych konsekwencji, faszyzm przeskakuje nietylko dwieście lat dziejów politycznych Europy, ale i dwa tysiące lat moralnego dorobku ludzkości.

Na przykładzie Włoch obecnych — wtrąćmy tu nawiasem — przekonać się można, w jak szerokiej amplitudzie wahają się i wahać się będą jeszcze długo wyniki i skutki wielkiej wojny.

Krusząc deklarację praw człowieka i obywatela, wyniesioną z Wielkiej Rewolucji w końcu zaprzeszłego wieku, faszyzm, zapewne niepostrzeżenie sam dla siebie, druzgoce deklaracje praw, uświęconych przez stokroć większą Rewolucję z początku wieku pierwszego, która wszystkich ludzi związała boską tęczą braterstwa i wszystkich powołała zarówno do uczestnictwa w budowie Królestwa Bożego na ziemi.

Wszystkie prądy dziejowe, które wyryły się złotemi lub spiżowemi głoski w księdze świata, odwoływały się do nieskończonych zasobów potęgi, utajonej w każdej duszy ludzkiej. Wiek Fidjasza, czy wiek Juljusza Cezara, epoka Kolumba czy Kopernika, Michała Anioła czy Mickiewicza, wszystkie te szersze lub węższe ośrodki i ogniska genjalności były zarazem ogniskami bezgranicznej wiary w indywidualność ludzką. Wszystkie prądy twórcze były siewcami wiary w człowieka; wszystkie szły z niezachwianem zaufaniem do ludu, między małych i maluczkich, szły z wiarą, która istotnie z duszy tych najmniejszych dobywała cudy.

Dyktatury, rangi i ordery powstawały dopiero u schyłku tych ruchów, nietyle jako dźwignia lub wyraz, ale jako forma wyzysku i pasożytowania na osiągniętych zdobyczach.

Faszyzm nastawił żagle swe w przeciwnym kierunku. Gasi wiarę w człowieka, nie ma zaufania do ludu, lekceważy indywidualność, gardzi prostakiem, ściera w pył bezimienny tych wszystkich, którzy nie piastują znamion „doboru wiekowego". Nie chce zwykłym dwunastu obywatelom powierzyć sądu nad jednem sumieniem ludzkiem: tak mało ma do nich zaufania!

Jakże daleko odbiegł od ducha tej etyki i religji, której godło sam wprowadzić kazał do szkoły ludowej swego kraju.

Twórca owej religji, gdy kładł pod swe dzieło podwaliny, nie pomijał ludu i nie odtrącał maluczkich. Ale,

wyszedłszy nad jezioro rodzimej okolicy, powołał z nad jego brzegów pierwszych dwunastu, jakich zesłał mu los i to ubogie pojezierze: tym dwunastu nie wahał się powierzyć sądu nad sumieniem pokoleń.

FILIP TURATI.

Żaden kraj w Europie nie jest tak przez cudzoziemców kochany, żaden do niedawna nie był tak tłumnie odwiedzany, jak Włochy.

A przecież żaden nie jest tak mało znany. Tak mało znany w swej codziennej, istotnej rzeczywistości.

Ci, którzy się udają pod niebo włoskie, jadą tam zazwyczaj, aby upić się słońcem, aby upić się własnym zachwytem. Szukają nie rzeczywistości, ale raczej ucieczki przed nią. Oddają się z miłosną rozkoszą wdziękom przyrody, lazurom morza, mocom wielkiej, wiekopomnej sztuki. Jeśli zbłądzą między gruzy Foro Romano lub ruiny Pompei, to jedynie po to, aby kontrastem cmentarzyska wzmóc uciechę, jaką daje boski pocałunek chwili.

Sama podróż — w takich warunkach — wydaje się czarowną bajką.

Przybysz, ledwie wysiadł z pociągu, już na stacji widzi się otoczony gronem wykwintnej służby, która niewiadomo kiedy zdążyła zaopiekować się jego bagażem i w ukłonach prowadzi go do auta, wyprawionego na spotkanie gości przez uprzejmy zarząd hotelu.

Hotel zaś — albergo di lusso — zbytkowny hotel

włoski, to, naprawdę „dolce far niente", ubrane w system filozoficzny! To — epikureizm po sto lir... na dobę!

Swego czasu, Henryk Sienkiewicz, spoglądając w godzinach poobiednich z tarasu ulubionego hotelu „Minerwa" na pobliskie mury Panteonu, z tych godzin złotych wyśnił złotą duszę Petronjusza.

Bo i gdzież poeta, myśliciel lub pospolity zgoła zjadacz chleba potrafi tak pracowicie próżnować, tak czuć się równym cezarom, genjuszom i bogom, jak na stopniach Kapitolu, lub na odkruszonych głazach Koloseum?

Gdy taki podróżnik, po kilku tygodniach, wraca z opróżnionym trzosem do kraju, wspomnienia włoskie pałają w jego pamięci przepychem niekłamanych uniesień.

I czyż może być inaczej?

Gdyby było inaczej, podróżnik nasz musiałby osądzić, że trzos swój opróżnił nadarmo. A osąd taki byłby upokorzeniem... Wszystko więc, na co patrzał, widzieć woli i widzieć będzie skroś tęczowe szkła ułudy, których nie porzuci, z któremi się nie rozstanie, bo w tych szkłach zawarty jest kawałek przeżytego szczęścia, lub — przynajmniej — okruch zapomnienia.

W głowie takiego szczęśliwca ani postanie myśl, że poza jego turystycznym szlakiem — od hotelu do hotelu i od iluzji do iluzji — pozostała wszystka wrąca współczesność włoska z całym odmętem utajonego w niej cierpienia, trudu, walki, ucisku, nędzy i — żerującego na tej nędzy tyraństwa jednej wszechpotężnej

partji: partji, która niedarmo na swych aktach władzy pieczętuje się herbem, złożonym z rózeg i topora!

O współczesnej rzeczywistości włoskiej świadectwo cenne i prawdziwe mogliby złożyć jedynie ci, którzy żyją śród ludu; którzy cierpią jego cierpieniem, którzy biorą w siebie krwawy pot jego czoła, krwawe łzy jego udręki.

Ale ci — pod grozą teroru — muszą milczeć!

Ci oskarżycielskiego głosu wznieść nie mogą!

Ci mówić mogą tylko niemą wymową dokumentów i — ofiar!

Wstrząsającym przykładem grozy, jaka staje się udziałem obywatela, w samem choćby tylko nazwisku niosącego protest przeciw niewoli faszyzmu, jest Filip Turati, sędziwy przywódca ludu roboczego, dziś 70-letni starzec, nad grobem stojący, wychowawca szeregu pokoleń włoskich w zasadach wolności obywatelskiej i równouprawnienia społecznego.

Jakób Mateotti, tak zdradziecko zamordowany przez faszystów, jego był uczniem, jego duchowym synem i domniemanym następcą ideowym.

Owóż, Turati, czując się niezdrów, za poradą lekarzy, postanowił wyjechać zegranicę i w tym celu złożył w prefekturze medjolańskkiej podanie o paszport zagraniczny, z góry bowiem przekonany był, że w żadnem z uzdrowisk włoskich faszyści nie daliby mu spokoju. Do podania dołączył wszelkie możliwe świadectwa lekarskie. Prefekt obiecał podanie przesłać do Rzymu i niezwłocznie powiadomić o jego wyniku. Wynik, istotnie, był niezwłoczny, lecz jakże niespodziewany!

Już nazajutrz oba wyjścia lokalu, w którym mieszkał sędziwy poseł ludu, obstawiono wartą policyjną! Lokal w ten sposób zmieniono w więzienie domowe. Warta miała polecenie nietylko pełnić straż w mieszkaniu, ale chodzić za Turatim wszędzie, gdziekolwiek się ruszył. Gdy siadał do dorożki, policjanci sadowili się obok niego. Straż taka oznaczała bezwzględną blokadę, gdyż nikt nie miał ochoty zaglądać poza kordon policji, a i sam oblężony nie odwiedzał nikogo z przyjaciół, nie chcąc naprowadzać gości nieproszonych na spokojne rodziny.

Napróżno protestował Turati wobec prefekta przeciw tak bezprzykładnemu gwałtowi.

Napróżno domagał się, aby wytoczono mu sprawę, skoro istnieją jakiekolwiek przeciw niemu dowody. Próżno wołał, aby go raczej do prawdziwego wtrącono więzienia, uważając, że najsurowsze więzienie byłoby dlań mniejszą katuszą od bezustannej kurateli w domu.

Życie przestało być dla niego życiem, a zmieniło się w zmorę. Warunki, w jakich go trzymano, były dokuczliwsze od tych, jakiemi rozporządza dozór policyjny w stosunku do przestępców kryminalnych. Mimo warty policyjnej, Turatiemu groziła w każdej chwili napaść bojówki faszystowskiej. Po zamachu na Mussoliniego, niebezpieczeństwo napaści wzrosło tak dalece, że szef policji, mimo oporu skołatanej ofiary, wyrwał ją nocą z mieszkania i uwiózł na dni kilka w jakieś inne, rzekomo, bezpieczniejsze miejsce. Turati nie miał już teraz żadnych wątpliwości co do wyroku, jaki nań w głównej kwaterze faszystowskiej podpisano. Zrozu-

miał, że faszyzm w jego osobie ściga groźny cień Matteotiego, cień swojej własnej zbrodni...

Zrozumiał, że czeka go los Amendoli i Gobettiego... Zbyt głośne miał nazwisko, aby miał lec pod zwykłym skrytobójczym sztyletem.

Czekał go, jak Amendolę, los zwierzyny, póty szczutej i ściganej przez napastników, aż zmordowana, zbroczona krwią i potem, padnie bez tchu w zaułku ciemnej ulicy, lub w kurzawie odludnego gościńca.

Turati nie przystał na los ściganej zwierzyny.

Postanowił opuścić kraj ojczysty tak, jak opuszcza się obóz jeńców, w burzliwą noc, pod osłoną mroku...

W kraju tym pozostawiał przyjaciół, zostawiał grób swej żony; zostawiał wszystko to, co kochał...

Ale mimo to postanowił ujść! Ujść z kraju, w którym zgotowano mu egzystencję tak upokarzającą, że, trwając w niej nadal, znieważałby imię i pamięć tych, których kochał.

I na tem polega wina, której wybaczyć mu nie mogą ludzie, ścigani cieniem Mateottiego.

R. 1927.

FONTANNA TREVI.

Jest zwyczaj w Rzymie, że gość, który go zwiedził, przed wyjazdem, idzie lub każe się wieźć przed wielką, jak wodospad huczącą fontannę „Trevi" i tam w głęboki basen kipiącej, rozigranej wody ciska srebrny lub choćby (o, nędzo powojenna!) niklowy pieniążek.

Ta ofiara, złożona bóstwom Wiecznego Miasta, sprowadzać ma skutek niezawodny: cudzoziemiec, który raz był w Rzymie, powróci doń po raz drugi.

Jakimż klejnotem wdzięczności dzwoni każdy z owych drobnych pieniążków, uderzając w biały marmur fontanny!

Wdzięczności, która mówi, że pobyt w Rzymie jest przywilejem. I że ten, kto go zaznał, a utracił, chować będzie jego wspomnienie i krzepić się nadzieją, że go odzyska.

Kto raz był w Rzymie... Kto pierwszy raz był w Rzymie.

— Ale, — spyta ktoś — czy można być w Rzymie po raz pierwszy?

I odpowiada: — Nie!

Gdy przyjeżdżamy do Włoch, a zwłaszcza, gdy stajemy w Rzymie, zawsze doznajemy wrażenia, żeśmy

tam już byli przedtem, żeśmy byli tam niegdyś, że go znamy skądciś...

Skąd? Bóg raczy wiedzieć!

Może ze świata wspomnień i rojeń dziecinnych. Może z dziejowego szlaku naszej cywilizacji. Może z księgi wieszczów naszych i pielgrzymów.

Fakt, że gdy wchodzimy w to miasto po raz pierwszy, już w murach jego odnajdujemy przędzę swoich dawno przemyślanych myśli.

Jeszcze stopa nasza nie postała na Palatynie lub Kapitolu, a już błądziła tam nasza młodzieńcza wyobraźnia, już serce biło u grobu św. Piotra, już sny nasze wiódł w słońce miecz Garibaldiego.

Włochy rzymskich światowładnych cezarów, Włochy triumfującego chrześcijaństwa, Włochy genjuszów sztuki i literatury; Włochy — wreszcie — walczącego o wolność i jedność narodu: te etapy włoskiej historji stały się etapami ludzkiego pochodu od barbarzyństwa ku światłu cywilizacji.

Rzym, stolica nowoczesnych Włoch, nie zapomina, że ongi był miastem, które pierwsze dało poznać człowiekowi, co to jest obszar człowieczej potęgi. To miasto, które niegdyś rządziło światem i które później ujęło w ręce klucze rządów zaświata, dziś jeszcze, i dziś może silniej, niż wczoraj lub przedwczoraj, skupia na sobie uwagę swoich i obcych, gorejąc zapowiedzią nowych niebezpiecznych prób i doświadczeń.

Są narody, które żyją, pracują i ciułają swój dorobek dla siebie.

Włochy, jak starożytna Grecja, jak nowożytna

Francja, są narodem, który podejmuje próby, doświadczenia i hazardy na użytek całej ludzkości. Stanowią ognistą, wulkaniczną kuźnię Europy.

Te skarby Włoch, te skarby Rzymu sprawiają, że można wprawdzie mury jego opuścić, ale — rozstać się z nim nie można.

Srebrny pieniążek, uroniony w nurty srebrnej fontanny, zda się kawałkiem duszy, zagubionej w jego nurtach; zda się zaklęciem, które woła i które wołać nas nie przestanie z odległości.

Gdy w urzędzie kwestury rzymskiej, zamykając okres mego czteroletniego nad Tybrem pobytu, oznajmiono mi nakaz wyjazdu i spytano, czy nie mam przed wyjazdem jakichś szczególnych życzeń lub zleceń, pominąłem prawo odwołania się do wyższej instancji i nie chciałem mówić z ministrem. Oświadczyłem krótko:

— Wyjadę natychmiast. Ale przedtem chcę się udać ku fontannie „Trevi" i rzucić w jej nurt ostatni pieniądz włoski, jaki mi pozostał.

Dekret faszyzmu zmuszał mnie do opuszczenia Włoch. Ale cóż znaczy dekret dyktatury wobec ślubów zawartych z Miastem Wieczności?

Poszedłem i wrzuciłem monetę do urocznej fontanny, a w nieśmiertelnym szumie jej wód posłyszałem mowę wyższą nad język policmajstrów i dyktatorów.

1926 r.

PROFILE I STUDJA.

PIŁSUDSKI A MUSSOLINI.

Każdego, kto wraca do kraju po dłuższym pobycie na południu, w ojczyźnie słońca, gajów pomarańczowych, wulkanów i gwałtownych eksperymentów politycznych, czeka tysiąc nieodstępnych pytań, niosących w sobie tyleż ciekawostek, zainteresowań, a nieraz i prawdziwych zagadnień.

Wszelako, ten atak ciekawości jest tylko wstępem do innego, bardziej zasadniczego pytania:

— Kto zacz jest ów mąż bajeczny — il Duce — Mussolini? Tyran, wódz, czy apostoł?

Na tem zaś pytaniu, jak na haku, zawisa pytanie następne jeszcze głębiej sięgające w tętno chwili obecnej:

— Czy jest to włoski... Piłsudski?

Zestawianie ze sobą tych dwu postaci stało się namiętnością. nagminną.

Jeden z najbardziej zasłużonych pisarzy naszych posunął się w tem zestawieniu aż do ustalenia formalnej paraleli między dwoma mężami, dając do zrozumienia, że rola Mussoliniego we Włoszech odpowiada temu, co my, Polacy, kojarzymy ze stanowiskiem i działalnością Piłsudskiego w Polsce.

— Co sądzić należy o tej paraleli? I czy istnieje dla niej podstawa w charakterze ludzi i środowiska, z którego ci dwaj „naczelnicy" wyrośli? — pytanie to wielekroć obijało się o me uszy z tak naglącym naciskiem, że w końcu sam je sobie postawiłem.

— Piłsudski i Mussolini?

— Gdzie Krym, gdzie Rzym?... Czyż dwa te nazwiska łączy ze sobą coś ponad wspólny znak pytania, rzucony w głąb doby teraźniejszej?

Nie ulega wątpliwości, że obaj ci mężowie, skupiający w sobie taki ogrom uwielbienia, i taką masę niechęci, zarówno wewnątrz swoich krajów, jak poza ich granicami, przedstawiają wielkości niepospolite. Nikt odmówić nie może Piłsudskiemu tęgiej indywidualności, najzawziętsi przeciwnicy nie odmawiają też jej i Mussoliniemu: „Mussolini — stwierdza Artur Labriola, ekonomista ścigany i niemiłosiernie prześladowany przez faszyzm — jest to człowiek niebylejaki; człowiek, któremu sądzono było sprawić ogromnie dużo dobrego, lub też wyrządzić ogromne zło"*).

Historja lat wojennych i powojennych, w szeregu politycznych osobistości, które najsilniej na losach Europy zaważyły, obok Wilsona i Lenina, postawi z pewnością Piłsudskiego i Mussoliniego, zamykając ów szereg imieniem Masaryka i, kto wie... czy dorzucając doń jakieś imię inne.

Jednakowoż, ogarniając ów szereg jednym rzutem oka, niepodobna oprzeć się wrażeniu, że śród jego po-

[1]) „Polemica antifascista" Napoli, 1926.

staci niema dwu charakterów tak odrębnych, dwu umysłów o budowie tak sprzecznej, dwu kierunków woli, tak wyłączających się nawzajem, jak właśnie — Piłsudski i Mussolini.

Mussoliniego można zestawić z Leninem.

Są to osobistości, które nawet tam, gdzie ostro kontrastują ze sobą, mogą nawzajem oświetlać siebie i uzupełniać swą charakterystykę: przy rozbieżności celów i antagoniźmie założeń społecznych łączy ich bowiem wspólność metod i środków działania.

Ale Piłsudski od Musoliniego różni się tak, jak tylko człowiek różnić się może od człowieka; jak różnią się od siebie dwa odrębne systemy celów, urzeczywistnianych w drodze dwu odrębnych metod.

Piłsudski i Mussolini, są to dwie odmiany ducha ludzkiego, dwa stanowiska przeciwne i wrogie sobie od początku dziejów, a skazane na walkę ze sobą bodaj aż po Sąd Ostateczny.

I Piłsudski i Mussolini rozpoczęli swą linję życia pod czerwonym sztandarem socjalizmu. Ale Mussolini stanął pod sztandarem tym wówczas, gdy socjalizm był we Włoszech polityczną i gospodarczą potęgą; stanowił o losie rządu; posiadał rozległą sieć kooperatyw, przewodził w związkach zawodowych, nadewszystko zaś rozporządzał mnóstwem stanowisk płatnych w swej organizacji, w swych instytucjach, w swem czasopiśmiennictwie.

Gdy natomiast Piłsudski, wraz ze szczupłem gronem towarzyszów, wstępował na drogę socjalizmu, była to droga samotna, a u jej kresu majaczyła jedna

tylko, zdawało się, meta nieomylna: wygnanie, katorga, śmierć.

Piłsudski urodził się we dworze ziemiańskim. Wejście w proletarjat było z jego strony aktem woli. Było postanowieniem i wyborem, podyktowanym przez wysoką, bezinteresowną ideę.

Mussolini, syn kowala z Predapio, przyszedł na świat w środowisku nędzy, bezradności i głodu. Nie on wyszedł naprzeciwko socjalizmu, ale socjalizm przyszedł do jego chaty, pochylił się nad jego kolebką z darami pierwszych obietnic, nadziei i tęsknot człowieczych.

Idea republikańska i demokratyczna dała mu pierwszą podstawę moralną ku temu, aby się uczuł człowiekiem wolnym i niezależnym; aby z szacunkiem patrzył na pracę ojca i w jego upośledzeniu klasowem widzieć mógł nie piętno niższości, ale bodziec do walki o sprawiedliwość społeczną.

Socjalizm dał także Mussoliniemu coś bardziej pozytywnego: pierwszą posadę, na której przyszły ów „kuzyn królewski" (jak dziś każe się nazywać) sprawić sobie mógł na własność parę nowych spodni!

Dzięki demokracji i jej społecznym zdobyczom, ubogi „giovanotto", z głębokiej prowincji włoskiej mógł był nie wyciągać już ręki do podróżujących cudzoziemców, prosząc i żebrząc o parę „soldów" (groszy), ale sam miał w kieszeni solda na gazetę, w której odnajdywał mowę swoich własnych potrzeb i dążeń.

Piłsudski wprzągł się w ruch robotniczy, jak w krwawą orkę, wymagającą trudu, poświęcenia i walki,

która zdawała się wtenczas walką na straconej reducie.

Mussolini — siadł weń, jak w wygodny pojazd, mający powieźć go po zygzakowatej lecz bezpiecznej drodze daleko, wysoko... ponad ojcowskie, kowalowe progi.

Socjalizm był dla dzisiejszego władcy Włoch początkowym szczeblem karjery, w którą wniósł on, jako jedyny swój kapitał, głód ubogiego wieśniaka, a raczej głód niezliczonych pokoleń chłopstwa, rozpalony do białości osobistym jego głodem władzy, potęgi, panowania!...

W Piłsudskim grała rycerska fantazja, poszukująca ryzyka i wyzywająca niebezpieczeństwo, a wcielająca się bezinteresownie w służbę narodową i społeczną, jak natchnienie twórcy przyobleka się w kształty dzieła.

Dlatego to Piłsudski, gdy wypadnie robić wybór, opuszcza dwór szlachecki i idzie za głosem ludu; odrzuca obietnice cesarzy i — idzie do Magdeburga; opuszcza ster władzy i — pozostaje z ludem.

Ale ten, kto z ludem pozostaje, zawsze ma i mieć będzie otwarte przed sobą źródło żywej, odrodzeńczej siły.

Józef Piłsudski mógł był pozwolić sobie na trzyletnią pustelnię w Sulejówku; wyszedł z niej wzmożony na siłach.

Dyktator włoski sam wyznał, że gdyby stracił władzę na jeden dzień, nie byłoby dlań — powrotu: straciłby ją nazawsze.

NAJWAŻNIEJSZY SUROWIEC.

Nigdy nie mówiono o surowcach tyle, co obecnie. Dziś o nich mówią wszyscy, przy każdej okazji, na każdem miejscu; budują na nich wszystko, rozpoczynają od nich wszystko i wszystko na nich kończą. Imieniem surowców uzasadnia się prawa i rozgrzesza zbrodnie. Wypisuję się ich nazwy na sztandarach, jak hasła; kojarzy się pod ich znakiem koalicje i przymierza.

O surowcach mówi się obecnie tak, jak ongi mówiono o Bogu i Opatrzności, o Praprzyczynie i Prajestestwie. Gdyby żył dziś pośród nas Heraklit, Tales albo Anaksimenes, wniósłby niezawodnie do swej filozofji poprawkę i uczyłby, że zasadą bytu nie jest ogień, woda, powietrze, miłość lub nienawiść, ale: surowiec, surowiec, surowiec!

Węgiel, żelazo, nafta, bawełna, zboże: oto zasada bytu współczesnego! Oto środek wszechzaradczy na troski, cierpienia i rozpacze człowieka i całej ludzkości.

— Pytacie ku czemu dąży każdy naród? Dąży ku posiadaniu surowca!

— Pragniecie pokoju i bezpieczeństwa? Musicie zaopatrzyć się w źródła surowców!

— Szukacie zgody i braterstwa? Poszukajcie naprzód surowców!

— Łakniecie dobrobytu, światła i sprawiedliwości? Postarajcie się o surowce!

Słowem, wedle ewangelji współczesnego apostolstwa, drogę do raju otwiera posiadanie surowców: kraj, o ile chce być silny, wolny i bogaty, musi posiadać surowce. Reszta będzie mu przydana!

Nie moją jest intencją zaprzeczać lub chociażby w wątpliwość podawać znaczenie surowców dla życia i rozwoju przemysłu krajowego, a stąd dla siły i obrony kraju, dla jego dobrobytu i bezpieczeństwa.

Chcę, przeciwnie, zwrócić uwagę na to, że ci, którzy najwyżej potęgę surowców sławią, zapominają zawsze o jednym, który jest najważniejszy, bo najbardziej nieodzowny i niczem niezastąpiony.

Tym surowcem jest: mózg.

Elementarne ziemi polskiej bogactwa stanowią nasz odwieczny przyrodzony posag. Nim z brzasku dziejów wychyliło się Piasta oblicze, już lasy i bory nieprzebrodzone, już pokłady kruszców, złoża soli i wapna, w głębi utajone, skarby węgla i żelaza pod stopy młodego narodu słały się, jako zadatek przyszłej, w stulecia idącej, potęgi. One to były królewskiem naszych dziejów wianem, z którego pokolenia za pokoleniami czerpać mogły i mogą, nie lękając się, że jego zasoby opróżnią lub zubożą.

Polska wstąpiła w dzieje jako możnowładna pani. Ledwo z kolebki wyszła, już mogła na własnej przestać sile. Nie potrzebowała u obcych ani żebrać pokorą, ani grabić przemocą. We własnych granicach miała dość chleba na wyżywienie swych dzieci i dość żelaza na broń dla swego rycerstwa.

A jednak przy tym samym stanie posiadania bogactw materjalnych jakże różne przechodziła koleje, jakże dziwne zatoczyła koło fortuny!

Od pól wiekopomnej sławy na wyżynach potęgi stoczyła się ku wygnańczym szlakom sybirskim, od złotej ery Jagiellonów ku lochom niewoli, aby, po stu latach ucisku dźwignąć się znów na poziom wielkiego i zwycięskiego państwa. Nie! tego zdumiewającego łuku ewolucji nie zdoła wytłumaczyć najgenjalniej sporządzony bilans surowców, jeżeli pominiemy w tym bilansie ów najważniejszy, który waloryzuje wszystkie: mózg.

Jeśli z historji polskiej daje się wysnuć jakąś wskazówkę, to przedewszystkiem tę jedną: że upadek dawnej Rzeczypospolitej spowodowany był upadkiem mózgu w narodzie; odrodzenie zaś poczęło się od odrodzenia umysłowości. Jakoż wszyscy wielcy politycy polscy bywali zarazem siewcami oświaty, u podstaw zaś największych reform politycznych dawnej Polski tkwiły reformy szkolne.

Czyż dzieło konstytucji Majowej nie zakiełkowało, nie wzrosło i nie zakwitło wraz z pokoleniem młodzieży, która opuściła ławy pierwszych szkół Konarskiego? Czyż krew powstańcza w żołnierzach Kościusz-

kowskich nie zagrała pod wezwaniem i pod hasłem nowych wyzwalających idej XVIII wieku? Czyż nie owe to właśnie idee promieniujące wtenczas z dalekiej Francji i jeszcze dalszej Ameryki, nie stały się mostem, po którym chłop pańszczyźniany przechodził w stan obywatela?

Niestety, dzieło Ustawy Majowej mogło tylko, równie jak krew Kościuszki, zakwitnąć kwiatem z ognia i szkarłatu: wydać owoców i zatryumfować nie mogło. Mózg, ukształcony w nowej szkole obywatelstwa i patrjotyzmu, był mózgiem mniejszości. Konstytucja Majowa była raczej zamachem jednostek na powszechną ciemnotę ogółu, niźli ogółu tego wiarą i przekonaniem. Czyn Kościuszki był wysiłkiem rozpaczliwym, który rozbił się nietyle o przemoc wroga, ile o twarde czerepy obskuranckiej szlachty.

To też tragedja Rzeczypospolitej stała się przedewszystkiem tragedją tego szczupłego grona inteligencji, która wypiastowała w swej głowie zbawczą myśl reformy, śniła o ratunku dla ojczyzny, widziała niebezpieczeństwo, lecz nie znalazła sił, by je odwrócić. I ponieważ nie mogła Polski ocalić, więc nie o wiele zdołała ją przeżyć.

Gdy król, nazajutrz po upadku państwa, udaje się pod skrzydła imperatorowej; gdy hetmani na służbę obcych dworów przechodzą, gdy magnaci, jak z goryczą rejestruje Szujski, spokojnie w swoich zamykają się dobrach, a brać szlachecka przeważnie utratę niepodległości zaciskaniem niewoli chłopskiej sobie wynagradza, oni jedni, ci, którzy byli mózgiem Polski,

dowiedli, że posiadali też serca, będące sercem Polski. Nie mogli znieść widoku pohańbienia tej, którą kochali. Kniaźnin zwarjował. Zabłocki został mnichem. Naruszewicza smutek sprowadził do przedwczesnego grobu.

A iluż z tego samego zastępu poległo na pobojowiskach, ilu skonało z ran, ilu powleczono do więzienia zaborców? Iluż wreszcie skazanych na wygnanie lub wygnańców dobrowolnych podjęło tę wędrówkę tułaczą po obcych krajach, która odtąd na lat sto była wędrówką myśli polskiej, najistotniejszą ducha polskiego historją?

Umysły, wstrząśnięte katastrofą rozbiorów, nie wierzyły w możność osobistego szczęścia, skoro szczęścia nie było w ojczyźnie. Poniosły w obszar obcego świata swój niepokój, swoją mękę i swoją dozgonną tęsknotę. Z nich to — z tych uczuć, z tych przeżyć — narodziło się to wszystko, co było w dziejach naszej niewoli buntem przeciwko niej, co było w dziejach tych szczytne i piękne. Stąd wyrosły legjony, przednia straż nostalgji polskiej za wolnością; stąd lot wzięła wielka poezja nasza; stąd wyszła demokracja polska, stąd szedł niestłumiony pęd niepodległości; to, czem żyła Polska w najczarniejszych nocach; to, co pozwoliło jej przetrwać i doczekać się świtu wyzwolin.

Dzień Trzeciego Maja, święcony w Polsce na pamiątkę wielkiej Reformy z końca poza przeszłego stulecia, słusznie nazwany być może świętem mózgu polskiego: mózgu, który ocknął się był zapóźno, by

śmierć państwa powstrzymać, ale dość wcześnie, by mu zapewnić zmartwychwstanie.

Mózg polski, który wraz z pierwszą falą emigracji wywędrował z kraju i który potem tyloma nowemi falami zeń odpływał, nie został dla kraju stracony. I nie został stracony plon jego pracy. Odsiecz dla Polski, jaka przyszła z Zachodu, była jego także zasługą. Przyszła stamtąd, skąd on jej wzywał. Wyrosła z tych sił, do których on się odwoływał.

Jest rzeczą słuszną i zrozumiałą, iż Rzeczpospolita, powstawszy do bytu, musiała nasamprzód byt ten obwarować. Musiała zatroszczyć się o cały szereg spraw, stanowiących o jej istnieniu.

W szeregu tych spraw stanęła także doniosła troska o surowce.

Węgiel, drzewo, kruszce, nafta i zboże zajęły należne sobie miejsce w hierarchji bogactw narodowych.

Ale czyż zajął je także i ten surowiec, bez którego wszystkie inne są tylko podścieliskiem wytwórczości, ale nie stanowią organizmu twórczego w istotnem tego słowa znaczeniu? Śród wszystkich, posiadających wagę nadzwyczajną, czy stanął w ognisku trosk państwowych ten, który ma wagę jedyną?

Opłakane warunki bytu, w jakich znalazła się nietylko sfera ludzi, reprezentująca pracę umysłową w Polsce, ale sama polska myśl pracująca, dają na pytanie to odpowiedź wysoce niepokojącą; wątpliwą, jeśli nie zgoła przeczącą.

A przecież mózg, jeśli chodzi o porównawczą tablicę wartości użytkowych, wytrzymuje próbę współza-

wodnictwa z każdym innym surowcem, a jednocześnie przewyższa je wszystkie razem: jest najpotężniejszym akumulatorem promieni słonecznych, jaki zna historja naturalna. Jest on źródłem światła i ciepła, jak węgiel dobywany z kopalń; promienie jego atoli oświetlają nietylko wnętrza domów i ulice miast, ale także przeszłość i przyszłość narodu; ogrzewają nietylko pałace, chaty i suteryny, ale i niedolę bezdomnych. A siła, która jest w nim zawarta, pędzi nietylko koła maszyn, ale i koła historji. Nietylko porusza warsztaty, ale posuwa też naprzód dzieło postępu.

Koroną zaś jego wartości jest spoczywająca w nim rękojmia, że te wszystkie czynniki i źródła bogactw, które tkwią w ziemi naszej, będą nam, nie zaś innym, nie obcym, służyły.

Niepodległość bowiem, nic to innego, tylko mózg narodu, stojący na straży swoich zwierzchniczych, swoich koronnych praw i atrybutów.

Dlatego to wszelkie praw tych nieposzanowanie jest czemś więcej, niż krzywdą narodu; jest buntem przeciwko państwu. Zamach na prawa mózgu jest zamachem stanu. Zniewaga myśli w narodzie jest obrazą majestatu Rzeczypospolitej.

Dlatego to Targowicę, która zabiła myśl 3 Maja, pamięć pokoleń obarczyła nietylko piętnem bólu, jako dzieło ciemnoty, ale i wyrokiem przekleństwa, jako dzieło zdrady.

W DUSZY STAROŻYTNEJ ROMY.

Przeczytałem maleńką rozmiarami książkę, zaledwo pięćdziesiąt kilka stron liczącą, i wciąż zostaję pod wrażeniem dziwnego jej uroku. Zdaje mi się, że mnie ktoś głębiej osadził u podstaw mojej ojczyzny duchowej; że za czyimś przewodem bliżej dotarłem do źródła duszy polskiej.

Tą książką jest praca prof. Tadeusza Zielińskiego p. n. „Idea Polski w dziełach Sienkiewicza".

— Sienkiewicz?... Idea Polski?... — zawoła z góry niejeden zawiedziony poszukiwacz sensacji — a cóż można na temat ten powiedzieć, coby dziesięciokrotnie nie było już do samego dna wypowiedziane? Od czasu, gdy przez łamy krytyki literackiej przewaliła się wielka, wszczęta przez Stanisława Brzozowskiego, burza dyskusji co do wartości dzieł Sienkiewicza, wszystkie mocne i wszystkie słabe strony jego dorobku zostały, zdawałoby się, dostatecznie wyświetlone i podsumowane. Do rozprawy krytycznej stanęły w szrankach wówczas najtęższe siły po obu stronach: i wielbiciele Sienkiewicza i fanatyczni jego przeciwnicy sięgnęli do ostatecznych argumentów swego arsenału. W ogniu krzyżujących się pocisków każdy nerw, każde

włókno twórczości najpopularniejszego na ziemi polskiej pisarza zostało raz na zawsze, zdawałoby się, zbadane, rozebrane, na pierwiastki rozłożone i znowu w całość związane: cóż w dziełach Sienkiewicza pozostało jeszcze, coby przez ten trybunał krytyczny nie było wysłuchane, dostrzeżone i na jaw dobyte?

— Co w nich pozostało?

— Pozostała — odpowie nam Zieliński — rzecz niebylejaka: Polska. Tak jest. Niedostrzeżona i nietknięta przez krytykę pozostała sama idea Polski, żyjąca w utworach Sienkiewicza; Polski niezależnej od form politycznych, społecznych, ba nawet religijnych, które ją oblekają; ujmowanej w najgłębszym rdzeniu jej etnicznej, plemiennej istoty.

Polska, jako nieśmiertelny akord w rozległych chórach stuleci: oto myśl przewodnia, która, wedle Zielińskiego stanowi trzon całej twórczości Sienkiewicza. O czembykolwiek pisał on — o Warszawie, Afryce, Ameryce, o Pentronjuszu i Neronie, o Zygfrydzie von Loeve, o żelaznym Jaremie, czy o Połanieckich — o wszystkiem pisze, mając na widoku Polskę. Mówi rodakom: oto, jacy byliście ongi; oto, jacy staliście się teraz; postanawiajcie tedy, jakimi chcecie być! A jednocześnie rzeszom czytelników swoich — niepolaków mówi: oto kto zacz jesteśmy — rozstrzygajcie teraz, czy naród nasz może być pełnoprawnym członkiem rodziny europejskiej.

Akcja powieści sienkiewiczowskich rozgrywa się na olbrzymim obszarze czasu dwóch tysięcy lat: ogarnia

ona okres, sięgający od Rzymu cezarów — przez średniowiecze i erę nowożytną — do naszych niemal dni.

Zazwyczaj krytyk, pragnący zorjentować się w literackim dorobku pisarza, szereguje utwory jego w kolei ich powstawania: idzie za biegiem życia autora. Skroś rozwój tematu śledzi rozwój człowieka. Inaczej postępuje Zieliński. Odwraca on i burzy ten pospolicie przyjęty porządek. Aby jaknajdobitniej uwydatnić w dziełach Sienkiewicza ideę kierowniczą, rozpatruje on je nie w następczości ich powstawania, ale w historycznej następczości ich treści: idzie za biegiem rozwijanego w nich tematu.

W myśl tego planu, uwaga jego zatrzymuje się przedewszystkiem na dziełach Sienkiewicza poświęconych światu starożytnemu, mówiąc ściślej, na jego znakomitej powieści — „Quo Vadis" — wobec której bledną ostatecznie już same przez się mało znaczące nowele z tejże dziedziny.

Lecz gdzież tu jest miejsce na realizację owej sienkiewiczowskiej idei przewodniej, którą, zdaniem Zielińskiego, ma być Polska? Wszak w czasach pierwszych cezarów Rzymu i pierwszych apostołów chrześcijaństwa nie istniało jeszcze państwo polskie, nie istniał jeszcze, jako indywidualność historyczna, naród polski. Tak, oczywiście; jako określona na scenie dziejów persona dramatis, Polska urodziła się znacznie później: długiemi wiekami, na twardem kowadle zadań i niebezpieczeństw wykuwały indywidualność jej miecze Chrobrych i Krzywoustych, księgi prawa i księgi ewangelji. Ale czyż nie istniały już wtenczas, w epoce

cezarów, pierwiastki, z których miała powstać i rozwinąć się Polska? Otóż, dwa takie pierwiastki istniały niewątpliwie, — i to w postaci wyraźnie skrystalizowanej. Były to: cywilizacja rzymska i chrześcijaństwo. Któż obu tym czynnikom odmówi uznania przemożnego wpływu na kształtowanie się narodowości polskiej? Oba one legły u podstaw naszego dziejowego bytu: oba krążą po dzień dzisiejszy w naszej krwi, jako jej zasadnicze składniki.

Co więcej: zarówno kultura rzymska, jak chrześcijaństwo, spotykając się na ziemi polskiej, stały się pierwszemi dźwigniami indywidualizacji zamieszkałego na niej ludu: one odrębnym i luźnym szczepom dały wewnętrzną więź moralną, a jednocześnie powstałą na tej drodze całość oblekły w kształt zewnętrzny; budząc do życia słowiańską samowiedzę ludu, uodporniły go przeciw germanizmowi, a zarazem, wyodrębniając go śród morza słowiańszczyzny, z tworzywa plemiennego przeistoczyły w określoną jednostkę narodową.

Jeśli się zważy ten kształtotwórczy udział Rzymu w dziejach Polski; jeśli się zważy dalej, że przodkowie nasi zaczerpnęli światło chrystusowe także z romańskiego, nie zaś z bizantyńskiego ogniska; że przeto Rzym działał na nas i jako tradycja świecka i jako tradycja religijna; jeśli się zważy to wszystko, czyż nie wypadnie zgodzić się z tezą Zielińskiego, że starożytność Rzymska poniekąd była jakgdyby starym testamentem polskości?

Owóż tę prawdę przeczuł Sienkiewicz, poszukując

pierwszego brzasku Polski w duszy starożytnego Rzymu.

Tam, w duszy Miasta Wiecznego, gdzie spoczywały utajone losy przyszłych wielkich narodów Europy; w tej duszy, która była kolebką ducha nowożytnej Francji i Brytanji, Włoch i Helwecji, tam, w głębiach tej duszy drzemał przed urodzeniem również genjusz polski, w postaci swych zaczątkowych pierwiastków, przez tę właśnie wspólną kolebkę rzymską spokrewniony z wielką rodziną ludów Europy zachodniej.

Nie zdziwi nas już teraz oryginalne odkrycie Zielińskiego: Polska, będąca jedyną zbiorową bohaterką Trylogji i Krzyżaków, jest bohaterką także powieści „Quo vadis". Taka, zdaniem przenikliwego krytyka, była najgłębsza, nie wszystkim może dostępna, ale istotna intencja twórcza Sienkiewicza.

W jakiż sposób i z jakich obrazów powieści owa intencja wyziera?

Bohaterką „Quo vadis" zrobił Sienkiewicz, jak wiemy, osobę niehistoryczną — Ligję. Owa Ligja była córą wodza barbarzyńskiego plemienia Ligów, wydaną w charakterze zakładnicy rzymskiemu namiestnikowi prowincji Naddunajskiej; ponieważ ojciec jej poległ w boju i zwracać jej nie było komu, namiestnik odesłał ją razem z wiernym jej sługą, wielkoludem Ursusem, do Rzymu, do siostry swej, Pomponji Greciny, która, będąc chrześcijanką, przyjęła i tę wychowanicę swoją na łono nowej wiary.

Lecz któż to byli Ligowie?

Uczony badacz dr. Wojciech Kętrzyński, w swej

pracy niemieckiej o Ligach, w roku 1881, starał się wykazać, że owi Ligowie, znani z Tacyta, są tożsami z Lechitami, t. j. praszczurami Polaków. Teorję tę inny uczony, prof. Ptaszycki, nazywa „równie dobrą, jak wiele innych, podobnych do niej"; rzeczywiście, w niczem nie przeczy ona danym historycznym.

Czy tak było w istocie, to — zagadnienie nauki, przytem bodaj, niepodobne do rozwiązania. Poecie, jakim był Sienkiewicz, zupełnie wystarcza sama już możliwość. I, niezawodnie wybór jego dlatego zatrzymał się na dziewicy z dzikiego plemienia Ligów, że, idąc za hypotezą historyka, widział on w owych Ligach prarodziców Polski.

Nim nad Wisłą i Wartą, w szyszakach drużyn bolesławowych, odbiło się słońce polskie, nim wzeszło nad puszcze i jeziora, przedporanne zorze tego słońca ukazał nam poeta na niebie rzymskiem, odbite w modrem, jak toń jezior, spojrzeniu Ligji, w wiernem, jak stal zbroi, spojrzeniu Ursusa.

*

A więc Ligja, to — Laszka.

Jakże odmalował ją Sienkiewicz w jakie wyposażył barwy?

Tak, jak maluje się zapowiedź, obietnicę, jutrzenkową rosą błyszczący pąk dzikiej róży o wiośnie.

Należy zwrócić uwagę — podkreśla Zieliński — na tę subtelną, wstydliwą powściągliwość, którą autor ujawnił, malując jej postać. Sam on w powieści swej nazywa ją wiosną. Wszystko w niej oddycha wiosen-

nym nastrojem pierwszego budzenia się ku świadomemu życiu. W tej wiośnie, w tej świeżości jest przecież zarazem powiew jakiejś tajemniczej potęgi. Czytelnik czuje instynktownie, że ta królewna młoda nosi w piersiach młodość swego ludu i dziewiczość swej ziemi. Poza tem, powstrzymał się on od nazbyt wyraźnych, nazbyt jaskrawych rysów. Jego Ligja to — tkliwe i czarowne w swej tajemnicy naczynie drzemiących możliwości, którym przyszłość daleka dopiero podać ma skrzydła rozwoju.

*

Zdawałoby się, że krytyk może już w tym punkcie uważać tezę swoją za udowodnioną; a jednak nie pomija on sposobności, aby autora „Quo vadis" przychwycić na jednej jeszcze sfinksowej zagadce.

Quo vadis? — po polsku: Dokąd idziesz? Co znaczyć ma to w nagłówku zawarte pytanie? W ścisłem znaczeniu tytuł ten zrodził się ze znanej legendy o widzeniu Piotra apostoła, uwiecznionej w kaplicy na via Appia. W powieści wszakże jest to tylko nieduża, czysto epizodyczna scena, niejako ozdoba bez związku z jej częściami głównemi: trudno przypuścić, oczywiście, aby ona zrodziła nagłówek tak olbrzymiej kompozycji. Nie. Nagłówek ten wyrasta z głębszych pokładów powieści, a raczej z samych jej założeń.

Sienkiewicz, wyczarowawszy postać Ligji z przedstworzennych mgieł polskości, niby lilję z dna jezior kryształowych, zatrzymuje wzrok na tej symbolicznej przedstawicielce wczesnego dzieciństwa swego narodu,

tonie oczyma w jej oczach i w sposób naturalny zamyśla się nad tem, jakie będą dalsze jej kroki na widowni dziejów.

— Ligjo-Polsko — pyta — quo vadis?

Odpowiedź na to pytanie, poczęści, dał sam Sienkiewicz, tworząc cykle powieści historycznych, w których odbite są kolejne etapy pochodu Polski skroś stulecia. „Krzyżacy" — „Trylogja" — „Legjony" — wreszcie obfity plon powieści i nowel, osnuty na tle doby współczesnej: oto dzieła, w których Sienkiewicz, idąc za wątkiem historji, doprowadził czytelnika, przez średniowiecze, przez wiek XVII-ty, przez legjony Dąbrowskiego, przez „wiry" Płoszowskich, Połanieckich i Grońskich, niemal do proga ostatniej chwili przedwojennej.

Od owej chwili, na stawione przez Sienkiewicza pytanie, odpowiada nam już bezpośrednio stająca się w naszych oczach rzeczywistość polska.

*

Ze wszystkich dzieł Sienkiewicza największy rozgłos w Europie zyskała powieść „Quo vadis". Zwłaszcza we Francji, Włoszech i Wielkiej Brytanji, to jest w krajach, wyrosłych na podkładzie kultury romańskiej, lub z nią spokrewnionych.

Ten rozgłos powodzenia, swego czasu, cieszył nas, jako dowód żywego, czynnego związku Polski z ludami zachodniemi. Dziś, w świetle rozprawy prof. Zielińskiego, sięgnąć możemy o wiele głębiej w naturę tego dodatniego zjawiska. W tryumfach Sienkiewicza nie-

wątpliwie było coś więcej, niż tryumf pisarskiego talentu. Francuzi, Włosi, Anglicy, niebywałem darząc uznaniem dzieło autora polskiego, witali w nim symbol wspólnego swego pochodzenia, witali w nim świadectwo braterstwa, zadzierzgniętego ongi — u stóp krzyża Chrystusowego — w duszy starożytnej Romy.

VIA DEI POLACCHI.

Polska, odzyskując niepodległość, wracając w posiadanie utraconych lub rozproszonych po świecie praw, rzeczy i pamiątek, odzyskała też i ten okruch swego starodawnego w Rzymie obywatelstwa. Dom i połączony z nim kościół pod wezwaniem patrona swego, św. Stanisława.

Dom i kościół, stanowiące coś więcej, niż sędziwą pamiątkę, i coś droższego, niż pozycję, odzyskaną w księdze hypotecznej Wiecznego Miasta!

Nietylko pielgrzym, poszukujący w Rzymie uświęceń wiary, pomników sztuki lub życia nowego obietnic, ale zwyczajny z Polski przybysz, gdy z rozległej „Piazza Venezia" zbłądzi w pobliże ciasnych zaułków i trafi oczyma na wąziutką ulicę „dei Polacchi", zatrzymać się będzie musiał przed gmachem, ozdobionym tablicą, na której przed wiekami wyryto nazwę jego narodu.

Ta nazwa uderzy go, jak głos żywy, idący z głębi przeszłości i wołający go po imieniu. Na głos ten zadrży, rozejrzy się dokoła, odetchnie oddechem wspomnień ważkich, jak stulecia.

Trudno o dobitniejszy wizerunek, uosabiający koleje, jakim w ciągu dziesięciu pokoleń ulegały na obczyźnie imię i powaga narodu polskiego, niż ten szary, zaniedbany dom, noszący na swem czole wypisany rodowód dumy i świetności: rok 1580!

Nie przypadek to sprawił, że rok będący datą fundacji Domu św. Stanisława w Rzymie, był rokiem najwyższej państwa polskiego potęgi: rok zwycięstwa pod Wielkiemi Łukami i wiekopomnej na Psków wyprawy! Rok „Trenów" Kochanowskiego! Rok, wreszcie, w którym król Stefan w Wilnie otrzymuje w darze od papieża czapkę rycerską i miecz.

Związane z fundacją imiona Anny Jagiellonki tudzież biskupa warmińskiego, Stanisława Hozyusza, wprowadzają nas w ognisko tej najżyźniejszej tradycji kulturalnej, którą Polska od czasów Zygmuntowskich zawdzięczała współżyciu duchowemu z Italją.

Pokaźna być musiała naówczas liczba synów sarmackich, rok rocznie wędrujących do Rzymu, skoro aż gmach osobny wypadło dla nich fundować, aby w obcem mieście znaleźli gościnę i przytułek. Dwa obok siebie zawieszone godła — orzeł polski tudzież klucze Piotrowe — widniejące na frontonie kościoła św. Stanisława, mówią dziś jeszcze o tem ścisłem w dawnych czasach przymierzu Rzeczypospolitej z Rzymem Juljuszów i Aleksandrów. Gdy wielu Włochów uczonych z upodobaniem krzewiło myśl swą w Polsce pod osłoną berła Jagiellonów, jednocześnie dwory i wszechnice włoskie jaśniały od najprzedniejszych umysłów polskich, które z genjuszami Florencji i Rzymu szły w za-

wody na polach sztuki, nauki, dyplomacji. Jako gwiazda dyplomacji papieskiej przez wiele lat na firmamencie rzymskim świecił właśnie nasz fundator Domu świętego Stanisława: Pius IV, wcześnie zdolności Hozyusza oceniwszy, miał w nim jednego z najgłębszych powierników w naradach i przygotowaniach do soboru powszechnego. Używał go też często za posła w stosunkach z dworem wiedeńskim i praskim. Podczas soboru Trydenckiego Hozyusz, kapeluszem kardynalskim ozdobiony, stanął w szeregu najważniejszych osobistości, jako jeden z prezydentów tego zgromadzenia. Zaledwie zaś sobór się ukończył, Hozyusz w najostrzejszą zimę pogonił do Polski, aby zaprowadzić w swojej djecezji jego uchwały: tak ścisłe było tętno współżycia między Zachodem a Polską, taki pośpiech w obiegu reform, we wzajemnej wymianie ludzi, idei i nakazów!

Kościół podówczas był jeszcze czemś więcej, niż organizacją życia religijnego: był najżywotniejszą, najstarszą instytucją powszechności i kultury; najbardziej pieczołowitym piastunem humanizmu. Sobór Trydencki miał stać się dopiero punktem zwrotnym w dziejach Rzymu papieskiego: przełomem, z którego wyrośli jezuici, z którego wyłoniła się inkwizytorska przeciw ideałom Renesansu nieufność. Wszelako w owych latach, gdy biskup warmiński zakładał swą fundację, gdy, dzięki poparciu królowej, wyposażał ją i zaopatrywał w środki materjalne, nad Rzymem świeciły jeszcze wspaniałe łuny wielkich twórców Odrodzenia, którzy myśl religijną usiłowali spiąć w syntezę z myślą świecką humanistyczną.

Odblask tej samej wspólności spoczął też i na fundacji Hozyuszowej. Dom św. Stanisława, pomyślany jako Hospicjum dla pątników, niosących z Polski dary uczuć pobożnych do Rzymu, zaliczony był od początku do kategorji „Opera pia", t. j. zakładów dobroczynnych pozostających w opiece kościoła katolickiego. Atoli uczucia owych rzesz pątniczych, które spalały swe ofiary na ołtarzach Romy, dalekie były od uwielbień pokory i wyrzeczenia, jak same zresztą ołtarze „cinquecenta" dalekie były od ascezy pierwotnego chrześcijaństwa. Rzym ówczesny nie poprzestawał na dziedzictwie ubogiego cieśli z Nazaretu: czuł się także dziedzicem berła cezarów. To też polskie Hospicjum przy zbiegu ulic „dei Polacchi" i „delle Botteghe Oscure" dawało gościnę zastępom młodzieży, która nietylko modlić się umiała i korzyć przed potęgą Bożą, ale śniła o tem, aby część tej potęgi „przywłaszczyć" (jak powie Konrad mickiewiczowski) i aby tą cząstką kraj własny dźwignąć i uszczęśliwić.

Nienapróżno Hospicjum stanęło u stóp Kapitolu, tej odwiecznej siedziby mocy i panowania ludzkiego na ziemi! Schyłek wieku XVI: wszak było to owo pokolenie polskie, z którego dłoni paść miały pioruny ostatnich — przed zachodem szlachty — wielkich czynów Polski!

Świetności pochodzenia starej fundacji Hozyuszowej godne daje świadectwo miejsce, w jakiem stanęła, śród pomników dawnej i nowszej chwały Rzymu. Przylegając jak wspomniałem, do najbliższego otocza Kapitolu, posesja polska stoi w ośrodku najwspanialszych

placów: Piazza Venezia, Navona, Foro Traiano, Panteon — sprawiają, że „Via delle Boteghe Oscure" od wieków kipiała warem nieustannego ruchu.

Ale jakimż kontrastem tchnie dzisiejsza jej rzeczywistość! Dom — rzekłbyś — uległ poniżeniu wraz z upadkiem korony polskiej. Tradycje najwspanialszego w dawnych dziejach naszych momentu zamieszkują —wyznajmy bez ogródek — w ruderze, zaludnionej przez ubóstwo, a co gorsza przez nędzę, brud i sklepikarstwo. Z nor parteru, naśladujących kramy, wygląda mrok i wionie stęchlizna. Wystawione w oknie narożnej „pasticcerii" bułki i „maritozzi" zdają się zbiorem dokumentów archiwalnych. W jednej z bram osiedlił się jakiś wykolejony „vetturino", którego rozklejony pojazd dowlókł się tutaj, aby zostać na wieczny spoczynek. Obrazu upośledzenia dopełnia rozwieszona pod oknami bielizna, postrzępiona w melancholijne kształty rozczarowań i zawodów życiowych.

Czy arcyksiążęta kościoła, magnaci tudzież dostojnicy odrodzonej Rzeczypospolitej, zbierający się od czasu do czasu w kościele św. Stanisława na summach uroczystych, zdają sobie sprawę z upadku, w jakim znalazła się połączona z kościołem posesja? Czy rozumieją ból jej opuszczenia?

Dom św. Stanisława ufundowany został w tym samym mniej więcej okresie, gdy inne wielkie narody — Francuzi, Hiszpanie, Anglicy — zakładały w Rzymie dla swych artystów i uczonych ogniska i warsztaty pracy. Niewątpliwie i Polska, gdyby ostała się była przy bycie państwowym, poszłaby ich torem, rozszerzając

podstawę i zakres pierwotnego Hospicjum zgodnie z duchem rozszerzających się potrzeb. Polska Jagiellonów i Batorych nie pozostawała w tyle poza innemi narodami. Nie dałaby im się wyprzedzić też — po pewnym może zastoju — Polska wieków nowoczesnych. Zdystansował ją dopiero straszliwie okrutny wiek XIX, wiek niewoli. Dla całej Europy był to wiek pary i elektryczności; dla nas był on wiekiem spętania i bezwładu.

Rząd rosyjski nie poprzestał na rujnowaniu polskiej pamiątki w Rzymie: postanowił ją sponiewierać. W pewnem dziesięcioleciu dom św. Stanisława uległ sprzedaży z licytacji, staczając się w ręce przekupniów i spekulantów. Czuwała wszakże troska patrjotów. Dom patrona Polski został z rąk kramarskich wykupiony i ponownie ofiarowany w służbę starodawną. Nie przestała jednakże ciążyć nad nim ręka ambasady rosyjskiej. Watykan wobec carów północy był prawie bezsilny, gdy chodziło o pomoc dla Polski. Kto w Galerji Watykańskiej oglądał przepyszne wazy z malachitu, przez katów Polski składane w darze papieżom, ten pamięta, jak daleko nieraz sięgały upokorzenia Watykanu: jakże mógł on był odwrócić ciosy Mikołaja, skoro nie miał dość wstydu, aby uchylić jego dary? Mocniejszą osłonę zyskało polskie Hospicjum z chwilą, gdy w murach Rzymu stanął nowy rząd Włoch Zjednoczonych. Visconti Venosta, minister spraw zagranicznych, na postawiony przeciw mieniu polskiemu zamach wrogiej ambasady, odpowiedział stanowczym protestem swego rządu. Odtąd — w progach św. Stanisława — stanęły, niby straż wierna, duchy tych wszystkich, któ-

rzy na pobojowiskach wspólnych polegli w walce o wolność Polski i Włoch, strzegąc zabytku hojności Jagiellońskiej przeciw zaborcom. Ambasada rosyjska dopuszczona do administrowania domem, nie miała jednak prawa nim rozporządzać. Własność narodu polskiego, jak najdobitniej ze strony rządu włoskiego zaakcentowano.

Jakoż w myśl tej tradycji, w dniu odbudowy państwa polskiego posesja św. Stanisława przeszła z powrotem w posiadanie i zarząd właściwego dziedzica. Zrazu administracją domu zajęło się poselstwo polskie w Rzymie, z kolei administrację prawowitą ma objąć biskupstwo krakowskie, któremu w dawnej Polsce tytuł ten i przywilej przysługiwał.

Nie ulega wątpliwości, że tytuł własności kościoła, zgodny z tradycją wieków musi być przez państwo uszanowany. Niemniej prawdą pozostaje naglącą, że instytucja kościelna nie może ogarnąć pełni zadań i potrzeb, odpowiadających kulturze dwóch narodów oraz ich wzajemnym stosunkom. Polska, wcześniej lub później, podjąć musi pracę wyrównania tych zaległości, jakie spiętrzyły się przed nią i za nią w okresie niewoli. Po Rzymie antycznym, po Rzymie papieskim, wyrósł w wieku ubiegłym Trzeci Rzym włoskiego „risorgimenta", z którym Polska nie zdążyła dotąd zapoznać się i duchowo spokrewnić. Polska, wyrzekając się współżycia z Rzymem, musiałaby wyrzec się kawału swoich własnych dziejów. Rzetelnego atoli współżycia niema bez osobistej wzajemnej znajomości, bez osobistego kontaktu. Nim jednak państwo nasze stanie się dość

zasobne na to, aby wznieść w Rzymie akademję podobną tym, jakie posiadają inne narody, Dom św. Stanisława, służąc celom pątniczym, mógłby i powinien otworzyć drzwi swej gościnności dla tej również kategorji ludzi, którzy podróż do skarbów sztuki i pomników wielkości uważają za pielgrzymkę: mówię o ludziach pracy twórczej na polu artystycznem i historycznem.

1926 r.

PROMIEŃ CZY PIERŚCIEŃ?

Półtora dziesiątka lat dobiega kresu, odkąd uległ paraliżowi ruch budowlany w Warszawie.

Przez ten czas odwróciło się koło fortuny dziejowej; oblekł się w rzeczywistość sen o niepodległości; wyrosła dusza nowego pokolenia; zatętniła na nowych drogach rozwoju myśl i praca; błysnęły talenty wodzów i gospodarzy; dokonało się niemal dzieło zjednoczenia; jęła odnawiać się treść i forma całych obszaróów życia, ale... ...ale Warszawa, ale stolica, która tym obszarom przewodniczy, nie wyszła sama poza mury z przed lat dziesięciu, uwięziona — rzekłbyś — w ciasnej obroży kamiennego ucisku, w jakim zaskoczyła ją wojna!

Warszawa, odbudową państwa pochłonięta, zapomniała o własnej odbudowie. Była robotnicą przy twardym warsztacie Rzeczypospolitej; nie poczuła się dotąd królową, mającą prawo do chwały i do klejnotów, przedewszystkiem zaś do wielkości.

Nie będę wyliczał tych wszystkich przyczyn, które złożyły się na wieloletni zastój budowlany w obrębie miast naszych, zwłaszcza Warszawy. Wolę spojrzeć w przyszłość i ropocząć od horoskopu, że zadania, tak srodze zaniedbane, nie omieszkają srogiego i gwałtownego wziąć odwetu.

Wszelako, nietylko Polska i jej stolica jest ofiarą powojennego zastoju: w tem samem, co ona, położeniu są wszystkie znaczniejsze miasta Europy, te zwłaszcza, które z zawieruchy światowej wyniosły nową, wyższą rangę polityczną. Bukareszt, Praga, Belgrad, Bruksela, Medjolan, Rzym tak samo, jak Warszawa, rozsadzają swe mury, nazbyt szczupłe i skromne dla zadań, które im przypadły w udziale. Do serji tej zaliczyć wypada także Wiedeń, którego żywotność przetrwała koronę Habsburgów i na gruzach dawnej monarchji zda się nową wyłaniać ze siebie erę pomyślności: miasto, które było polityczną stolicą Austrji, przeistacza się szybko w handlową stolicę całej Europy środkowej.

Powszechność kryzysu, jaki nad miastami Europy zaciążył, potęguje poniekąd rozmiary związanej z nim gorączki mieszkaniowej, nadając jej charakter epidemji powojennej, ale z drugiej strony do walki z tą klęską powołuje siły i środki wielu narodów i każdemu z nich pozwala korzystać z doświadczenia wszystkich.

Nie można, rzecz prosta, pomijać doświadczeń na tem polu dwu największych ogromów miejskich: Londynu i Paryża, trzeba jednakże wyznaczyć im miejsce

osobne. Pierwszy, ze swą niepomierną liczbą 9 miljonów ludności, sięga poza krawędzie Europy i w rozwoju swym podlega rytmowi czynników raczej planetarnych, niż krajowych. Co zaś do Paryża, posiadającego 4 miljony mieszkańców, to liczba ta oraz obszar miasta są raczej zbyt wielkie dla narodu czterdziestomiljonowego. Paryż do pewnego stopnia, przerósł granice naturalnego rozwoju, nawet jeśli się zważy jego pewną funkcję wszechświatową i jego pomyślne położenie geograficzne. Jakoż stolica Francji, w odróżnieniu od stolic innych krajów, przestała lub prawie przestała się rozrastać.

I w tem, nie bez chwały, odbija się znamię Francji obecnej: pełnia jej dojrzałości, potęgi i kultury. Gdy inne, poza nią, kraje i narody są na dorobku, ona, syta sławy, podbojów i władzy, może poprzestać na sobie, i ma prawo na sobie poprzestać. Jej dążeniem niewzruszonem jest utrzymanie tego, co posiadła; za chowanie tego, czem stała się dla świata. Konserwatyzm stał się ostatniem słowem tej niepohamowanej ongi rewolucjonistki; konserwatyzm stanowi duchowe oblicze Francji wieku XX. Paryż jest oblicza tego zwierciadłem.

Lecz jeśli stolica nadsekwańska jest obecnie doskonałym wyrazem równowagi, osiągniętej w stosunku do swych zadań państwowych i międzynarodowych, to w wieku minionym dała ona obraz błyskawicznego wprost rozwoju. Dość wspomnieć, że sto lat temu Paryż dosięgał zaledwie liczebności dzisiejszego Rzymu, a nie przekraczał rozmiarów obecnej Warszawy.

To też, polegając na tej skali rozwoju i biorąc pod uwagę swą 40-miljonową ludność, Włosi zupełnie słusznie przewidują, że w obrębie jednego lub dwu pokoleń stolica ich dosięgnie dwu miljonów.

Czyż będzie przesadą wróżba, że w tymże okresie czasu podwoi swoją ludność Warszawa?

Ale tu w całej pełni staje przed nami nowość zagadnienia. Podwoić obszar miasta? Miasto jest organizmem żywym. Ma swój ośrodek, niby serce, miarowym uderzające rytmem; ma swój system krwioobiegowy w postaci ulic, które, niby tętnice, rozprowadzają fale ruchu po całym obwodzie. Podwoić miasto, znaczy to coś więcej, niż jego wielkość dzisiejszą pomnożyć w dwójnasób! Aby je podwoić, nie wystarcza zbudować drugie tyle: należy przebudować całość. Należy ośrodek miasta uzgodnić, sharmonizować z obszarem nowo-powstającym.

Inaczej ośrodek ten ze swoją dawną siecią ulic wąskich i ciasnych nie sprosta zadaniom tętna, i albo zostanie przygnieciony ciężarem i masą ogniskującego się w nim ruchu, albo będzie przez ruch ten zgoła pominięty i wyrzucony poza obręb nowoczesności. Dlatego to miasta szybko wzrastające, jak Paryż, okupywały wzrost swój ruiną i burzeniem całych kwartałów, których zaułki staroświeckie ustępować musiały rozległym, powietrznym placom i szerokim, perspektywicznym alejom.

To jednakże, na co mógł sobie pozwolić Paryż zeszłego wieku, jest niedostępne dla miast dzisiejszej powojennej ery. Jakże tu burzyć, gdy każdy dom, każde

mieszkanie jest skarbem nieocenionym! Jakże burzyć, gdy nietylko już najistotniejszy instynkt życia, ale bodaj sama rozpacz życia woła: Budować! budować! budować!

Jeżeli był w Warszawie gmach, skazany na zburzenie wyrokiem bezwzględnego prawa, to był nim sobór na placu Saskim: a przecież postanowiliśmy zburzyć go dopiero wtenczas, gdy sam się zaczął walić.

Nic nie burzyć, lub burzyć jaknajmniej, a jednocześnie zachować w dotychczasowem napięciu żywotności i w dawnej powadze uroku ośrodek miasta, oto dwa naczelne wymogi, które przewodniczyć muszą wszelkim racjonalnym planom rozbudowy stolic dzisiejszych.

I wszystkie, niezawodnie miasta z postulatami temi mniej lub więcej się liczą. Żadne atoli nie jest zmuszone w swym planie regulacyjnym brać ich w rachubę tak ściśle, tak skrupulatnie, żadne nie jest zmuszone wynikającemu stąd problematowi dać rozwiązania tak precyzyjnego, jak szybko rosnąca stolica nowej Italji. Przyroda, tradycja, historja i polityka Rzymu złożyły się na splot najtrudniejszych w zakresie rozbudowy zadań. Trudności, występujące gdzieindziej osobno, lub pewnemi grupami, tu, w Rzymie, spiętrzyły się wszystkie naraz, wystawiając jakgdyby na heroiczną próbę budowlany genjusz włoski.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Kapitol — świadek trzydziestu stuleci — stanowiący centrum Rzymu, musi tem centrum pozostać. Detronizując Kapitol i przyległy doń plac Wenecji, Rzym zdetronizowałby sam

siebie. Ale jest rzeczą również zrozumiałą, że żaden gmach, żaden prawie kamień w otoczu tego centrum nie może być ruszony z miejsca, nie może być zwalony dla uzyskania szerszej przestrzeni i światła. Nad każdym tutaj głazem czuwa zbożna pamięć wieków. Zagadnienie wielkomiejskiego ruchu oraz jego potrzeb rozwiązać należy, nie niszcząc tego dostojnego ogrójca ulic, w którym narodziła się zorza cywilizacji europejskiej.

Czy pokoleniu obecnemu uda się rozwiązać ten niebywale trudny rebus architektoniczny?

Faktem jest, że poszukiwania i próby, jakie na tem polu podjęto od dłuższego czasu, są nadzwyczaj ciekawe i stanowią istną skarbnicę projektów, wskazań i pomysłów, mogących mieć zastosowanie w innych także krajach. Jak rzekłem, sprawa rozbudowy Rzymu jest niejako syntezą tych poszczególnych trudności, z jakiemi łamią się inne miasta, a w ich liczbie i Warszawa.

Trudność pierwsza, najistotniejsza — od jej bowiem rozstrzygnięcia zależy cała przyszłość miasta — polega na wyborze typu rozbudowy. Typów tych jest bardzo wiele, wszystkie jednakże dadzą się sprowadzić do trzech wzorów zasadniczych, dających się zilustrować na przykładzie miast takich, jak Medjolan, Wiedeń i Paryż. Każde z nich — to pomnik odrębnego rozwoju budowy.

Medjolan, ze swem wielkiem centrum — wspaniałym placem katedry (Duomo) — z wielkiemi arterjami, które jak promienie ze wspólnego ogniska rozbie-

gają się ku obwodowi, służyć może za najdoskonalszy okaz miasta, zbudowanego wedle typu promienia. Jest to typ budowy najprostszy. I ten, ktoby zakładał miasto nowe od fundamentów, nie potrzebowałby szukać innych wzorów. Musiałby jednak, kreśląc plan ogólny, wnieść ważną poprawkę do tego systemu, jaki nam stawia przed oczy rozwój naturalny. Zamiast uliczek wązkich w centrum, a szerokich i coraz szerszych w dzielnicach nowych, należałoby, odwracając ten kierunek, dać w centrum arterje najszersze, uszczuplać zaś ich łożyska w miarę posuwania się ku wylotom zewnętrznym.

Drugim typem konstrukcji jest typ Wiednia. Starodawna część miasta wraz z kompleksem staroświeckich, mniej lub więcej ciasnych uliczek, ożywionych ruchem umiarkowanym, zajmuje część środkową; wokół niej zaś biegnie rozległy pierścień (Ring), ogniskujący w sobie ruch i życie, a zarazem rozprowadzający je po obszernych kwartałach peryferji. Poza tem, Wiedeń posiada jeszcze wtóry obwód, niby pas zewnętrzny (Gürtel): jest to więc miasto o budowie opartej na typie pierścienia.

Trzeci typ — Paryż — stanowi formę pośrednią między Medjolanem a Wiedniem. W swoich słynnych bulwarach reprezentuje typ pierścienia, acz niekompletny; dokoła zaś Opery roztacza gwiaździsty typ promienia, acz również niekompletny. Jest więc szeregiem przystosowań, dyktowanych przez warunki olbrzymiego miasta, które, z uwagi właśnie na swą

olbrzymiość, nie pozwalało podjąć i rozwinąć planu jednolitego.

Który z tych typów miałby największe widoki realizacji w planie naszej stolicy? Promień czy pierścień ma stać się typem przewodnim jej rozbudowy? Czy może połączenie obu tych wzorów, uświetnione przykładem Paryża?

Typ promienia zaleca prostota. Ale wymaga on bezlitosnego burzenia zaułków śródmieścia, t. j. chirurgji w okolicy najczulszej. Jest bolesny i kosztowny. Typ pierścienia pozwala ocalić śródmieście, nie każe burzyć wiele, bezgraniczne zaś otwiera możliwości rozwoju. Lekki i piękny zarys tego typu mamy w budowie Krakowa, przepasanego zielonym pierścieniem Plantów. Atoli pierścień Warszawy musiałby stać się nietylko jej płucami ale i pulsującą arterją ruchu, odciążającą ruch gorączkowy śródmieścia. Ostatni wreszcie typ — mieszany — posiada tę dobrą stronę, że można się doń uciec wtenczas, gdy dwa pierwsze zawiodły.

Regulacyjny plan wielkiej Warszawy jest pono gotów i spoczywa w tece Magistratu. Nie wszedł jednakże dotąd w okres realizacji. Poczęty zaś był wtenczas, gdy Rzeczpospolita nie miała jeszcze ustalonych granic, a skarb jej ustalonej podstawy. Być może, jest to plan doskonały. Ale radzibyśmy go sprawdzić dzisiaj, w świetle nowych środków, jakiemi Polska rozporządza i w świetle nowej wiary, jaka ją ożywia. Rozwój i przyszłość Warszawy nie jest tylko zagad-

nieniem tego jednego miasta; jest zagadnieniem całego państwa.

Z wysokich okien Ratusza na placu Teatralnym Warszawa długo jeszcze wydawać się może uległą i skromną poddanką, nawykłą do biernego posłuchu. Ale ta poddanka — pomnijmy — jest dzisiaj stolicą wielkiego państwa, zwornikiem naszej jedności, panią i królową miast całej Polski.

1928 r.

POPAS KRÓLA JEGOMOŚCI.

W zasadzie, cóż można mieć przeciwko królowi? Zwłaszcza w Polsce, która miewała niegdyś królów Chrobrych, Śmiałych, Pobożnych i Wielkich? Kto przystaje na republikę, ten, w zasadzie, nie może mieć nic również przeciwko monarchji, gdyż obie te postaci rządów, w gruncie rzeczy, niewiele się od siebie różnią, a w każdym razie różnią się o wiele mniej, niż się to niejednemu wydaje. Niejedna monarchja jest utajoną republiką; niejedna republika — zamaskowaną monarchją.

Przeciw królowi w Polsce postawić można ten zarzut jedyny, że go niema i że go nie było już od bardzo dawna. Niema go, istotnie, od tak dawna, że król przestał być dla nas żywem słowem, a stał się zagadnieniem historycznem, lub marą... na witrażach Wyspiańskiego.

Stał się mniej. niż wspomnieniem, gdyż, na dobrą sprawę, nikt z nas nie potrafi wskazać, kto był ostatnim, właściwie, dziedzicem polskiej korony?

Ten, kogo ostatnim nazywa chronologja? — Ależ ten był raczej pełnomocnikiem obcego mocarstwa, niż królem Polski. Dwaj jego sascy poprzednicy? — Ci byli wierutnymi swego królestwa zdrajcami i zasługują więcej na miano okupantów Polski, niż królów. Wiśniowiecki, Sobieski, Leszczyński, kwiaty grzędy szlacheckiej, to — prezydenci dożywotni lub tymczasowi, ubrani w godła monarsze.

By sięgnąć pamięcią ostatniego króla, trzebaby cofnąć się, być może, aż do nieszczęsnego, acz niepozbawionego znamion dzielności w nieszczęściu, Jana Kazimierza. Ale Jan Kazimierz złożył za życia koronę w ręce szlachty i tym aktem abdykacji zamknął, właściwie, okres polskiego królowładztwa.

Gdy tedy mówimy o monarchji w Polsce, to mówimy o czemś, co umarło przed laty 250, i co umarło wtenczas śmiercią naturalną.

Któż z pośród tych, którzy najgłośniej dziś o króla wołają, nosi we krwi swojej tradycję dawnych Bolesławów i Kazimierzów? Któż pamięta o nich tą żywą pamięcią ciągłości, która jest włóknem we włóknach serca i tętnem w jego tętnie? I czy idea królewska przedstawia sobą coś więcej w Polsce obecnej, niż wystygłe popioły królów w podziemiach Wawelu?

Aby przywrócić do istnienia coś, co nie żyje już od trzech stuleci, trzebaby cudu większego, niż cud wskrzeszenia: trzebaby tę rzecz z niczego stworzyć po raz wtóry!

A gdzież znajdziemy dzisiaj wiarę zdolną tworzyć królów?

Piasta i Rzepichę powołali na tron — jak mówi baśń. głębsza od prawdy historycznej — aniołowie boży. Króż dzisiaj czuje u ramion skrzydła wysłanników niebieskich, aby wynieść w górę nową dynastję Piastów? Kto przechował oleje święte, aby obywatela, grającego w Monte Carlo i zalegającego w podatkach, przeistoczyć w Pomazańca i Władcę?

Tylko ten, kto się nie pochylił nad legendą, z jakiej wyrasta dynastja; kto nie ogarnął mitów, jakiemi osnuwa ją dusza ludu, ten tylko wyobrazić sobie gotów, że u kolebki królów stać może artykuł dziennikarski lub partyjny gramofon.

Ostatnim, który w Europie próbował improwizować królów, był Napoleon. Ale jego epopeja zmieniła się w maskaradę, gdy ludy, które pragnął w ten sposób uszczęśliwić, w narzuconych sobie monarchach poznały ukoronowanych podoficerów... zwycięskiego wodza.

Króla w XX wieku można otrzymać w spadku, jak rodowy tytuł, można go dziedziczyć tak, jak dziejowy klejnot; można go wreszcie pielęgnować, jak arkę przymierza między dawnemi a nowemi laty. Ale w jaki sposób zaimprowizować klejnot, będący klejnotem popokoleń? Jak przez telegraf zamówić patynę, którą daje legenda wieków?

A więc może pożyczyć u sąsiadów? Podrobić? Sprowadzić za ulgowem cłem z zagranicy?

Lecz pocóż robić komedję w życiu?

Czyż nie lepiej pójść wprost do teatru, choćby na „Popas króla jegomości”, aby ujrzeć życie w komedji?

OD WIEŻY BABEL DO... KINA

Czy kino jest przybytkiem sztuki, czy też tylko przemysłem, dostarczającym rozrywki pospólstwu, niedorosłemu do poziomu prawdziwej mowy twórców?

Jeśli takie, pełne wątpliwości pytania mogły krążyć jeszcze niedawno wśród najzapaleńszych zwolenników kina, to dziś — po szeregu wspaniałych kreacyj Konrada Veidta, Emila Janningsa, Douglasa Fairbanksa i wreszcie największego wśród wielkich Karola Chaplina, spór o rangę i honor artyzmu, który w kreacjach owych triumfuje, stanowczo już rozstrzygnięty jest na korzyść „dziesiątej" Muzy, jako nowej rewelacji piękna, równorzędnej z rewelacjami poezji, rzeźby, architektury lub muzyki.

Po okresie nowicjatu, obejmującego okres życia jednego zaledwie pokolenia. Muza kinografji wstąpiła triumfalnie na Parnas. Co więcej: ta nowa bogini wykazała taki rozmach i taki zdobywczy pęd podboju, jakich nie widziano w rozwoju sztuki oddawna!

Obraz kinograficzny jest pierwszą prawdziwie lu-

dową sztuką od chwili narodzin wielkich tumów średniowiecza, a kto wie? — może od czasu wielkich pieśni Homera.

„Gorączka złota" lub „Cyrk" jest pierwszym od brzasków eposu ludowego przykładem sztuki, jednako dostępnej dla filozofa i dla wieśniaka.

A nawet, jak słusznie podkreśla w swem pięknem studjum o „poezji kina" Andrzej Maurois, powszechność i rozlewność tej nowej twórczości przewyższa wszystko, co dotychczas osiągnięto w sztuce.

Strzeliste tumy średniowiecza podziwiane były w tej małej jedynie cząstce ludzkości, która stanowiła ówczesne chrześcijaństwo. Lutnia Homera w swych najdalszych echach nie sięgała poza świetliste łuki morza Śródziemnego.

Wstęga filmowa, malująca przygody Chaplina opasała świat cały od Barcelony do Chicago, od Warszawy do Tokjo. Zwój jej cudownych opowieści, uwiecznionych w żywym, nieśmiertelnym obrazie, przewozi łódź motorowa z wyspy na wyspę wśród koralowych archipelagów Oceanu Spokojnego. Młody Beduin Iraku, Arab z Casablanki, lub parjas z przedmieść Kalkuty, z równie ciekawą skwapliwością wyciąga rękę po afisz, zapowiadający w najbliższem kinie „Gorączkę złota".

Jakiś „kulis" chiński z doliny Jang-Tse-Kiangu, jakiś nasz rodzimy kmieć z nad Gopła, wzajem nic nie wiedząc o sobie, zabawiają w tej samej chwili towarzyszów swych pocieszną fraszką stąpania na śmiesznie zgiętych, szeroko rozstawionych nogach, wywijając jednocześnie cieniutką laską, trzymaną w dłoni, i na

dwu krańcach ziemi dwaj bezgranicznie obcy sobie ludzie spotykają się ze sobą we wspólnem imieniu Chaplina!

Sztuka, przemawiająca do całej kuli ziemskiej, sztuka przykuwająca do swej tarczy srebrnej oczy całej ludzkości, zdolna obudzić w niej wzruszenia silne i głębokie, zdolna budzić je w narodach, od tysięcy lat żyjących odrębną kulturą, odrębną wiarą i odrębnym obyczajem: czyż to nie zdobycz naprawdę zachwycająca? Czyż to nie zjawisko godne zadumy dla artystów, teoretyków sztuki i myślicieli?

Ludzkość od świtu cywilizacji dążyła do stworzenia wspólnej mowy dla wypowiadania wspólnych uczuć i myśli. Ale tragedją tych dążeń bywała zawsze tragedja Wieży Babel. Niezwalczona siła mieszała języki ludzkie wśród budowy wiekopomnego dzieła, zamieniając pomnik jedności i zgody w chaos niezrozumiałych odruchów.

Napróżno ideę wszechludzką wypisywały na swych sztandarach największe mocarstwa świata od Aleksandra i Cezara do Karola Wielkiego i Wielkiego Napoleona.

Napróżno hasła wszechludzkie głosiły płomienne usta proroków.

Ani miecz zdobywców, ani wymowa apostołów nie zatriumfowała nad rozbieżnością lądów, krajów i ludzi.

Ludzkość, ta niesforna, skłócona i kłótliwa ludzkość, której nie zdołała zjednoczyć, ani polityka, ani religja, ani dotychczasowe muzy sztuki, zjednoczyła się po raz pierwszy i wspólny posiadła język — w milczącej mowie kina!

RZĄD NIEŚMIERTELNYCH.

Znana to rzecz, iż ludzie nigdy nie są zadowoleni z tego, co posiadają.

Najmniej zaś zadowoleni bywają z posiadanych rządów.

Gdy zejdzie się razem osób kilkoro, cóż stanowi najulubieńszy temat rozmowy, jeśli nie narzekanie na błędy, zaniedbania i nadużycia władzy? jeśli nie krytyka administracji, skargi i utyskiwania na urzędy publiczne?

Skargi te i utyskiwania nie milkną w okresach najświetniejszych. Znała je wspaniała era Peryklesa, zarówno jak złoty wiek rzymskiego Augusta. Towarzyszyły one w niemniejszym stopniu wielkim zdobywcom, jak nieśmiertelnym prawodawcom.

Lud szemrał zawsze przeciwko tym, którzy go prowadzili, choćby, jak Mojżesz, z domu niewoli prowadzili go ku wolności i Ziemi Obiecanej.

I gdy wsłuchamy się w wiekowy pogłos tego szemrania, znajdziemy w nim utajoną nutę tęsknoty za rzą-

dem, któryby był rządem doskonałości, — rządem mędrców, wyposażonych w pełnię wiedzy, niedostępnych zwykłym słabościom ludzkim, wzniesionych ponad burze pospolitych żądz i namiętności.

Ten ideał, w duszy ludu ukryty, pozostaje dotąd ideałem nieziszczonym.

Historja — na nieograniczonej wieków przestrzeni — nie dała nam ani jednego przykładu rządów, o których możnaby powiedzieć, że były rządem mędrców i filozofów, nic zaś nie wróży, abyśmy dobrodziejstw jego mieli w bliższej lub dalszej przyszłości zakosztować.

Co najwyżej, od czasu do czasu, epizodycznie i na okres krótki, historja składa rządy tego lub owego kraju w ręce osobników, cenionych za swą mądrość i uczoność: w ręce filozofów, jak Marek Aureli, lub wieszczów, jak Lamartine.

Wszelako praktyka tych rządów wyjątkowych nie usprawiedliwiała bynajmniej oczekiwań ludu: cesarz Marek Aureli zasłynął w historji, jako najkrwawszy pogromca chrześcijan, Lamartine zaś, postawiony na czele republiki francuskiej, zdumiał świat swojem niedołęstwem.

Lecz może wybrańcy ci zawiedli tylko dlatego, że nie znaleźli godnych siebie współpracowników?

Ponieważ rzeczywistość dziejowa na pytanie to nie daje i dać nam nie może odpowiedzi, przeto lukę tę postanowił wypełnić utalentowany powieściopisarz francuski, Wiktor Meric, dopowiadając obrazami fantazji to, czego zabrakło w historji.

W powieści Merica mamy ziszczony ów ideał doskonałości, o którym śni pospólstwo: mamy zespół uczonych, dzierżący w rękach pełnię władzy nad krajem.

Treść powieściowa przenosi nas w daleką, nieokreśloną przyszłość.Człowiek w epoce tej posiadł już dzięki zdobyczom wiedzy nieograniczoną możność przedłużania sobie życia, przechodzącą niemal w nieśmiertelność.

Zdobycz ta, pokrewna metodzie dra Woronowa, różni się wszakże od niej o tyle, że odmładzanie następuje nie za pomocą gruczołów małpich, ale gruczołów ludzkich - pacholęcych!...

Starzec, aby żyć, aby płomień życia zasilić, skazuje na zagładę wiosnę młodych pokoleń. Tylko za tę okrutną cenę klasa rządzących (bo nieśmiertelność przysługuje tylko władcom) wyjęta jest z pod prawa zgonów i narodzin. Żyjąc bez kresu, może bezkreśnie pomnażać zasób swych cennych doświadczeń.

Ci wszechmocni władcy są zarazem bezapelacyjnymi sędziami. Górują nad resztą społeczeństwa wiedzą i potęgą, nie zostawiają najmniejszego pola ani do krytyki, ani dla opozycji.

Są wcielonym rozumem. Są rozumem, uzbrojonym w piorunowe ramię.

— Lecz na cóż, dla jakich celów używają mędrcy swej nieograniczonej władzy?

— Dla szczęścia i dobrobytu obywateli! — odpowiada autor.

I ponieważ przeciętny obywatel wyobraża sobie szczęście jako wybawienie od troski samodzielnego my-

ślenia i czynu, przeto ogół społeczeństwa, pod rządami nieśmiertelnych mędrców, nie potrzebuje trudzić się własną głową.

Ogół ten jest zmechanizowany, uszczuplony na duchu, wyzuty ze wszystkiego, co może rodzić ból albo tęsknotę, co może ranić serce. Pożąda tylko tych rzeczy, które może osiągnąć. Hoduje te tylko pragnienia, które może nasycić. Nie zna bólu poronionych wysiłków, tragedji skrzydeł złamanych, katuszy zawiedzionych nadziei...

Składa się z istot zadowolonych, ujętych w karby, przepisane przez władzę; istot pół-zwierzęcych, ale szczęśliwych owem gnuśnem szczęściem pospólstwa, zapatrzonego w błogość sytego żołądka i bezpiecznego bytu...

Ale władcy, ale mędrcy, stojący u szczytu, owi szafarze szczęścia dla maluczkich, sami — czyż są szczęśliwi?

Niestety... Głuchy niepokój raz po raz targa ich duchem. Człowiecze uczucia sprawiedliwości i miłosierdzia, nad które postanowili się wznieść, aby osiągnąć ideał mądrości i równowagi w rządach, nie są w ich sercu stłumione tak bezwzględnie, jakby się zdawało. Niepokój w duszy odmładzających się starców zrywa się tem groźniej, że nieśmiertelność okupują oni śmiercią i zagładą swych własnych synów.

I w niepokoju tym kryje się źródło katastrofy.

Ojcowie-władcy, ojcowie-mędrcy, zdołaliby może udźwignąć ciężar swej nieśmiertelności, okupywanej zbrodnią. Ale ból matek, z których ramion bezlitosne

rządy wyrywają synów, aby ich wieść na ofiarę całopalną, przeistacza się w bunt, którego żadna nie powstrzyma potęga!

W obliczu miłości macierzyńskiej, najwyższa mądrość stanu okazuje się najwyższą — zbrodnią.

Wszechwładztwo mędrców runie więc wśród powszechnego pogromu.

Cudowne zdobycze wiedzy, zapewniające nieśmiertelność człowiekowi, utoną w krwawym odmęcie.

Ludzkość wróci znów do stanu dawnego, popadając w uprzednie królestwo walki, w dawne niedole wzlotów i załamań, złudzeń i zawodów, tęsknot i cierpień.

Ale kosztem cierpień ocali jedno: ocali — swoje dzieci, wcieloną wiosnę swych nadziei, odradzających się z pokolenia w pokolenie. Ocali mus, ale i prawo zdobywania własnych doświadczeń przez każdego człowieka. Ocali ból, ale i rozkosz, zawarte w smaku pierwszej miłości, pierwszej łzy, pierwszego pocałunku...

Powieść Wiktora Merica nosi znamienny tytuł: „Le crime des Vieux" — „Zbrodnia starców". — Jest ona, rzecz prosta, tylko fantazją autora. Ale jak wiele nastręcza pola do zadumy nad zagadnieniami, które nurtują świat teraźniejszy! Jak ciekawych udziela światu przestróg!...

BAŚŃ O ŻELAZNYM CZŁOWIEKU.

Wulkan, z którego wybucha ogień pomysłów, genjalnych snów i dziwolągów: oto dzisiejsza Ameryka!

Wicher Odrodzenia, który niegdyś szalał w Europie, przerzucił się dziś na drugą stronę Atlantyku. Stamtąd, z poza Oceanu przychodzą dziś najśmielsze wzloty, cuda odwagi, arcydzieła energji.

Jeszcze nie przebrzmiało echo orlego lotu Lindberghów i Chamberlinów, a oto ojczyzna Edisona zelektryzowała świat czarodziejską wiadomością o Człowieku Mechanicznym.

Sporządzono tam już trzy — pono — automaty, które odzywają się na wibracje głosu ludzkiego, poruszając się i spełniając posługi, stosownie do otrzymanych zleceń. Palą w piecu, piorą, rąbią drwa, brukują ulice... Rzekłbyś: niewolnicy, wykuci z żelaza i stali, ożywieni sercem elektrycznem i zaopatrzeni w mózg, wytopiony z retorty chemicznej.

Sen, o którym przed 23 wiekami marzył boski mędrzec Plato, czyżby miał oblec się w kształty widzialne?

Jakież nieogarnięte widoki rozwarłyby się przed ludzkością, gdyby wynalazek amerykański, istotnie, był nie kaprysem uczonego, ale rzeczywistą zdobyczą nauki!

Człowiek mechaniczny wywołałby wielkie, niezawodnie, wrażenie w świecie robotniczym. Wrażenie to mogłoby nawet przeistoczyć się snadnie w rozruch, bunt i powstanie.

Czy szeregi pracowników, zatrwożonych o zarobek i byt, nie rzuciłyby się z młotami w ręku na nową niesamowitą maszynę, aby ją powalić i zniszczyć tak, jak przed stu laty proletarjat angielski rozbijał i niszczył silniki parowe w tkalniach i przędzalniach Manchesteru? — Nikt na pytanie to nie umiałby dziś odpowiedzieć.

Nie ulega wątpliwości, że pracownik stalowy sprawiłby przełom w gospodarce przemysłowej i w całej budowie społecznej; przełom większy, niż jakikolwiek z tych, które pamięta historja socjalna. A każdy przełom społeczny, jak wiemy z przeszłości, choćby w skutkach zbawienny przynosił postęp, wypada zawsze okupywać niedolą i cierpieniami miljonów ludzi niewinnych.

Niema obawy, aby człowiek mechaniczny na szerszem polu zastąpił człowieka z krwi i kości; ale gdyby go zastąpił chociażby tylko w kopalniach podziemnych, lub w pracy osuszania bagien, cóż za bajeczna zdobycz! I jednocześnie co za tragedja w łonie rugowanej pracy człowieczej!...

Są i tacy, którzy przy tej okazji oddają się przewidywaniom wręcz złowieszczym:

— Co będzie — pytają z lękiem — gdy stalowy potwór wyłamie się z pod kurateli człowieka? Gdy zerwie łańcuch posłuszeństwa i żyć zacznie życiem samoistnem?

Nie siejmy wszakże przedwczesnego popłochu! Nie naśladujmy owej sędziwej pani angielskiej, która, gdy ją zapraszano do samochodu, spytała z trwogą:

— A co będzie, gdy ów czart, spuszczony z wędzidła, nie da się zatrzymać?

Przypomnijmy sobie raczej, że wysiłek ludzki, że trud, że praca „w pocie czoła" nie zawsze stały na ołtarzu czci obywatelskiej.

W Biblji — tej Księdze Ksiąg — praca przedstawiana jest, jako kara, klątwą potępienia spadająca na człowieka za złamanie Bożego rozkazu. Stąd wnosić wolno, że człowiek bezgrzeszny, święty i dostojny miałby prawo używać wiekuistych, niezmąconych wczasów...

Podobnie w Helladzie starożytnej wolne od mozołu wczasy przekładano ponad najuczciwszą pracę. Żmudną i ciężką pracę o byt powszedni składano tam na barki niewolników.

Wolny obywatel helleński chlubił się tem nadewszystko, że jest wolny od pracy „w pocie swego czoła". Swobodę zaś swoją osiągał on właśnie dzięki mozołowi niewolników, wprzęgniętych w jarzmo przymusu.

— „Niewolnik z natury nie należy do siebie, lecz jest własnością swego pana" — rzekł Arystoteles uczeń Platona, w swej pamiętnej obronie instytutu niewolnictwa.

W oczach największego myśliciela Hellady niewolnik był rzeczą, był narzędziem pracy. Był tem, co zapewniało obywatelowi swobodę i czas wolny do zajmowania się sprawami państwa, do uprawiania wiedzy, sztuki i filozofji.

Jeżeli społeczność nowożytna porzuciła dawną tezę grecką i przyjęła zasadę godności pracy; jeśli my wszyscy dzisiaj powtarzamy hasło, że „praca, choćby najbardziej mechaniczna, nie hańbi"; jeśli w pracy widzimy uzasadnienie wszelkich praw ludzkich i obywatelskich; jeśli władzę w państwie gotowi jesteśmy zastrzec jedynie dla tych, którzy mają dłonie od pracy namulone, — to dzieje się to pod naciskiem konieczności, wynikających ze współczesnego układu produkcji, w którym pewna suma pracy musi być wykonana, przymus zaś niewolniczy lub pańszczyźniany przestał się opłacać.

Nie jarzmo niewolnika, nie kij karbowego na pańskim zagonie, ale praca wolnego najmity stała się dziś powszechną podstawą bogactwa, kultury i potęgi.

I ponieważ dzisiaj nie opłaca się już ludzi pędzić do roboty biczem przymusu, więc pogania się ich pobudką nakazów moralnych, ubierających pracę w powagę czci i zasługi.

Z konieczności uczyniono cnotę. Nie znajdziemy plutokraty, nie znajdziemy rentjera, któryby, spoczywając na laurach dywidendy lub na pakietach akcyj, nie usprawiedliwiał swoich „złotych wczasów" pozorami jakiejś pracy, bieżącej lub minionej!

Ale teraz wyobraźmy sobie — wyobraźmy sobie na

chwilę — że człowiek mechaniczny, Niewolnik Dwudziestego Wieku, zdejmie z przygiętych karków jarzmo fizycznego wysiłku: czy nie odrodzi się wtenczas starohelleński ideał boskiego wczasu? Czy nie odkwitnie w ozdobie jeszcze świetniejszej — wiek Peryklesa?

Teza antyczna jest potępieniem pracy, dźwiganej w pocie czoła. Ale w cywilizacji, opartej na mechanicznym wyrobniku, zginęłaby różnica między pracą, a kapitałem. Wystarczyłby sam kapitał, wcielony w stalową maszynę roboczą, która z kolei wszystkie inne wykuwałaby maszyny.

Człowiek, wygnany z Raju wyrokiem, skazującym rodzaj ludzki na niedolę pracy, wróciłby do Raju, uzbrojony w narzędzie, kruszące wszelkie wyroki i zapory. Stworzyłby doskonałą oligarchję, w której rozpłynęłyby się bez reszty wszelkie przeciwieństwa klasowe, ustępując pola, zarazem, idealnemu państwu socjalistycznemu.

Wartościowanie pracy, jako najwyższego postumentu godności i prawa, ustąpiłoby miejsca nowemu pojmowaniu życia, w którem zbliżylibyśmy się do pojęć greka i araba, zakładających godnoć ludzką na wczasach i swobodzie.

Na pomnikach, uwieńczonych dzisiaj postaciami, symbolizującemi trud, pracę i wysiłek, stanęliby znów, jak ongi, w czasach Fidjaszowych, spokojni bogowie, wznoszący ku niebu swe marmurowe, „myślami upojone" czoła.

— Utopja! Nieprawdopodobieństwo! — powie niejeden.

Zapewne. Czasami jednak sprawdzają się i rzeczy nieprawdopodobne. Dla mędrców helleńskich nieprawdopodobieństwem była dzisiejsza praca wolnego najmity.

Posępnicy, zapatrzeni w niedole życia, kraczą złowróżbnie, że największe — poza medycyną — postępy wiedzy i techniki niewiele przysporzyły człowiekowi szczęścia na ziemi. Pomnożyły — wprawdzie — liczbę ludności; wzmogły gęstość zaludnienia, zwiększyły stopień potęgi naszej, ale nie zagoiły ran, nie wysuszyły łez, płynących z wiecznej krzywdy człowieka.

— To prawda! Ale czyż to, co bywało dotąd, ma być niezłomnym kanonem tego, co będzie?

1928 r.

SPOTKANIE.

Była godzina dziesiąta, może jedenasta przed południem.

Cudny dzień październikowy, prawdziwe święto miłościwej jesieni.

Szedłem Marszałkowską, w stronę Mokotowa, na daleką wycieczkę zamiejską, nie spodziewając się wrócić przed zachodem słońca. Do ostatniej kropli chciałem je wypić, to słońce gasnącego lata. I chciałem je wypić na wolności, w obszarze modrego powietrza, pod modrym niezmiarem nieba, w świątyni uroczystych pól.

Wtem, na rogu jakiejś przecznicy, wyszedł naprzeciw mnie czarny pochód pogrzebu. Ukazał się nagle, jakgdyby wypłynął z oślepiającej jasności tego złotego dnia, i po chwili miał rozpłynąć się w niej, niby mara senna. Konie, wóz żałobny, krzyż na powietrzu, organista roztopiony w blasku...

Stanąłem, jakgdyby tknięty sercem tego dzwonu, który u stropu niebios obwieszczał święto jesieni.

Spojrzałem w orszak żałobny. Tuż za trumną szedł, obnażywszy głowę, starzec, ciężko i bezradnie wsparty na ramieniu dwóch dziewczyn młodych, okrytych czarnym welonem, widocznie dwóch córek swoich. Szedł chwiejąc się i potykając tym samym rytmem martwoty, którym chwiał się i potykał na nierównym bruku karawan, wiozący trumnę. Czuł się snadź do tej trumny przykuty, i — odprowadzając ją na cmentarz — odprowadzał resztę swego życia. To, z czem wróci do domu, będzie już tylko żyjącemi zwłokami.

Dalej, poza nim, krewni, powinowaci, znajomi, obojętni, znudzeni... Kroczący para za parą, lub bezładnie... pospolity proch ludzki, wzbity z kurzu ulicy przelotnym podmuchem śmierci... Wszystkie pogrzeby ludzi zamożnych są tak do siebie podobne, tak pod miarę zamawiane, tak szaro nędzne, tak błyszcząco puste, jak te dwie puste karety, obowiązkowo zamykające smutek orszaku pogrzebowego przypomnieniem wygody i dobrobytu.

Ale bo i cóż bardziej pustego, niż życie ludzkie, które wczoraj zamknęło powieki? na które nie czeka już nikt i nic, prócz grobu rodzinnego na Powązkach?

Jedno pasmo przesnute; jeden wątek przecięty; jedna fala, która kresu dobiegła. Oto — wszystko. A potem już tylko milczenie. Na wieki wieków. Te gwiazdy, które dziś zapalą się wieczorem, dojrzą o jeden grób więcej. Oto wszystko.

A jednak nie mogłem oczu oderwać od trumny,

i mimowoli postąpiłem za nią parę kroków, jakby wiedziony tajemnem poczuciem sensu, który się w niej tai; poczuciem jakiejś wielkiej godziny, która bije w Polsce obecnej zawsze, ilekroć jakaś trumna odchodzi spocząć w świeżym grobie.

— To jest Polska wymierająca! — pomyślałem — Ta, która wymrzeć musi na zawsze. Ta, której nie sądzone było wejść do Ziemi Obiecanej... i która duchem swoim wejść do niej nie może.

Ten pogrzeb niewiadomy, przypadkowy, ta bezimienna trumna stała mi się wizerunkiem i podobizną pokolenia, które odejść musi; które narodziło się w niewoli, które okute było w powiciu, i które narodziło się z okutych w powiciu i z urodzonych z niewoli.

Nieszczęśni!

Zapóźno wstało dla nich słońce. Spełniło się straszne proroctwo poety. Rosa wyżarła im oczy. Gdy Polska powstała, spojrzeli w nią ślepemi oczami. Nie zapłakali wielkim płaczem zmartwychwstania. Jamą wyżartych oczu patrzyli w purpurową jutrznię. W cud, będący źródłem nowego życia, patrzyli oczami, w których już na wieki zastygła noc i śmierć. Nie dojrzeli nic, nie poznali nic, nic nie zrozumieli. Przez oślepłe źrenice nie przedarła się najgłuchsza wieść o słońcu. Z pod powiek nazawsze zmartwiałych, nie spłynęła w serce ani jedna łza grozy, zachwytu, dziękczynienia, szczęścia, łaski.

Napróżno wielkie dni, dni bolesne, dni krwawe, dni czerwone i złote, zapalały się i gasły przed nimi, jak żagwie, wzywające do pochodu i buntu; napróżno wołały krzykiem i jękiem stuleci. Napróżno błyskawice

przecinały niebo od wschodu do zachodu, jak gońce z bożą lecące nowiną! Na znaki rozpaczy i na znaki błogosławieństwa ślepcy odpowiadali strasznym milczeniem ludzi, którzy zabili w sobie nadzieję.

Nie dla nich Polska powstała. Nie dla nich będzie żyła. I nie oni żyć w niej będą.

Zbyt wiele drogich dla się rzeczy musieli ongi zdeptać; zbyt wiele składać przysiąg nienawistnych, zbyt wiele ślubów łamać najuroczystszych, zbyt wiele niedoborów opłacać kosztem swoich sumień, zbyt wiele wygód i wczasów nabywać za cenę zaprzedanej wiary.

Żyli, naśladując martwotę, aby żyć bezpiecznie. Myśleli kurzem myśli, zbieranych ze wszystkich dróg i ulic miejskich, aby nigdy nie pomyśleć nad sobą.

Nieszczęsne pokolenie ludzi, którzy ilebykokolwiek żyli lat, zawsze będą ludźmi jednej minuty, a między swojem pierwszem a ostatniem tchnieniem nie mieli ani jednego oddechu swobody.

I oto stając pod kolumną jarzącego światła, które, lejąc się z góry, tężało w wąwozie ulicy, jak marmur albo kruszec, doznałem dziwnego olśnienia: wydało mi się, że pod wiekiem trumny, która przeciągała na żałobnym wozie, żegnana garścią znajomych i nieznajomych, spoczywa martwota wszystkich oczu tego pokolenia, które okaleczało strasznem kalectwem ślepoty! Że w tej trumnie, śród tego łaskawego dnia cudnej jesieni, odchodzi wszystek Zły Los naszego pokolenia, wszystka pleśń, przeżerająca serca.

Jakby opętany halucynacją, przymknąłem powieki i, oto, sen mój potoczył się o jedną złudę wzwyż: wy-

dało mi się, że w orszaku pogrzebowym kroczy zaklęty, być może, w czyjąś postać, sam promień słoneczny, boży pocisk życia, zuchwały, tryumfujący i piękny. Jak wieczna młodość powracającej wiosny.

Odwróciłem się od trumny i — uciekłem w pola, pod szeroko rozwarte niebo jesiennego południa.

KONIEC.

SPIS RZECZY

I. ZA PŁUGIEM HISTORJI.

II. DWIE DUSZE ITALJI

III. PROFILE I STUDJA